

Jisroel Rabon

BALUTY
POWIEŚĆ
O PRZEDMIEŚCIU

redakcja
Krystyna Radziszewska
Natalia Krynicka



BAŁUTY



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Jisroel Rabon

BAŁUTY

POWIEŚĆ

O PRZEDMIEŚCIU

redakcja Krystyna Radziszewska, Natalia Krynicka
przy współpracy Izabeli Olejnik i Jacka Walickiego
przełożyły z jidysz
Natalia Krynicka i Izabela Olejnik

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Łódź 2016

Krystyna Radziszewska – Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny
Instytut Filologii Germańskiej, 90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

Natalia Krynicka – Centrum Kultury Jidysz – Biblioteka Medema w Paryżu
29 Rue du Château d'Eau 75010 Paryż, Francja

Izabela Olejnik – Uniwersytet Wrocławski, Zakład Studiów Żydowskich
50-140 Wrocław, plac Nankiera 15

Jacek Walicki – Uniwersytet Łódzki, Centrum Badań Żydowskich
90-219 Łódź, ul. Kamińskiego 27a

Tytuł oryginału: *Balut: a roman fun a forsztot*
Podstawa przekładu: tekst opracowany przez Chone Shmeruka, opublikowany w piśmie
„Di Goldene Kejt” w Tel Awiwie (1991–1993, numery 132–135)

RECENZENT

Magdalena Ruta

REDAKTOR INICJUJĄCY

Urszula Dzieciątkowska

REDAKTOR WYDAWNICTWA UL

Joanna Balcerak

SKŁAD I ŁAMANIE

Munda – Maciej Torz

PROJEKT OKŁADKI

Studio WW Witold Warzywoda

Na okładce wykorzystano zdjęcie ul. Wąskiej na Balutach
z zasobów Archiwum Państwowego w Łodzi

Ilustracje 4–29 opublikowano dzięki uprzejmości Archiwum Państwowego w Łodzi

Publikacja finansowana w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki
nr 0078/NPRH2/H11/81/2012



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-
Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

© Copyright by Authors, Łódź 2016

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2016

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego

Wydanie I. W.07204.15.0.K

Ark. wyd. 8,2; ark. druk. 11,25

ISBN 978-83-8088-197-6

e-ISBN 978-83-8088-198-3

<https://doi.org/10.18778/8088-198-3>

SŁOWO OD REDAKCJI

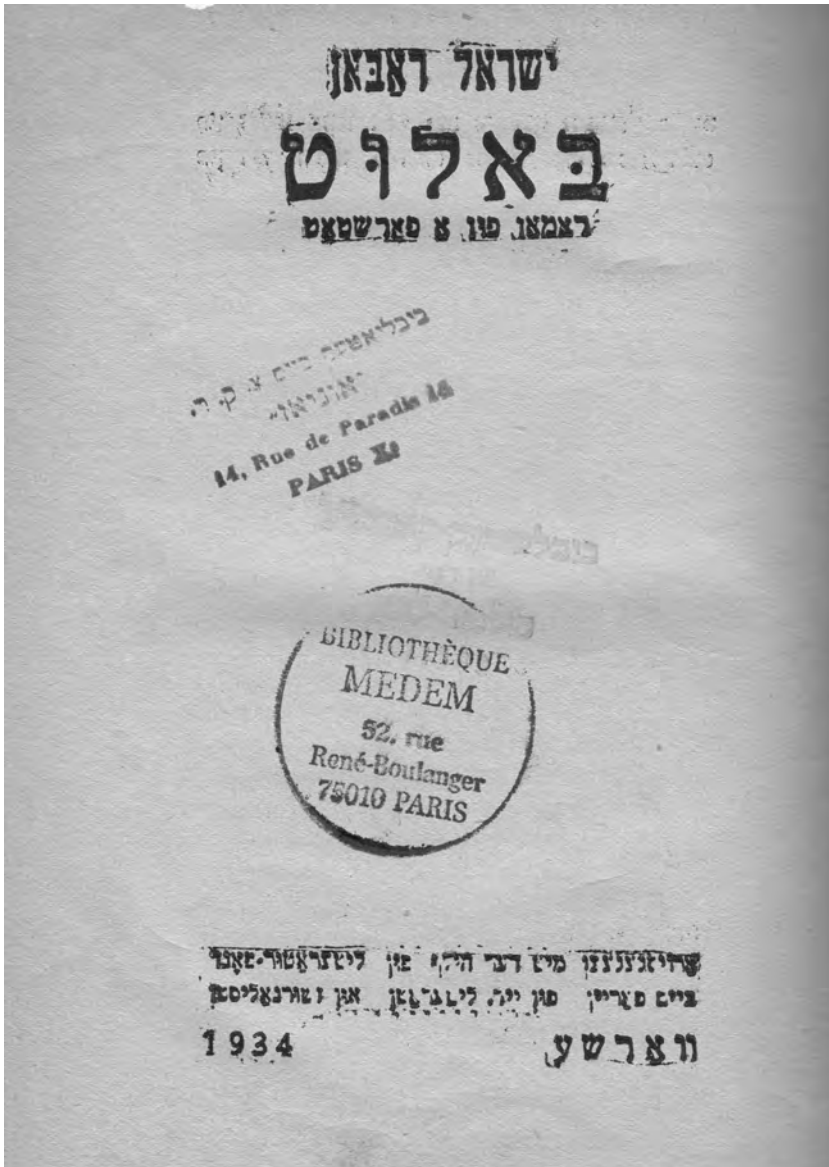
Oddajemy do rąk czytelnika pierwszy przekład na język polski niedokończonej powieści łódzkiego poety i prozaika Jisroela Rabona *Bałuty: powieść o przedmieściu* (tytuł w jidysz: *Balut: a roman fun a forsztot*). Oryginał, opatrzony adnotacją „tom pierwszy”, wydany przez Fundusz Literacki przy Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich, ukazał się w roku 1934 w Warszawie. Podstawą obecnego przekładu był tekst opracowany przez Chone Shmeruka, opublikowany w piśmie „Di Goldene Kejt” w Tel Awiwie (numery 132–135, 1991–1993). Wstęp do powieści autorstwa Chone Shmeruka zamieszczamy na końcu książki.

Z kwerend przeprowadzonych przez redakcję wynika, że jest to drugi przekład tej powieści na świecie. W 2006 r. ukazało się w Paryżu francuskie tłumaczenie *Bałut* autorstwa Rachel Ertel.

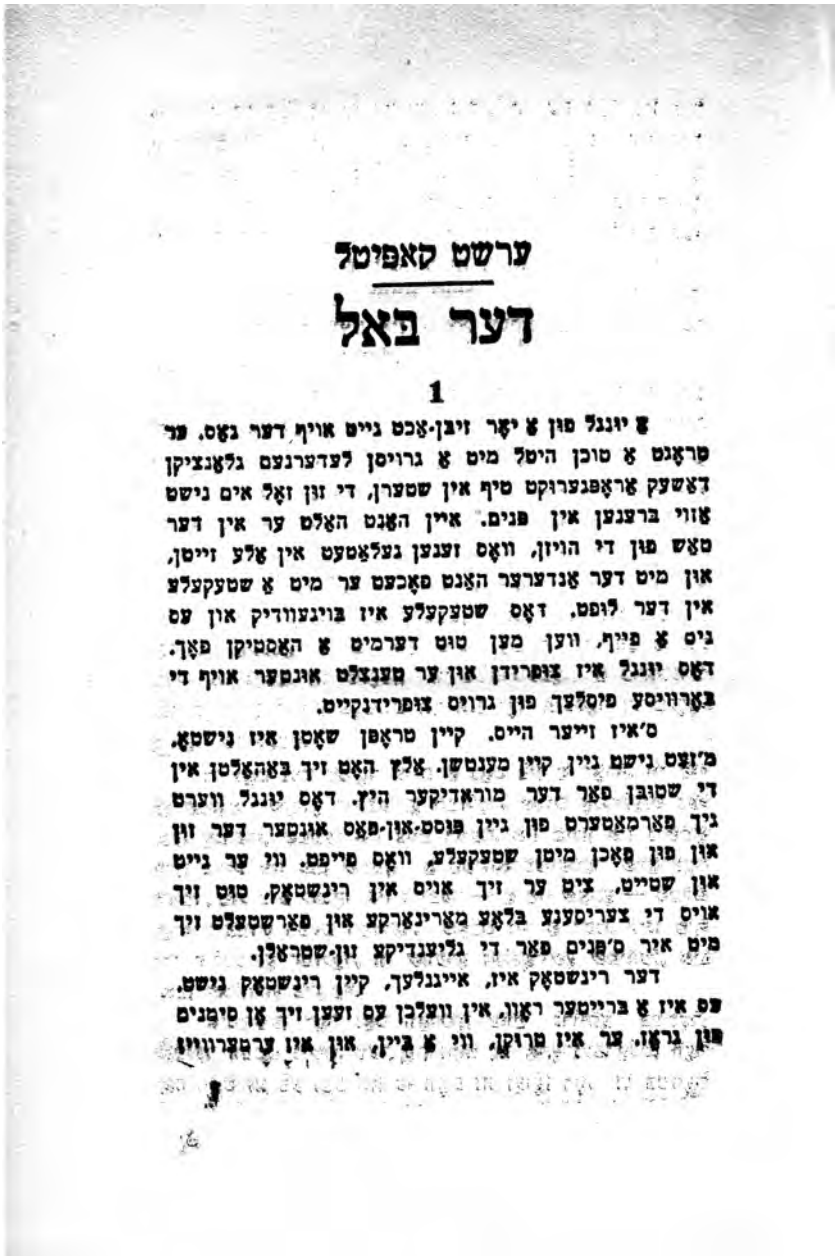
Jisroel Rabon był pisarzem przez niemal całe swe życie związanym z Łodzią. Dużo pisał o swoim rodzinnym mieście. Jednak dorobek tego utalentowanego żydowskiego twórcy, cenionego w ówczesnym świecie literackim, nie jest znany polskiemu czytelnikowi. W latach 90. XX w. przełożona została na język polski jedynie jego powieść *Ulica*.

Uzupełnieniem utworu Rabona są wspomnienia o jego twórcy autorstwa Jicchoka Janasowicza, dwie recenzje współczesnych Rabonowi literatów, Simche Szajewicza i Mojsze Grosmana oraz tekst poświęcony życiu i twórczości pisarza. Ponieważ akcja powieści rozgrywa się na ówczesnym przedmieściu Łodzi – Bałutach, uzupełnienie niniejszej publikacji stanowi źródłowe opracowanie historyczne przedstawiające realia tej dzielnicy w okresie, w którym dzieją się przedstawione w powieści wydarzenia.

Miasto Łódź jest bohaterem niewielu tekstów literackich. Powieść *Bałuty* Jisroela Rabona wzbogaca ten zbiór.



Il. 1. Strona tytułowa oryginalnego wydania powieści: J. Rabon, *Bałuty: powieść o przedmieściu*, Warszawa 1934



ערשט קאפיטל
דער פאל

1

א יונגל פון א יאָר זיבן-אַכט גייט אויף דער גאַס. ער
 טראָגט אַ טוכן היטל מיט אַ גרויסן לעדערנעם גלאַנציקן
 דאַשעק אַראָפּגערוקט טיף אין שטערן, די זון זאָל אים נישט
 אַזוי ברענען אין פנים. איין האַנט האַלט ער אין דער
 טאַש פון די הויזן, וואָס זענען געלאָטעט אין אַלע זייטן,
 און מיט דער אַנדערער האַנט סאַכעט ער מיט אַ שטעקעלע
 אין דער לופט, דאָס שטעקעלע איז בויגעוודיק און עס
 גיט אַ פּיף, ווען מען טוט דערמיט אַ האַטטיקן פּאָך.
 דאָס יונגל איז צופרידן און ער הענצלט אונטער אויף די
 באַרוויסע פּיסלעך פון גרויס צופרידנקייט.
 ס'איז זייער הייס, קיין טראָפן שאַטן איז נישטאָ.
 מ'זעט נישט גיין קיין מענטשן, אַלץ האַט זיך באַהאַלטן אין
 די שטובן פאַר דער מוראדיקער היץ. דאָס יונגל ווערט
 גיך פאַרמאַטערט פון גיין פּוסט-אין-פּאַס אונטער דער זון
 און פון פּאַכן מיטן שטעקעלע, וואָס טייַפּט. ווי ער גייט
 און שטייט, ציט ער זיך אויס אין רינשטאַק, טוט זיך
 אויס די צעריסענע בלאַע מאַרינאַרקע און פאַרשטעלט זיך
 מיט איר ס'פנים פאַר די גליענדיקע זון-שפּרעלן.
 דער רינשטאַק איז, איינגלעד, קיין רינשטאַק נישט.
 עס איז אַ ברייטער ראָון, אין וועלכן עס זענען זיך אַן ס'פנים
 פון גראַז, ער איז טרוקן, ווי אַ גיין, און איז ערטרעוויז

Il. 2. Początek pierwszego rozdziału oryginalnego wydania powieści: J. Rabon, *Bałuty: powieść o przedmieściu*, Warszawa 1934

BAŁUTY: POWIEŚĆ O PRZEDMIEŚCIU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

BAL

Siedmio-ośmioletni chłopiec idzie ulicą. Ma na sobie płócienną czapkę z błyszczącym skórzanym daszkiem, naciągniętą mocno na czoło, by słońce nie paliło go w twarz. Jedną rękę trzyma w kieszeni połatanych spodni, drugą wymachuje w powietrzu patykiem, który świszczy przy każdym ruchu. Zadowolony, tańczy bosy z radości.

Słońce tak grzeje, że nie ma nawet kawałka cienia. Nie widać też ludzi, którzy przed upałem schowali się w domach. Chłopiec szybko męczy się bezcelowym przemierzaniem nagrzanej ulicy oraz machaniem świszczącym patykiem. Wyciąga się w rynsztoku, po czym zdejmuje podartą, niebieską marynarkę i zasłania nią twarz przed palącymi promieniami słońca.

Prawdę mówiąc, nie jest to żaden rynsztok, tylko szeroki rów, w którym kiedyś rosła trawa. Jest wysuszony, miejscami czarny niczym spalone drewno. Stale poniewierają się w nim odłamki glinianych garnków, kawałki gazet, pęknięte naczynia, połamane, zardzewiałe, bednarskie obręcze, stara słoma, gnój, podarte buty. Jest jednak dość szeroki, by człowiek mógł się w nim wygodnie wyciągnąć, jak na kanapie.

Chłopiec, który ma na imię Josl, wystawia na słońce bose, pokaleczone stopy i próbuje zasnąć.

Tymczasem w rynsztoku leży dwóch osobników ubranych jedynie w koszule i kalessy. Wyglądają jakby odpoczywali po kąpieli w rzece. Grube żołnierskie pasy spowijają brzuchy równomiernie unoszące się i opadające jak u śpiących, nażartych koni. Pot spływa im po czerwonych twarzach i leje się po nagich, owłosionych torsach. Muchy, robaki oraz insekty natychmiast obsiadły ich grube ręce oraz nagie stopy, ale oni niczego nie czują. Śpią jak zabici. Jedynie odgłosy chrapania wydostające się ze zdrowych płuc, rozchodzą się w pustą, senną ciszę.

Ulica wygląda jak wiejska droga. Niskie, drewniane, przylegające do siebie domki, stoją ustawione w dwóch rzędach. Między nimi nie ma ani chodników,

ani nawet kocich łbów. Czarny, twardy piach, pełen dziur i dołów – rodzaj szosy – przedziela oba rzędy domów. Gdy pada deszcz, drewniane domki, jak ciężkie żołnierskie buty, zanurzają się głęboko w błotnistej kałuży.

Pośrodku ulicy rosną dwa wielkie drzewa. Nikt nie wie, kto je tu sprowadził, kto je zasiał oraz po co tu rosną. Są wiecznie czarne. Niczym wypalone straszdyła patrzą smutno w niebo. Nie ma na nich nawet jednego listka, ani wiosną, ani latem. To nie drzewa, raczej drzewie trupy. Nikt nie ubolewa, że nie wydają liści. Na co to komu? Mimo wszystko z obu trupów (tak na nie mówią) jest dużo pożytku. Kobiety rozwieszają na nich pranie; gdy młodzi chłopcy kładą się w rynsztoku i grają w karty, swoje palta, kurtki i marynarki wieszają na drzewach; a kiedy wieje wiatr, wieszają się na nich kołdry, poduszki, prześcieradła, stare ubrania oraz worki pierza, by się przewietrzyły – nie trzeba ich wtedy trzepać.

Kiedyś podczas srogiej zimy cała uliczka Fajfra głodowała i zamarzała. Mieszkańcy zaczęli łamać gałęzie „trupów” i palić nimi w piecu. Rozpętała się awantura. Poruszeni tym faktem ludzie mówili: ponad sześćdziesiąt lat tu stoją i teraz co? Mielibyśmy je usunąć? Tak nie może być! Wtedy Herszl Buczik wziął kartkę i drukowanymi literami napisał: „Kto dotknie choćby gałąź – zostanie zabity. Z poważaniem, Herszl Buczik”. I przywiesił ją do drzewa. Potem jak pies czyhał na tego, kto odważy się odłamać choćby gałązkę. Zawsze bano się Herszla Buczika, więc drzewa pozostały nietknięte.

Josł nie może zasnąć jak te dwa typy, które leżą nieopodal niego. Jego blada, chuda, ziemista twarz jest cała spocona, a na dodatek od słońca rozboleła go głowa. Odechciało mu się już spać. Boi się, że prześpi „świętą”, które ma zacząć się lada chwila. Boi się, że jeśli zaśnie, znów ukradną mu świszczący patyk.

Wstaje i ponownie zaczyna spacerować po sennej, cichej ulicy.

Powoli ludzie zaczynają się budzić. Ciszę przerywa krzątająca dochożdząca z domów i stajni. Słychać otwieranie bramy, w której ukazują się młody chłopak z koniem. Ma na sobie tylko koszulę, stoi boso i przeciera oczy. Idzie napoić konia, który też jeszcze się nie rozbudził, ale na podwórku nie ma pompy, dlatego musi iść dalej. Miękką piaszczystą ziemią tłumi kroki konia. Znowu nic nie zakłóca ciszy.

Chłopak, trzymając w ręce lejce, mija po drodze śpiących w rowie mężczyzn. Wkłada dwa palce do ust, gwizdże głośno i krzyczy:

– Herszlu, Lejzerze, koniec spania... zaraz idziemy.

Zrywają się przestraszeni, rozglądają się otepiałym wzrokiem, strząsają grubymi rękami insekty i robaki z rozpiętych, nagich torsów, wstają i wkładają spodnie.

– Niech no tylko spojrzę, czy nie usmażyłem sobie tyłka w taki upał – mówi jeden z nich, oglądając się za siebie. Obaj są mokrzy od potu i wyglądają, jakby spali w wilgotnej stodole.

Młody chłopak, którego koń ma przyczepiony do boku drewniany cebrzyk, stoi przy bramie i rozmawia ze starym mężczyzną, ubranym w szabasowy alpagowy chałat. Tamten patrzy na stajennego z góry i mówi:

– Nie bierz więcej wody. Wystarczy! Już od dwóch tygodni nie zamiataleś mi podwórka, rewirowy już mi wypisał mandat. Oj, źle postąpiłem, polegając na tobie.

– Ale reb¹ Eli – prosi chłopak – ja nie jestem winny. Byłem w podróży. Przecież nie mogłem specjalnie przyjechać, by pozamiatać podwórze.

– Powinieneś był mi to powiedzieć. Wtedy nie czekałbym na ciebie.

Reb Eli jest niskim, chudym Żydem o twarzy gładkiej jak pergamin. Przy każdym wypowiedzianym słowie macha dziesięć razy rękami. Jest jednocześnie właścicielem domu i jego stróżem, by nie oddawać zarobionych pieniędzy gojowi. Poza tym jest najzwyczajniej w świecie skąpy. Mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat dalej pracuje przy warsztacie tkackim jedenaście godzin dziennie, wyrabiając tanią tkaninę. O jego skąpstwie krążą przeróżne historie po całym przedmieściu, po całych Bałutach. A mimo wszystko cieszy się szacunkiem, bo po pierwsze, mówi się, że ma dużo pieniędzy; po drugie jest zawsze czysty, jego ubranie i wszystko u niego w domu lśni jak w lusterku; po trzecie ma syna, studenta, który studiuje w Kijowie i za tydzień-dwa ma wrócić jako lekarz.

Ten „tydzień-dwa” ciągnie się już wprawdzie od ośmiu lat, a student wciąż nie wraca jako lekarz, ale wszyscy tutaj wierzą, że wróci i będzie jedynym żydowskim lekarzem, którego wydały Bałuty. Ludzie rozmawiają o nim ze znajomymi i żałują, że studiuje w tak dziwnym kraju – Kijowie, że nie mogą go zobaczyć, powiedzieć „dzień dobry”, a nade wszystko pokazać światu, że tak marna i podła uliczka, która nie ma chodnika, ani nawet latarni, mogła wydać lekarza.

¹ Reb – tradycyjny tytuł grzecznościowy w jidysz, odpowiednik polskiego określenia „pan”.

Kiedy ludzie pytają Dwojrę, żonę reb Eliego, o syna w Kijowie:

– No, Dwojreniu², co robi wasz wielki syn w Kijowie? – ta zaczyna płakać i ze łzami w oczach zapewnia:

– Przyjedzie, przyjedzie, kochani ludzie.

Tak, ulica Fajfra – „Fajferówka” – jest przekonana, że on kiedyś przyjedzie jako lekarz. Jedynie jego własny ojciec, reb Eli, jest w tej kwestii niedowiarkiem. Zapytany, macha zrezygnowany ręką i ostro odpowiada:

– Co on robi? Wyrzuca w błoto moje pieniądze i jest na najlepszej drodze, by zostać starym kawalerem...

Ludzie słuchają zmartwieni, jak reb Eli wypowiada te kwaśne słowa i przyjmują je jak gorzką pigułkę. Są jednak pewni, że w końcu, któregoś dnia, syn powróci jako wielki człowiek.

– Reb Eli, dopuście mnie do pompy, koń marzy o łyku chłodnej wody – mówi stajenny. – Jutro o świcie przyjdę pozamiatać podwórze. Żebym tak zdrowy był. Możecie zostawić dla mnie miotłę w korytarzu.

– Nigdy nie dotrzymujesz słowa. Jak mogę ci teraz wierzyć? Przez ciebie dostałem mandat! A do tego taka hańba! Mandat za brak czystości na podwórzu reb Eliego!

– Obym zginął, jeśli ja was kiedyś oszukałem, reb Eli!

– Inni stajenni płacą do trzech kopiejek za tydzień, tylko dla ciebie zrobiłem wyjątek. Silny z ciebie chłopak, możesz odpracować te sześć kopiejek. A ty mi wykręciłeś taki numer.

– Reb Eli, miejcie litość nad zwierzęciem. Jesteście przecież szlachetnym człowiekiem. Spójrzcie tylko, mój koń liże już piasek. Chwieje się na nogach.

– Na nic ci się nie zda podlizywanie. Kto zapłaci za mnie karę trzech rubli, może ty?

– Policja może was zmusić, byście pozwolili mi napić konia – złości się chłopak.

– Może mnie zaprowadzisz do policmajstra³, co?

Reb Eli dalej kłóci się z chłopakiem, ale po tym, jak ten przysiągł, że przyjdzie punktualnie, warczy zły i w końcu dopuszcza go z drewnianym wiadrem do pompy.

² Dwojreniu – zdrobnienie od imienia Dwojre (nieżydowskim odpowiednikiem tego imienia jest imię Debora). W tym tekście, podobnie jak inne jidyszowe imiona żeńskie z końcówką „e”, spolszczone (Dwojra).

³ Policmajster – w Rosji carskiej komendant policji w dużym mieście i ewentualnie w jego okolicy. Władza łódzkiego policmajstra rozciągała się też na Bałuty.

Boczne uliczki coraz bardziej się ożywiają. Wielki zegar kościelny, widoczny z odległości mili, wybija godzinę trzecią. Ze wszystkich stron nadchodzą ludzie. Josł przygląda się im i robi mu się weselej. Idą młodzi chłopcy i dziewczęta. W rękach trzymają marynarki i buty, maszerują boso w samych koszulach. Słońce praży z tą samą siłą. Z bocznych uliczek napływają ludzie i skręcają w jedną długą i wąską ulicę, która ciągnie się daleko, het, aż na pola za Łodzią.

Jedną czy dwie wiorsty za miastem znajduje się kawałek pustego pola. Rósł tu kiedyś las. Wycięto go, a z drzew zrobiono belki i filary do budowy fabryk, które zaczęły wyrastać jedna po drugiej. Na pustym polu widać jeszcze pieńki i kloce, na których wypalono wiele inicjałów i imion, głównie męskich. Plac ten nazywa się Grabinka. Jest miejscem rozrywki, dokąd spływają teraz całe Bałuty. Obok placu rozlewa się rzeczka, która dziś, z powodu potwornego upału, jest na wpół wyschnięta jak kobieta w połogu.

Niedaleko stoi dziwna drewniana dwupiętrowa budowla. W jej okna wstawiono cienkie, żelazne kraty, szyby są brudne i zamglone od ciężkich oddechów. Otacza ją jak obręcz wysoki płot, zwieńczony drutem kolczastym i potłuczonym szkłem. Bezustannie dochodzi stamtąd niesamowite, dzikie szczekanie setek na wpół oszalałych psów.

Czy to więzienie? Nie, nie widać tu żadnego policjanta ani strażnika. Ta budowla to rzeźnia psów, które łapie się na ulicach Łodzi. Tam się je zabija, z ich skór wyrabia się futerka zwane „fokami grenlandzkimi”, zaś z tłuszczu – olej rycynowy do aptek.

Ogłuszające szczekanie setek złapanych psów, którym odcina się głowy stalową gilotyną, roznosi się po polach ze straszliwą, przejmującą żalnością.

Josł zbliża się do Grabinki. Jego uszu dochodzi skarga psów, które lada chwila czeka śmierć. Od tego wycia zaczyna drzeć, lzy napływają mu do gardła. Słyszy jak setki psów rozpaczliwie wołają:

– Joslu, chodź, ratuj nas!

Wydaje mu się, że kiedy podejdzie do nich, setki, może i tysiące psów skazanych na śmierć staną na tylnych łapach i zaczną płakać psimi łzami z radości, lizać go po rękach językami pokrytymi czerwoną krwią i białą pianą od rzucania się na grubo splecionym sznurze.

Josł zasłania uszy rękami, by nie słyszeć przeraźliwego wycia zwierząt błagających o życie.

Grabinka zapelnia się ludźmi. Młodzi chłopcy i dziewczyny rozsiadają się na pieńkach i suchej trawie. Wyjmują harmonijki i zaczynają grać „Hajda trojka” i tango. Kilka osób obdarzonych mocnym głosem śpiewa piosenkę. Ktoś z grubego sznura zrobił huśtawkę. Młody chłopak chwytą tęgą dziewczynę i zaczyna się z nią kołysać. Dziewczyna piszczy przy każdym mocniejszym ruchu. Chłopak śmieje się, przytula się do niej i kołysze jeszcze mocniej.

– Jento, a niech to cholera, polecimy do nieba!

Ludzie śmieją się grubiańsko, sprośnie. Wyciągają z kieszeni flaszki wódki i słuchają strzelających korków. Jeden z chłopaków opowiada o swoich wyczynach i co chwila bije się w piersi przysięgając, że nie kłamie. Każde uderzenie rozbrzmiewa, jakby ktoś siekał kapustę. Obok niego siedzą trzy zachwycone dziewczyny. Oczy im błyszczą z uciechy i co jakiś czas klepią go po plecach:

– A więc taką grandę zrobiłeś, Zanwele? A niech cię licha!

Wpychają mu do ust lepkie, brudne cukierki. Z ust wyciekają mu wódka oraz ślina wymieszana z rozpuszczonymi słodyczami. Świeża pomada na włosach zaczyna się rozplwać od upału i brudne strugi spływają z jego czoła i szyi. Dziewczyny wycierają mu brud z twarzy halkami, sukienkami, chusteczkami, z przyjemnością chłonąc jego słowa:

– ...chodzę tak po Pietruszce⁴ i widzę, że idzie pańcia z wyższych sfer. Rzucam okiem na jej cyferblat i już wiem, że będzie można ją opędzlować. Idzie przodem, ja za nią. Kręci tyłkiem i gapi się w niebo, czy nie będzie padać. A ja zapuszczam żurawia do jej torby i szukam forsy. Ale nic z tego. To ścierwo nie wyjmuję rąk z kieszeni. Jestem już pewny jak złoto, że ma tam pieniądze. Ale co zrobić, by dostać się do jej kieszeni?

– Panienko – mówię do niej – jakiś chłopak panienkę opluł – i sam pluję na jej ramię. Ona odwraca się i wyciera sobie ramię chusteczką, a ja wtedy wjeżdżam jej łapą do kieszeni i wymiatam ją do czysta...

Chłopak opowiada, a w jego oczach błyszczą iskiereczki zadowolenia. Dziewczyny przysuwają się bliżej. Przyciskają do niego swoje grube, rozpalone ciała, tulą się. Chłopak leży rozwalony na trawie jak hrabia, z głową na piersi jednej z nich jak na miękkiej poduszce. Dziewczyna sapie, ciężko jest jej utrzymać jego głowę, ale z szacunku i uwielbienia milczy.

⁴ Pietruszka – potoczne określenie ul. Piotrkowskiej. W tym fragmencie tekstu oryginalnego autor umieszcza w nawiasach wyjaśnienia słów z gwary złodziejkiej.

Cały plac jest już pełen ludzi. Wszędzie głowy i czerwone twarze. Muskularne ramiona mężczyzn z podwiniętymi rękawami koszul wznoszą się ze szklankami i butelkami w dłoniach.

Przestrzeń wypełnia gwar rozmów rozchodzących się jak gęste, niewidoczne fale. Nieustannie trzaskają korki. Powietrze przesiąka potem ludzkich ciał, dymem z tysiąca papierosów, zapachem tanich perfum i pudru.

Pośrodku pola leży rozciągnięty Herszl Buczik, siłacz. Jest półnagi i mokry jak żaba od upału, wódki i gadania. Rozłożywszy swoje olbrzymie ciało, charchy jak astmatyk. Z tym swoim wielkim cielskiem wygląda jak wieloryb, którego morze wyrzuciło na brzeg podczas sztormu. Siedzi przy nim sześć kochanek. Znajdują się w niewielkim oddaleniu od niego, bo gdy zrobiło mu się gorąco, odepchnął je od siebie:

– Odsuńcie się, córki, bije od was gorąco jak z pieca.

Pod głowę ma podłożoną miękką poduszkę. Koło niego walają się puste butelki po kolorowej wódce. Kochanki zaczynają śpiewać. Jedna z nich, niska dziewczyna o małych, zwinnych stopach, podnosi się i tańczy. Na piersiach ma sznury srebrnych monet – rosyjskich, niemieckich, francuskich, a nawet tureckich i chińskich. Dzwoni tymi monetami, które ważą około puda⁵. Jej nogi rytmicznie poruszają się do taktu. Reszta dziewczyn patrzy na nią z zazdrością. Tańczy jakiś taniec, a co kilka obrotów wydaje głośny okrzyk. Chłopacy strzelają z bicza i machają do taktu świszczącymi gumowymi pejczami kozackimi i plecionymi szpicrutami. Tworzy się krąg. W jego środku jak król leży Herszl Buczik z kochankami, a tuż obok niego, z twarzą zwróconą w jego stronę, tańczy Zośka, tancerka. Nikogo nie widzi. Jej wzrok skierowany jest na niego. Co jakiś czas pochyla się nad nim i drobną dłonią czocho mu gęste włosy. Kiedy kończy tańczyć, rozlega się trzaskanie batów, pejczów i szpicrut. To mają być brawa. Ale ona nie patrzy na nikogo oprócz Herszla, swojego pana. Herszl ma jednak oczy półprzymknięte ze zmęczenia i upojenia. Wydaje z siebie niezadowolony pomruk i krzyczy:

– Szanta... szanta...

Ani słowa więcej.

– Szanta... szanta... – powtarzają inni z zadowoleniem.

Głowy poruszają się i powtarzają: szanta... szanta... I nagle błyska w słońcu dwadzieścia stalowych noży. To noże sprężynowe z czarnymi rękojeściami

⁵ Pud – rosyjska jednostka wagi, równa 16,38 kg.

mi. Czerń i biel. Tancerka kołyszącym krokiem, prawie na czubkach palców, podchodzi do każdego, bierze je z uprzejmym uśmiechem, całuje stalowe, błyszczące ostrze i wbija je w ziemię tak, aby utworzyły szeroki krąg. Potem wznosi namiętny, głośny okrzyk: Szanta... szanta..., zrzuca bluzkę, odsłaniając nagie, zgrabne piersi, i zaczyna taniec Apaczów. Szanta... szanta... Z impetem porusza nogami, wyciąga ręce, zaciska zęby. Przedstawia to zabijanie kogoś. Pochyla się, jej kolana drżą, robi błagalną minę jak ofiara, która prosi, by darowano jej życie. Potem wybucha gwałtownym, cynicznym, szyderczym śmiechem i znów wyrzuca wściekle ręce: nie ma litości!

Jej małe, opalone piersi kołyszą się lekko jak kolczyki. Z wyrazem słodczy zamyka oczy, pada na ziemię między wbite noże i zaczyna rzucać się rytmicznymi ruchami. Z wyrazem pożądania na twarzy, bezwstydnie rozsuwa nogi. Włosy ma rozrzucone, a jej nagie ciało, brązowe od słońca i czerwone od rozgrzanej krwi, błyszczący jak miedziany rondel.

Młodzi chłopcy pijanym wzrokiem pożerają jej nagie, zgrabne piersi, które kołyszą się jak jabłka na wietrze. Okrzyki zachwytu i tłumionego pożądania wyrrywają się z otwartych ust. Twarze chłopców robią się wilgotne jak pyski koni w przegrzanych stajniach. Oczy wylażą im z orbit, mięśnie napinają się i drżą. U wielu z nich widać języki kołyszące się w otwartych ustach jak u psów, które gonią za sukami. Zaślinione języki poruszają się w takt zuchwałego, lubieżnego tańca: szanta, szanta. Wszyscy tłoczą się w kole, w którym jeden czuje rozpalone ciało drugiego. Pochylają lekko głowy, jakby byli gotowi do ataku.

Herszl Buczik charczy coraz głośniejsze. Dziewczyna o grubych rękach rozgniata jabłko palcami i wyciska mu sok do ust. Wódka pali mu wewnętrżności. Już siedem dużych jabłek wycisnęła i wyrzuciła. Jakiś chłopiec wdziera się do kręgu, bierze wyrzucone jabłka i ucieka, chociaż nikt go nie goni, po czym zaczyna jeść.

Sok z jabłek chłodzi Herszla, ale odurza go jeszcze bardziej. Zaczyna więc się na ziemi jak ślimak, a płonącymi, zamglonymi od pijaństwa oczami wpija się w półnagą tancerkę. Czołga się, przypada jej do nóg, wydaje z siebie zachrypty, dziki ryk i nagle wgryza się w jej pulchną, zgrabną łydkę. Dziewczyna krzyczy z bólu i chwytą się za nogę, którą podnosi wysoko, chwiejąc się na drugiej. Pojawia się cienka stróżka krwi. Pijany Herszl Buczik ryczy z przyjemności, która rozchodzi się po całym jego mocarnym ciele. Pierś unosi się wyżej, twarz wykrzywia mu mieszanina okrucieństwa i słodczy. Włosy lepią się do jego niskiego czoła, a z płuc jak z pieca uderza oddech przez otwarte usta. Reszta

dziewczyn przytrzymuje go, by się znów nie rzucił do gryzienia. Tłum pochłania oczami zakrwawioną łydkę tancerki, co podnieca ich jeszcze bardziej. Na stojąco dalej piją wódkę z butelek. Szklanek prawie nie widać. Słychać bulgotanie wódki, która leje się do gardeł przez wąskie szyjki butelek. Twarze stają się jeszcze bardziej rozpalone, czerwone i nabrzmiąle krwią. Krąg otaczający tancerkę zacieśnia się. Każdy napiera, jeden wciska się w drugiego, jakby chciał podzielić się ciepłem własnego ciała. Tancerka cicho płacze.

– Szanta, szanta! – ryczy Herszl Buczik.

– Szanta, szanta! – wyją pozostali. Zośka prostuje się i wraca do tańca. Ale jej oczy są smutne, patrzą spod czarnych spuszczonej rzęs, zawstydzone jak u schwytanego ptaka. Tańczy, a na jej smukłej, cienkiej szyi brzęczą sznury rosyjskich, francuskich, angielskich i chińskich srebrnych monet. Uderzają o jej nagie, jędrne piersi i dźwięczą jak srebrne dzwoneczki.

Przygrywa kilka katarynek, klarnet przecina powietrze cienkimi, płacziwymi tonami.

Josł uwiesił się na plecach jakiegoś grubego chłopaka i stamtąd przygląda się tancerce. Chłopak jest tak pijany i oszołomiony tańcem, że nawet nie czuje, że ktoś wisi mu na plecach.

Josłowi żal dziewczyny. Jej smutne oczy budzą w nim współczucie. Nie może zrozumieć, dlaczego Herszl Buczik, Samson Bałut, ugryzł ją tak mocno, że aż się rozpląkała. Widzi jej na wpół obnażone ciało i zasłania sobie oczy, bo nieładnie jest patrzeć na rozebraną dziewczynę.

Na koniec opuszcza się z pleców chłopaka i idzie dalej. Czuje nienawiść do tych wszystkich ludzi, którzy leżą na trawie jak pijane świnię. Odchodzi kilka kroków i zbliża się do człowieka o gęstym zaroście i małych, spokojnych, matowych oczach. Mężczyzna stoi z pudłem i wykrzykuje zmęczony:

– Kinematograf! Stambuł płonie! Napileo⁶ w Moskwie! Turcy kanibale! Za jedną kopiejkę można to wszystko obejrzeć; za dodatkowy grosz – z muzyką.

Pudło to służy jednocześnie za katarynkę. Jedną korbą przewija się obrazy wyświetlane na szkle powiększającym, drugą wygrywa marsze wojskowe, koronację cara oraz śmierć bandyty Zigomara⁷. Josł przykucnął przy pudelku. Chętnie zobaczyłby Napoleona, Stambuł oraz Turków, którzy zjadają ludzkie

⁶ Potoczna deformacja słowa „Napoleon”.

⁷ Zigomar – bohater cyklu powieści i opowiadań francuskiego pisarza Leona Sazie, zapoczątkowanego w 1910 r. W latach 1910–1913 nakręcono na ich podstawie kilka filmów.

mięso. Na muzyce mu nie zależy. Chciałby tylko zobaczyć strasznych Turków z zębami długimi jak bicze. Ale nie ma pieniędzy, więc stoi, patrzy żałośnie na pudło i trzyma palec w buzi.

Właściciel kinematografu jest rozczarowany. Młodzi chłopcy i dziewczyny zajęci są tańcem, śpiewami i zapasami, niewiele się nim interesując.

– Czego tak stoisz i gapisz się? Niczego nie zobaczysz.

– Nie wolno mi stać?

– Jak masz kopiejkę, to pokażę ci Chińczyków, którzy jadą na saniach zaprzęgniętych w czerwone myszy z dzwoneczkami zawieszonymi na szyjach.

Czerwone myszy z dzwoneczkami na szyjach! Tak, to cudowne. Chętnie by to zobaczył. Oddałby wszystko, by zobaczyć takie rzeczy.

– Nie mam kopiejki.

– Jesteś małym chłopcem, więc pozwolę ci obejrzeć za grosz. Jak podrośniesz i zarobisz pieniądze, oddasz mi go. To pożyczka. Znasz mnie przecież, nazywam się Note.

– Ale grosza też nie mam...

W tym momencie zbliża się silny chopak o czerwonej twarzy. Nosi maciejówkę ze skórzanym daszkiem i bokobrody jak pułkownik Berek Joselewicz. W jednej ręce trzyma ustną harmonijkę, drugą prowadzi pulchną, czerwoną dziewczynę.

– Panienko Bejlo, chodźmy do Notego. Chcę panience pokazać krokodyla, panienska padnie na miejscu. No, Note, masz tu dwojaka i nastaw na krokodyla!

– Z muzyką?

– Z muzyką.

– Z muzyką kosztuje grosz więcej.

– Kto by skąpił pieniędzy dla mojej Bejli! No już, pokazuj tego krokodyla.

Dziewczyna pochyla się i wbija wzrok w obiektyw. Kiedy katarynka zaczyna wygrywać walca, Note tłumaczy: to jest chiński sułtan, czyli prawa ręka cesarza. Teraz idzie złowić w morzu krokodyla. Z krokodyla zrobi kotlety dla siebie i swojej żony, grubej jak kamienica.

– Oj, naprawdę? Gruba jak kamienica! – woła zdumiona dziewczyna.

– Może mu panienska wierzyć. Note to nie blagier.

– Oto właśnie żona sułtana. Warkocz ma długi na dwie mile, siedemnastu służących musi go dźwigać.

– Oj, popatrzcie tylko na to dziwo! I to jest ta cesarzowa? Oj, trzymajcie mnie, bo pęknę ze śmiechu! – nie może się nadziwić podeksycytowana dziewczyna.

– A to jest Napileo... ten, który podbił świat. Tylko Ruscy zbili mu mordę i w Moskwie wykończyli... To jest król Salomon, kiedy rozmawia z ptakami w srebrnych klatkach... A to jest Kliapatra, królowa egipskich parchów, która mieszkała z trzydziestoma kochankami i urodziła księcia w wieku 105 lat.

– O, to dopiero kobita, trzydziestu kochanków!

– A panienska Bejle też chciałaby mieć trzydziestu kochanków? – odezwał się chłopak i mocniej nasunął czapkę na czoło.

– A żeby pana pokrećciło, Ruwenku bandyto.

Kiedy skończyła oglądać, chłopak wziął ją pod rękę, uszczypnął ją w pupę i odeszli. Z daleka słychać jeszcze było, jak dziewczyna krzyczy i śmieje się na cały głos.

Josl cały czas stoi i patrzy na to zaczarowane pudełko. Ma nadzieję, że może stanie się cud, będzie mógł zajrzeć w obiektyw i zobaczy te wszystkie wspaniałe rzeczy. Odstraszyły go krzyki i hałas, woli trzymać się z daleka od tłumu młodych.

Setki psów na podwórku hycła, których przez jakiś czas nie było słychać, znów zaczęły szczeekać. Joslowi serce się kraje, łzy napływają mu do oczu. W psim płaczu słychać rozbrzmiewającą prośbę o życie i zmiłowanie. Marzy mu się turecki sułtan ukryty w zaczarowanym pudełku, o którym przed chwilą mówił Note. Sułtan idzie się kąpać i zaczyna tonąć we wzburzonych falach morza. On, Josl, stoi przy brzegu i puszcza statki z papieru. Do jego uszu dochodzi krzyk topiącego się grubego sułtana. Josl umie pływać, zrzuca więc kurtkę i spodnie i raz, dwa wskakuje do wody. Szybko jak ryba dopływa do sułtana i ratuje go. „Josl, uratowałeś mi życie – mów do niego sułtan, zdejmuj czapkę, rzucając mu się na szyję i całując go. – Powiedz, czego pragnie twoje serce, a to dostaniesz. Nawet córkę gotów jestem ci dać za żonę”. „Nie chcę twojej córki za żonę, wielki królu wszystkich Turków – dumnie odpowiada Josl – jestem Żydem i nie mogę mieć tureckiej żony. Tylko jednej rzeczy pragnę od ciebie”. „Mów, a zaraz to dostaniesz!”. „Chcę, byś dał mi setkę uzbrojonych jeźdźców, a konno i z mieczem w ręku uwolnię psy od hycła Wojciecha...”.

Och, żeby to mogła być prawda! Jak dobrze by to było i jaki byłby wtedy szczęśliwy.

– Co tak stoisz i gapisz się w niebo? Chcesz zostać astronomem? – Note wyrwał go z zamyślenia i zaczął smarować olejem maszynowym swoje cudowne pudełko.

– Słyszysz pan? Słyszysz? Psy!

– Czy słyszę? A co tu jest do słyszenia? Psy szczekają i tyle.

– Szczekają, bo idą na rzeź. Jak one wyją. Biedactwa.

– Rzeczywiście biedactwa, ale gorzej by było, gdyby szwędały się po ulicach i gryzły ludzi. Chodź no tu, mały, i zapal mi papierosa.

Josl ochoczo bierze papierosa. Ma nadzieję, że uda mu się zajrzeć do pudełka. Za chwilę wraca z zapalonym papierosem i podaje go Notemu. Ten staje się dla niego miłszy i zaczyna mu się przyglądać.

– Co ty tu właściwie robisz?

– Nic nie robię.

– Porządny chłopiec bałby się tu przychodzić.

– Ale ja się nie bałem – odpowiada Josl dumnie i śmiało.

– Pewnie źle ci w domu, skoro się nie boisz.

Josl milczy.

– No, skoro jesteś uczciwym chłopcem, powinieneś wystrzegać się wchodzenia między takich ludzi – Note wskazał na pijaną hołotę. Nic dobrego z ciebie nie wyrośnie, na pewno zostaniesz takim samym chuliganem jak oni.

Josl rozumie, że Note ma rację. Poza tym nie podoba mu się ta cała banda. Żał mu było jedynie dziewczyny, którą Herszl Buczik ugryzł aż do krwi i która tak ładnie tańczyła. Dostrzegł w jej oczach smutek. Żał mu i psów, i dziewczyny, ale nikogo więcej.

– Jak się nazywasz?

– Josl.

– Czyj ty jesteś?

– Szmula-Jankla Bergera.

– Szmula-Jankla z ulicy Fajfra? Znałem twojego tatę. Był uczciwym człowiekiem. To warsztat tkacki wykończył mu płuca.

Josl zrobił wielkie oczy, słuchając o swoim ojcu. Mama często o nim mówi, ale nigdy niczego dobrego. Przeklina go, choć leży już w grobie. Josl wie już, że nieładnie jest przeklinać zmarłych, zwłaszcza własnego ojca. Jeszcze nigdy nie słyszał, nawet wśród bandy Herszla Buczika, by ktoś przeklinał zmarłego. Natomiast mama przeklina ojca za każdym razem, kiedy Josl zakaszle:

– Suchoty mi przywłókl do domu, oby go rozerwało na tamtym świecie! Poszedł do ziemi, a nie zostawił nawet czterdziestu groszy na posłanie ze słomy. No, mój synu, oto twój spadek: trzy pary zniszczonych koszul oraz dwa zapluskwione łóżka, to ci pozostawił. Bierz je, synu. Należą do ciebie. Z tych desek możesz sobie zrobić trumnę, by można cię było w ziemi pochować jak jego...

Nie bacząc na język matki, Josl wie, że ojciec był dobrym człowiekiem i mama też jest dobra. Tylko zgorzkniała od pracowania jak mężczyzna po czternaście godzin dziennie przy warsztacie tkackim. Nawet sąsiedzi mówią o ojcu z szacunkiem i wzdychają.

– Co robisz w domu? – pyta dalej Note, zaciągając się papierosem.

– Pomagam mamie.

– Przy warsztacie?

– Tak. Nawijam nici na szpule.

– Wpatrujesz się w mój kinematograf z taką ochotą. Chciałbyś do niego zajrzeć?

– Tak, chcę! – Josl ochoczo przykuca, a serce skacze mu w piersi z radości, kiedy zagląda w obiektyw.

Note kręci korbą i wzdycha.

– Jesteś synem reb Szmula, więc możesz patrzeć tak długo, jak tylko chcesz.

Josl ogląda wielkich ludzi: Turków, Napoleona, Chińczyków, rybę z czterema parami oczu, konie z rogami jak miecze. To wszystko jest cudowne. O wiele ładniejsze niż sobie wyobrażał. O, jak bardzo jest wdzięczny Notemu. Wszystko by mu oddał, ale niczego nie posiada.

– Rozumiesz choć coś z tego, co oglądasz?

– Rozumiem.

– Widzę, że jesteś mądrym chłopcem, nie muszę ci wszystkiego tłumaczyć. Tamci chłopcy i dziewczyny nie potrafią zliczyć do dwóch. Nie wiedzą nawet, że Chińczycy mają długie warkocze, a Turcy noszą wysokie fezy. Wszystko się im miesza. Muszę im wyjaśniać najdrobniejsze rzeczy. Chodzisz do chederu?

– Nie, muszę siedzieć przy szpuli i pracować.

– Ile masz lat?

– Dziewięć.

– Wyrośniesz na nieuka. Nawet nie będziesz umiał się podpisać.

– Nieprawda, umiem się już podpisać! – woła Josl, a kiedy zadowolony i rozpromieniony obejrzał już wszystkie obrazy, podnosi z ziemi gałązkę i pisze na piachu: Josl Berger.

Stary cieszy się. Głaszcze go nawet po głowie. Josl raz jeszcze pisze swoje imię na piachu: tym razem po rosyjsku.

– O cholera! Po gojsku też umiesz! Skąd to znasz? Kto cię tego nauczył?

– Nikt. Po prostu umiem – z uśmiechem odpowiedział Josl.

Josł ufnie spogląda na Notego. Obaj czują, że zostali przyjaciółmi. Stary nic już więcej nie mówi. Czuje coś na kształt zawstydzenia przed chłopcem. Ma już prawie sześćdziesiąt lat, a nie umie napisać ani słowa, podczas gdy ten chłopiec umie się już podpisać w jidysz i po rosyjsku. Najcudowniejsze w tym wszystkim jest to, że nikt go tego nie uczył. Raz jeszcze spogląda na Josła, ale tym razem w jego spojrzeniu widać szacunek.

Note otwiera drzwiczki dębowego, malowanego pudełka i wyjmuje z niego chleb z masłem oraz kielbasę. Zdumiony Josł patrzy na Notego osłupiałym wzrokiem.

Stało się coś dziwnego: w tym samym zaczarowanym pudełku, w którym są krokodyle, Chińczycy, Napoleon, węże i Turcy, znalazł się jeszcze chleb z masłem. Czyż nie jest to śmieszne?

Ale nie śmieje się. Powstrzymuje się ze strachu, że jego śmiech mógłby urazić starca, który jest dla niego taki dobry.

– Na co tak patrzysz? Jesteś głodny? Możesz jeść ze mną, jesteś dobrym chłopcem. Byłbym bardzo zadowolony, gdybyśmy razem zjedli – zachęcił go starzec.

Josł odwrócił głowę. Nie chce jeść. Nie jest głodny. W głowie ma jeszcze Napoleona, tureckiego sułtana, Chińczyków, węże i wieloryby. Nowy, nieznan, piękny świat.

Robi się coraz później, a upał wcale nie słabnie. Motyle, srebrzyste jak biżuteria, usiadły na wysokiej, wyschniętej trawie i odpoczywają. Znużone słońce powoli zaczyna zachodzić. Tymczasem na otwartym polu odbywają się teraz zapasy. Dwóch półnagich, zlanych potem typów stoi naprzeciw siebie, a jeden drugiego próbuje chwycić za łopatki i powalić na ziemię. Ale nie dają się. Każdy z nich ma swoich zwolenników, którzy krzyczą:

– Lezjer, daj czadu!

– Fajwisz, rozwal go, uważaj, bo będzie po tobie!

Wydaje się, że jeden z nich leży już pokonany, ale w ostatnim momencie podnosi się jednym skokiem, po czym pada na plecy drugiego jak ciężka masa mięsa i wali go stalowymi pięściami w kark.

Ledwo żywego Herszla Buczika umieszczono w cieniu. Nieprzytomnie pijany zaczął się szarpać i bić. Zadawał ciosy na oślep. Nawet własnych kochanek nie szanował. Nie było innej rady, jak związać go do czasu, aż wytrzeźwieje.

Jakiś chłopak zarzucił sobie na ramię Herszla ze związanymi rękami i nogami jak worek kartofli i odniósł na bok.

Tuż za nim szły jego kochanki z podbitymi oczami i śladami po uderzeniach na twarzy. Płakały jak po zmarłym.

Chłopak, który niósł Herszla na plecach, dyszał od tak ciężkiego bagażu. Herszl ostrymi zębami zaczął rozrywać mu koszulę i gryźć ciało. Ten od razu zrzucił go na ziemię. Herszl urągał:

– Zapamiętaj sobie pętaku, ciągnąłeś mnie jak paczkę brudnego prania. Sądzisz, że wódka mnie zamroczyła... niech cię piorun w zęby trzaśnie, ty kundlu...

Zaczął przy tym rzygać żółcią, aż oczy mu się zaszkliły.

Dziewczyny zapłakały jeszcze głośniej:

– Oj, Herszl, uspokój się... przecież nie chcą ci zrobić niczego złego.

Herszl rzucał głową na wszystkie strony, zakrzuszył się. Spoglądał na innych z przeszywającą nienawiścią.

– Dziewczyny, zapamiętajcie sobie, że ja, ja... was wykończę...

– Herszele, Herszeniu... dziecko złote, prześpij się, lepiej ci się zrobi – próbowały go uspokoić.

Jedna z nich, Zosia tancerka, zbliżyła się do niego i podłożyła mu poduszkę pod głowę. Herszl rozerwał ją zębami, aż pióra zaczęły latać w powietrzu niczym świetliki. Stopą trafił na pień, zdenerwowało go to, więc skopał go rycząc:

– Kurwa twoja mać!

W końcu wyczerpany zległ na ziemi bez ruchu, tyłkiem do góry. Z ust, niczym z krowiej mordy, ciekły mu wymiociny. Wkrótce zasnął. W powietrzu rozchodziły się odgłosy ciężkiego sapania i chrapania przypominające śpiące zwierzę.

Dziewczyny przysiadły nieopodal. Przez dłuższy czas nie spuszczały z niego wzroku. Potem wstały, odeszły i zmieszały się z tłumem.

Po skończonych zapasach ludzie pobiegli do wody. Woda wzburzyła się, pryskała srebrna piana. Chłopcy kąpali się razem z dziewczynami. W wodzie obejmowali się, a twarze stawały się coraz bardziej spocone i nabrzmiałe.

Z wody wystawały głowy mężczyzny i kobiety z rozpuszczonymi włosami, jedna obok drugiej. Ich oddechy łączyły się w namiętym stosunku; oczy mieli zamglone, spojrzenia spotykały się z szaleńczym oddaniem. Woda sięgała im aż po szyję.

Od czasu do czasu rozbrzmiewał w powietrzu namiętny okrzyk jakiejś dziewczyny. Co kilka metrów wystawały z rzeki podniecone, rozpalone głowy

mężczyzn i kobiet. Ustami wpjali się w siebie, chłonąc swoje oddechy jak alkohol. Ciało nie było widać. Tylko głowy.

Zapał wieczór. Nad Grabinką rozpościerała się ciemność, przybierając odcień granatu. Tymczasem z wody wciąż dochodziły namiętne piski oraz stłumione krzyki chłopaków i dziewczyn. Pijacy tłoczyli się przy pieńkach. Gdzie indziej siedziano i grano w karty przy blasku księżyca. Pieniądze brzęczały jak srebrne łańcuszki.

Nagle do rzeki zbliżył się goj o pełnej, grubo ciosanej twarzy pokrytej bliznami. W ręce trzymał nahajkę. Krzyczał, wymachując nią ze świstem w powietrzu.

– Wynocha stąd, wy lumpy, banda dziwek!

Wszyscy kąpiący się w rzece odpowiedzieli mu głośnym śmiechem. Zdało się, że to fale śmieją się z pierwotną siłą natury, która się w nich kryje.

Goj zaczął jeszcze gorzej ubliżać i wygrażać obnażonym, którzy wygodnie leżeli w wodzie:

– Wy kundle! Burdel sobie z rzeki robicie!

Rzucał się, wymachiwał pięściami i nahajką w powietrzu, ale na jego groźby wciąż odpowiadano wysokim i zdyszonym śmiechem. Kilka niby zawstydzonych dziewczyn ukryło twarze w wodzie.

– Spadaj stąd, hycclu, póki masz jeszcze wszystkie kości, i ugotuj sobie zupę ze swoich psów – krzyknął ktoś z drwiną.

Hycel zaczął wygrażać:

– Zawołam policję!

– Wołaj!

– Wsadzę was do więzienia!

– Wsadź!

Hycel odszedł, wyzywając i przeklinając. Zuchwały, grubiański śmiech leżących w wodzie towarzyszył mu jak echo skrzypiącemu wozowi.

Opróżniano butelki z resztek wódki. Jak psy myśliwskie wyczuwające zapach krwi, pijacy, którzy przedtem przysnęli, wyczuli zapach leżącej się wódki. Unieśli ogłuszone żarem alkoholu głowy i ruszyli przed siebie chwiejnym krokiem. Wielu z nich pełzło po ziemi jak robaki, prosząc kolegów o wódkę.

Josł sam włóczył się po polu z obwiązaną stopą i świszczącym patykiem. Czuł obcość tych wszystkich ludzi i jednocześnie jakąś obawę przed nimi. Nagle spostrzegł, że ktoś go woła:

– Josł, podejdź no tutaj!

Odwrócił się i rozpoznał Herszla Buczika, który zbudził się ze snu.

– Wody mi przynieś. Pali mnie... Bu-a-a – zwymiotował zieloną żółcią.

– Nie mam w czym – odparł Josl.

– Przynieś mi w czapce, ale prędko, żeby nie wyciekło.

– Dobrze. Przyniosę.

Josl szybko pognął do źródła, które znajdowało się niedaleko, pomiędzy dwoma kamieniami. Zaraz wrócił z pełną czapką. Choć przeciekała, zostało w niej jeszcze sporo wody. Jak krowa wtyka mordę do koryta, tak Herszl Buczik wsadził spierzchnięte usta do czapki Josla i żłopał świeżą, źródlaną wodę. Joslowi bardzo się to podobało i śmiał się w duchu. Król bandytów, który, założywszy się, potrafi zjeść w szynku dwadzieścia dwa jajka, pije teraz wodę z jego czapki, z jego rąk. Kiedy wypił wszystko, ryknął:

– Idź, mały, więcej cię nie potrzebuję.

Josl poszedł dalej, uśmiechając się. Włożył mokrą czapkę na głowę, a krople wody spływały mu po szyi.

Nagle rozległy się wrzaski przerażenia. Wraz z nimi niosło się ujadanie setki dzikich psów. Z każdą chwilą to szczekanie przybierało na sile. Chuligani podnieśli się z trawy, a dziewczyny zaczęły piszczeć i wrzeszczeć. Wybiegali z wody i szybko, w popłochu nakładali ubranie. Co niektórzy uciekli, ale większość została i z ciekawością czekała, co się wydarzy.

W dali gruba warstwa pyłu, przypominająca szarą zasłonę, na chwilę przesłoniła widoczność. Szczekanie psów stawało się coraz wyraźniejsze, a ze środka dochodził grubiański, ochryply głos hycła Wojciecha, szczującego je na ludzi.

Josla ogarnął strach i zaczął biec co sił w nogach. Kiedy przebiegł spory kawałek, zatrzymał się i z bijącym sercem obejrzał za siebie. Zobaczył hycła, który prowadził stado psów na długim, grubym sznurze. Choć były uwięzione przez kilka dni i wiedziały, że czeka je śmierć, z żalości i desperacji stały się teraz zdziczałe i groźne. Hycel chciał za ich pomocą wypędzić nieproszonych gości, z którymi się wcześniej kłócił. Aby psy były bardziej rozwścieczone i rozdrażnione, nie nakarmił ich i głodne poszczuł na chłopaków i dziewczyny, by pozbyć się ich z Grabinki.

Stado psów o wilczych, otwartych pyskach zbliżało się, wrywało do przodu. W ich oczach płonęła zwierzęca nienawiść i chęć zniszczenia. Hycel skierował je na tłum. Wygodzone, skazane na śmierć stworzenia z przyjemnością pognały do celu. Wycie rozwścieczonych zwierząt przecinało powietrze, a szczekanie roznosiło się ogłuszająco po całym polu.

– Uciekać! Uciekać! – krzyczeli niektórzy.

– Nie, nie uciekać! – odpowiadali inni.

– Wypędzę was stąd jak myszy! – wrzeszczał hycel zachrypniętym głosem.

Biegły czarne, rude i łaciate psy. Małe mopsy, smukłe dobermany i chude dogi. Josl z przerażeniem zobaczył morderczy ogień bijący z ich dzikich, wygłodzonych oczu.

W rękach chłopaków zaraz pojawiły się noże, żelazne sztaby, pejczce, a nawet sztylety. Śmiałkowicie ruszyli do przodu, nie chcieli czekać do nadejścia psów. Wymachiwano w powietrzu błyszczącymi ostrzami i głośnie, na całe gardło, ryczano, by przegonić psy. Świst sztab i pejczów przeplatał się ze szczekaniem głodnych, rozszalałych stworzeń i krzykami wystraszonych chłopaków.

Kiedy czarne stado psów było już bardzo blisko, przystanęły na chwilę, uniosły w górę pyski i zawyły, stojąc na dwóch łapach. Zrobiły kilka kroków w tył.

– Hajda, dalej, brać ich – krzyknął do nich hycel.

Psy natychmiast rzuciły się na ludzi. Podniósł się przerażający wrzask, krew tryskała w powietrzu.

Chłopacy wbijali sztaby i noże w łby i ciała rozszalałych psów. Te zaś wgrzyzały się im w ręce i nogi. Krzyki i wrzaski wzbijały się pod niebiosa. Jeden z psów biegł z rozłupanym łbem, zakręcił się na tylnych łapach w oszalałym tańcu, przewrócił się na ziemię i wył. Stopniowo jego wycie stawało się coraz cichsze. Z bólu wgrzyzł się zębami w piach, pysk miał pełen krwi, czerwonego błota i białej piany. Znieruchomiał martwy, zeszywniał.

Drugi pies dostał nożem w brzuch. Uciekł, ale nóż utkwiał w nim aż po rękajeść. Zaczął biegać w kółko wyjąc z bólu. Okręcał się jak wicher wokół własnej osi, pyskiem próbował złapać wystający z brzucha nóż, by wyciągnąć go zębami, ale nie mógł tego zrobić. Jego pyszczek nie sięgał miejsca, gdzie tkwiło ostrze. Kręcąc się szaleńczo, w pewnym momencie stanął na tylnych łapach i zaczął żalić się niebu. Łzy leciały mu z oczu, z pyska ciekła biała ślina. W jednej chwili przestał się kręcić i jak trafiony apopleksją padł sztywny na ziemię. Inny z kolei pies dostał cios żelazną sztabą, który złamał mu obie tylne łapy. Skoczył naprzód na przednich łapach jak gazela i zaczął przeraźliwie wyć. Z daleka zobaczył wodę i już chciał do niej wskoczyć, by uśmierzyć ból, ale sznur, na którym był uwiązany, pozwolił mu tylko dojść do połowy drogi. Stanął więc ze złamanymi łapami, wył z bólu i wrywał się do wody, która błyszczała mu przed oczami.

Wielu chłopaków upuściło sztaby i noże, a kiedy naskakiwał na nich jakiś pies, wkładali mu pięści do pyska i szarpali za język. Psy przednimi łapami wbiły się w rękę człowieka, rozdzierały mu skórę zabłoconymi pazurami, chcąc się uwolnić i wyły z bólu i rozpacz. Chłopacy szarpali je za mokre, ciepłe języki. Ręce pokrywała ślina i krew, która lała się strumieniem z psich pysków. Jeden z chłopaków właśnie wyrwał jeszcze drżący język. Pies uciekł brocząc krwią. Nie mógł już szczekać ani wyć. Ciężko dyszał, z jego płuc wydobywał się świst. To było teraz jego wycie.

Mały, chudy piesek, niewielki jak mysz, o smutnych i żalonych oczach, dostał pejcem, w który wplecione były kawałki ołowiu. Słychać było, jak trzaska złamany kręgosłup i piesek bez krzyku padł martwy, jak trafiony kulą w samo serce.

Herszl Buczik, rozpalony i podniecony walką, rzucał swoje ciężkie cielsko na prawo i lewo, wymachując nożem. Był jeszcze pijany, w zamglonych oczach płonął gniew. Złapał jakiegoś psa za gardło i podniósłszy wysoko ponad głowę, zaczął go dusić. Pies rzucał się w powietrzu, wierzgał przykurczonymi łapami. Krew leciała z pyska wprost na głowę Herszla, farbując mu włosy na czerwono. Ze zwycięskim okrzykiem Herszl odrzucił na bok uduszonego psa jak mokrą szmatę.

Josł zaczął biec w stronę domu, szybko, coraz szybciej. Zrobiło się już ciemno. Wycie psów i krzyki ludzi goniły go po drodze. Nie chciał obejrzeć się za siebie. Czuł, że serce wyskoczy mu z piersi. Wszystko co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi i żałował już, że poszedł do Grabinki. Po drodze spotkał Notego z kinematografem. Ten biegł zdyszany, dźwigając swoje zaczarowane pudło.

Obaj biegli tak razem około dwudziestu minut, aż wreszcie oddalili się od tego straszego miejsca. Widać już było miasto, kominy czerwonych fabryk i wysoki kościół.

– Nie musisz już biec – zagadnął Note chłopca.

Josł uprzytomnił sobie, że jest już prawie w domu, i zwolnił kroku. Jednak strach dalej wзираł mu z oczu

– Ci ludzie biją się z psami. Czyż nie są jak one? Czy są lepsi od psów? – rzekł Note, po czym zsunął z pleców pudło, by odpocząć.

Przed oczami Josła raz jeszcze ukazał się obraz, jak Herszl wyciągniętą ręką trzyma psa za gardło, jak go dusi, jak pies się rzuca i wierzga łapami

w powietrzu. Włosy omal nie stanęły mu dęba na głowie. Przysunął się bliżej do starego.

– Boisz się? Drzysz? – zapytał Note.

– Tak... boję się...

– Teraz już nie masz się czego bać. Ale kto ci kazał tam chodzić? Co ty, chłopiec, który umie się już podpisać po żydowsku i rosyjsku, masz z nimi wspólnego? Staniesz się dokładnie taki jak oni.

– Nie, nie będę taki – potrząsa głową Josl. – A wy, reb Note, dlaczego tam poszliście?

– Ja, dlaczego ja poszedłem? – westchnął Note. – Nie wiesz czemu? Chciałem zarobić u nich. Ciężko jest zarobić na chleb takim pudłem.

Josl zawstydział się swojego głupiego pytania.

– Jak się nazywasz? Zdaje się, że już mi mówiłeś, ale zapomniałem.

– Josl.

– A, Josl. Powiedz w domu, Josl, że powinni cię posłać do chederu, do innych żydowskich dzieci. Jeśli nie, staniesz się jednym z tych tam... Powiedz to mamie, tylko nie mów, że to ja kazałem ci powiedzieć. Ludzie nie słuchają tego, co mówi Note. To dlatego, że nie mam brody, noszę gojski kapelusz i nie mam żony... Mówię to dla twojego dobra, Josl. Jeśli nie zrobisz, jak ci kazałem, będziesz później żałować i oplakiwać swoje młode lata.

Weszli w małe, ciemne uliczki przedmieścia. Note wszedł z pudłem do niskiego, drewnianego domu. Po drodze uderzył skrzynką w drzwiczki. Wydo stało się z niej kilka dźwięków muzyki, oznajmiając, że Note wrócił do domu ze swoim kinematografem.

ROZDZIAŁ DRUGI

TRUP

Kiedy Josł doszedł do swojej uliczki, czekała na niego nowa niespodzianka. Zastał tam tłum ludzi – kobiet, mężczyzn i dzieci. Wszyscy stoją rozgoryczkowani, zaskoczeni. Panuje ogólna radość. Staruszkowie, którzy nie mogą już wychodzić, wyglądają zadowoleni przez okna drewnianych domków. Nawet brzdące z opadającymi spodenkami i zasmarkanymi noskami biegną wniebo-wzięte, przeżywając z apetytem kawałki ciemnego chleba i główki śledzi.

O co chodzi? Z czego cała uliczka tak się cieszy?

Josł od razu dostrzega, co się stało i jego samego też przepelnia radość. W rogu uliczki od miesiący stał wysoki słup. Postawili go goje w mundurach o wyglądzie strażników. Słup stał i czekał. A teraz wisi na nim duża lampa elektryczna, oświetlająca całą uliczkę.

– Dobrze się pali! – orzekają z miną znawców i patrzą rozpromienieni.

– Świeci jak dziesięć żarówek.

– Jakie dziesięć? Sto!

– Jak na ulicy Piotrkowskiej u grubych brzuchów.

– Tylko popatrz. Że też zwykły drąg tak potrafi świecić!

Ludzie rozmawiają, wpatrzeni w latarnię elektryczną jakby była długo oczekiwanym gościem. Kilka kobiet, którym szkoda własnej nafty, siedzi już na progu, cerując skarpetki w świetle darmowej lampy. Z innych uliczek zesłi się ludzie obejrzyć to dziwo. Patrzą z zazdrością na latarnię i odzywają się zgryźliwie:

– To żelastwo będzie świecić tylko w sobotę wieczorem i w niedzielę dla chrześcijan.

– To wierutne kłamstwo! Jakich chrześcijan? Przecież na naszej ulicy w ogóle nie ma żadnych chrześcijan!

– W magistracie nikogo to nie obchodzi. Ich interesują tylko chrześcijanie.

– To nie magistrat zrobił latarnię, tylko policmajster...

– Skąd wiecie, że akurat policmajster? Dlaczego nie gubernator?

– Ani gubernator, ani policmajster, tylko pipcio zrobił latarnię – odzywa się jakiś dowcipniś.

Rozlega się śmiech. Mieszkańcy sąsiedniej ulicy milkną i wycofują się cichcem jak niepyszni.

Z jednego z domów wychodzi poźółkła, wychudzona dziewczyna z zapadniętą piersią, bladą twarzą i zaczerwienionymi z niedospania oczami. W ręku trzyma książkę i siada z nią na drewnianej ławce przy domu. Też jest zadowolona, chociaż nie podoba jej się tłum na ulicy i z nikim się tu nie przyjaźni. Ta dziewczyna to „Chana szolem-alejchem”.

Przezwisko „Chana szolem-alejchem” przyłgnęło do niej już dwa lata temu. Było to tak: na Bałutach znajduje się wypożyczalnia książek Liby wdowy, z której Chana nigdy nie korzystała. Aż Liba raz przyszła do Chany do domu z wymówką:

– Dziwi mnie, Chaneczko, że wydajesz pieniądze tylko w mieście, u tych grubych brzuchów, podczas gdy u mnie możesz dostać najpiękniejsze książki, najprzedniejsze tragedie i fantazje. Odkąd zmarł mój mąż (niech się w niebie za mnie wstawi), jest to mój jedyny zarobek. Jakże to tak: dziewczyna od nas zdiera buty, by wydać swoje kilka groszy w mieście, a u mnie, tuż pod nosem, dwa kroki stąd, jest wszystkiego do wyboru, do koloru.

– Racja – przyznał ojciec Chany, który już leżał w łóżku – jeżeli już i tak oczy sobie wypatrujesz przy tych głupich książczynach, możesz choć dać zarobić Libie. Jej się bardziej ten grosz przyda niż grubym brzuchom w mieście.

Chana siedziała z opuszczoną głową i nie miała najmniejszego zamiaru słuchać Liby. Ale tej to nie zraziło i zaczęła prosić ze łzami w oczach, żeby dziewczyna została jej klientką. Wtedy ta przerwała milczenie i powiedziała:

– Po pierwsze, to wcale nieprawda, że daję zarobić grubym brzuchom. Pani nie zdaje sobie sprawy, o czym pani mówi. Biblioteka w mieście należy do porządnych ludzi, walczących o wolność ludzkości. Pani zoologiczne instynkty każą pani wszystkich obrażać, nawet tych, których pani nie widziała na oczy.

– Że co? Zabijcie mnie na śmierć, jeśli coś z tego pojąłem – odzywa się z łóżka ojciec.

– Ale proszę, mogę zostać czytelniczką u pani, lecz dopiero wtedy, kiedy się dowiem, jakie książki pani ma w bibliotece. Bo ja nie czytam byle czego.

Liba się ucieszyła.

– Chaneczko, u mnie są najpiękniejsze książki. Mogę tu panience kilka wyliczyć: *Zjadacz ludzi*, powieść w trzydziestu częściach, palce lizać, *Kat Paryża*, w szesnastu częściach, *Przebrany hrabia*, *Milioner żebrakiem*. Gdyby panienka przez trzy dni siedziała i czytała, jeszcze by jej nie było dosyć. Te książki łyka się jak kluski. Każde słowo można by wycalować. Mówię panience, panienka nie pożałuje. To złoto z brylantami, taką pociechę niech mam z dzieci, jakie to są perelki.

Ale Chana tylko się zmarszczyła:

– Ja takich szmat nie czytam.

– No to co panienka czyta? Wszyscy sobie te książki wyrwiają. Po *Zjadacza ludzi* albo *Kata Paryża* jest kolejka.

– Szolem-Alejchem¹. Jego czytam.

– Cooo? – Liba i ojciec ze swojego łóżka wybuchnęli śmiechem. – Ona czyta „szolem-alejchem”! „Szolem-alejchem” się mówi, nie czyta! Te wszystkie książki jej zupełnie pomieszały w głowie!

– Ja nie mówię „szolem-alejchem”, tylko czytam Szolem-Alejchema – Chana przygryzła wargi.

Widząc, że nic nie wskóra, Liba wybiegła z domu, zataczając się ze śmiechu, i opowiedziała całej ulicy, że Chana czyta „szolem-alejchem”.

I od tego czasu mówią na nią „Chana szolem-alejchem”.

Ojciec nie pozwala jej czytać dłużej niż do dziewiątej. Szkoda nafty, mówi, oczy sobie psuje i robi z siebie straszdyło, a to przecież panna na wydaniu. Więc gdy wybija dziewiąta, ojciec wybiega z łóżka w kałesonach i gasi światło.

Teraz Chana wymknęła się z domu z książką i czyta przy świetle latarni. Już nie potrzebuje zgody ojca.

– Chana szolem-alejchem też oszczędza na nafcie! – rzuca ktoś drwiąco na boku.

– Wyczyta sobie siwy warkocz²!

– Chce zostać szminteligentką!

Ale Chana na nikogo nie patrzy. Zaczerwienionymi oczami wczytuje się w książeczkę. Na jej przygarbionych, wąskich ramionach leży ciężar smutku, ciężar lat nędzy i wyczerpania.

¹ Szolem-Alejchem (dosl. „Pokój wam”, formuła powitalna w jidysz) – to pseudonim jednego z klasyków literatury jidysz, Szolema Rabinowicza (1859–1916).

² Siwy warkocz – symbol staropanieństwa.

Ślepy Szlojme, paralytyk, siedzący zawsze w wózku jak gipsowa mumia, też się zjawiał, by „zobaczyć” latarnię elektryczną. Do wózka zaprzężony jest jak koń chudy, brudny pies, który ciągnie go po ulicy. Ślepiec porusza uszami, jakby chciał usłyszeć latarnię. Na jego nieruchomej twarzy wykwiła martwy, smutny uśmiech. Zwraca się do psa w jidysz:

– Na lewo, Skit... na prawo... do latarni... Też sobie popatrzymy...

Pies, jakby wszystko rozumiał, mruży okrągłe oczy bez brwi patrząc na latarnię i rzuca głową, jakby nie był przyzwyczajony do światła dochodzącego z wysokiego słupa. Podkrada się do niego jakiś chłopak, wdmuchuje mu do uszu i nosa dym z niedopałka, który podniósł z ziemi. Pies zaczyna kichać i szczekać, w gardle go gryzie. Ślepiec krzyczy:

– Uciekajcie, łobuzy! Czego chcecie od biednego zwierzaka?

Śmiech. Jakiś starzec przegania chłopaka i pies, wiecznie zmęczony, z wytartymi plamami sierści, ciągnie dalej wózek ze ślepym paralytykiem. Węszy i szuka na ziemi czegoś, czym by mógł zapchać swój wiecznie głodny żołądek.

Josl czuje, że musi coś zjeść i idzie do domu. Wyszedł w południe, a teraz jest już późny wieczór. Mama na niego nakrzyczy, że nie było go przez cały dzień. Wie, że zaraz spadnie na niego grad wyzwisk. Trochę się boi, ale jest przyzwyczajony. Kiedy zbliża się do domu, wychodzi mu naprzeciw Dwojra, właścicielka domu. Przywołuje go do siebie i głęboko wzdycha:

– Dokąd idziesz, Joslu? Do domu?

– Tak – odpowiada Josl, przyglądając się życzliwej kobiecie.

Dwojra przytyka fartuch do oczu i do nosa. Płacząc, głaszcząc go po głowie, po włosach. Joslowi robi się smutno. Dlaczego Dwojra płacze? Dlaczego głaszcząc go po głowie? Co z niego nagle za ważniak? Czuje, że coś jest nie tak i patrzy wielkimi oczami na właścicielkę.

– Wejdz do mnie. Na pewno jesteś głodny. Chodź, dziecko, dostaniesz coś do jedzenia.

Bierze go za rękę i wpuszcza do siebie do domu. Josl nic nie mówi i pozwalając się prowadzić. W środku nikogo nie ma. Lampa jest przykręcona, więc panuje półmrok. Z drugiego pokoju dochodzi miarowy oddech, jakby ktoś smacznie spał. Dwojra bierze stółek i prosi, żeby usiadł. Potem wyjmując talerz z pieczoną gęsią i chałką i stawia przed Joslem na stole. Josl nie chce jeść. Milczy, jest mu smutno. Serce mu drży jak płomień świecy.

– Dlaczego nie jesz, Joslu? – mówi ciepło Dwojra – To dobre. Będzie ci smakować.

– Chcę do domu... Nie jestem głodny.

– Jedz, jedz, dziecko. Biegałeś przez cały dzień, jeszcze osłabniesz.

Ale Josl nie rusza niczego z talerza. Po pierwsze, nie może jeść u obcych, a po drugie, serce mu tak mocno bije. Nie podoba mu się, że Dwojra akurat teraz go zawołała. Nigdy przedtem tego nie robiła.

– Chcę iść do domu – wstaje i robi ruch w stronę drzwi. Dwojra znowu przytyka fartuch do oczu i rozdzierająco wzdycha.

– Już nie masz domu, biedne dziecko – mówi w końcu.

Josl czuje się zagubiony, jej słowa wcinają mu się głęboko w serce. Wybiega na zewnątrz.

Drzwi ich mieszkania są otwarte. Na klatce schodowej stoją ludzie, wzdychają i rozmawiają cicho, jakby jakiś wielki pan właśnie spał i bali się podnieść głos. Kiedy Josl pojawia się na drewnianych schodach okutych żelazem dla ochrony przed wytarciem, rozlega się cichy, stłumiony szmer, jakby wiatr wtargnął do stodoły pełnej siana. Otaczają go spojrzenia pełne żalu i ciepła. Josl je czuje i jeszcze bardziej się denerwuje. Ludzie rozsuwają się przed nim, dają mu przejść. Dobiega go cichy płacz. To płacze jego siostrzyczka. Łzy napływają mu do oczu. Kiedy dochodzi do mieszkania, widzi, że coś leży na ziemi, jakaś rzecz, jakby człowiek, a obok stoi świeczka i pali się³.

Siostra, Mirele dostrzega go i zaczyna płakać jeszcze głośniej. Josl staje jak wryty obok ciała rozciągniętego na ziemi. Nie płacze, tylko stoi i patrzy na tę rzecz przykrytą prześcieradłem. To ma być jego mama? Nie, nie, to nie jest jego mama. Nie chce o tym wiedzieć. Stoi i wpatruje się dziecięcym, nieprzytomnym, zagubionym spojrzeniem, jakby dostał cios w głowę i nie wiedział, gdzie jest. Patrzy na ziemię, na świecę, na siostrę Mirele, a przed oczyma zaczynają mu wirować czarne koła i czuje zimno w kolanach.

Stoi tak bez słowa przy swojej mamie i patrzy na nią jak na obcą osobę. Ludzie znowu zaczynają szemrać. Wszyscy spoglądają na Josla i dziwią się, dlaczego tak stoi, milczy i nie płacze.

³ W tradycji żydowskiej ciało zmarłego, przykryte całunem, układa się na podłodze, gdzie spoczywa aż do pochówku (który ma miejsce tego samego lub następnego dnia).

Oczy chłopca wbijają się w zwłoki jak ostrza. Trzyma się prosto, ręce ma zeszywniałe, ciało stwardniałe, jakby było z kamienia, oczy szeroko otwarte, w powiększonych źrenicach drży odbłask świecy żałobnej, stojącej na podłodze.

Kobiety podnoszą do oczu fartuchy. Na ciemnych schodach słysząc zduszony kaszel i cichy szept, brzmiały niesamowicie, jakby ktoś mówił przez sen.

Z jednej z licznych dziur powoli wysuwa się mysz i zakrada się do buta zmarłej, leżącego obok łóżka. Wystawia główkę, niepokoi ją panująca cisza, więc znów głęboko się chowa. Widać, jak czubek buta porusza się, podnosi. To mysz w nim się zagrzebuje. Na drewnianym warsztacie tkackim leży peruka⁴. Peruka zmarłej. Wiatr, wkradający się przez otwarte okno, podnosi włosy peruki, wydając cienki gwizd. Wydaje się, że to one same gwizdzą i bawią się z wiatrem, z wieczornymi cieniami. Unoszą się i opadają.

Josł stoi jak obcy, jak przypadkowy przechodzień, z szeroko otwartymi nieobecnyimi oczami, jakby spał na jawie i widział w powietrzu widma.

Malutka Mirele podchodzi bliżej, potrząsa nim i głosem już zmęczonym od lez woła:

– Josł, Josł, to nasza mama, płacz, Josł!

I dopiero teraz Josł się budzi, bierze siostrę za rękę jak zgubione dziecko, które znajduje kogoś bliskiego, i razem z Mirele zaczyna płakać. Ich szlochom towarzyszy skrobanie myszy w bucie zmarłej.

Trup leży przy progu. Spod przykrycia wystają trochę sine martwe stopy o brudnych żółtawych paznokciach i odbijają się w pękniętym matowym lustrze, wiszącym krzywo na ścianie. Wydaje się, że te martwe bezkształtne stopy kołyszają się w smutnej, ciemnej tafli.

Ktoś podchodzi, zakrywa lustro czarną chustą⁵ i naciąga na stopy prześcieradło.

Przed bramą stoją dwie kobiety i rozmawiają:

– Tyle razy się jej mówiło, żeby przestała pracować na warsztacie, ale nie chciała słuchać. Oj, Ojczye niebieski, żeby już się więcej takie rzeczy nie zdarzały!

– Brzuch już miała jak worek mąki, a ciągle jeszcze siedziała i stukwała na krosnach.

⁴ Pobożne zamężne Żydówki zakrywają włosy w miejscach publicznych.

⁵ W tradycji żydowskiej w domu zmarłej osoby zakrywa się lustra.

– A co miała biedaczka robić? Musiała zarabiać, żeby móc utrzymać siebie i dzieci. Mąż jej zmarł, sama musiała zarobić na życie.

– Przedtem też harowała jak koń. Ten jej mąż to był mi dopiero wielki żywiciel rodziny! Ho-ho! Niech mi tego nie ma za złe w grobie. Suchotnik, skóra i kości, widać mu było grdykę przez skórę jak pompę. Już na kilka lat przed śmiercią ledwo zipał. Zarabiał na wodę i na kaszę. Gdyby nie Hinda, w garnku nie byłoby kaszy!

– Ale po co jej było więcej dzieci? Dwójka była jej mało?

– Nie powinnaś mówić, Raco, na co komu dzieci. Nie należy się mieszać w cudze sprawy. Ale jak się ma już taki brzuch, że lada moment może pęknąć pępek, nie powinno się siedzieć przy krosnach i harować. Tego nie mogę znieść. A do tego, żeby pracować na pełnych obrotach już w sobotę wieczorem⁶, po takim upale, że nawet ptaki na dachu omdlewały.

– A może nie praca jest winna? Może to taki poród?

– Co tu dużo mówić, Iteczko, moja złota? Litość bierze na dzieci. Sieroty bez ojca i matki. A teraz doszło jeszcze to maleństwo, kto je będzie karmić? Kto mu będzie prał pieluchy, kto go będzie kołysał? Oj, Iteczko złota, nawet gojowi nie życzyłabym takiego żywota.

Kobieta wyciera sobie oczy koniuszkiem sukni i wzdycha.

Potem wchodzi do mieszkania w małym drewnianym domku z pochyłym dachem z gontów, na którym znajduje się kilka drewnianych klatek – gołębników. Gołębie teraz śpią. Ale w granacie nocy błyszczą z daleka ich srebrny puch.

Mieszkanie jest pełne ludzi – obcych ludzi z zatroskanymi twarzami, w większości kobiet z chustami na ramionach, przywdzianymi z szacunku dla zmarłej, chociaż noc jest gorąca. Pierwszy pokój jest niski. Na grubym drucie przytwierdzonym do sufitu wisi lampa naftowa z blaszonym abażurem. Przy oknie stoją dwa drewniane warsztaty tkackie. Szyby pokryte są wełnianym pyłem. Lampa się pali, ale jest ciemno i twarze wydają się jeszcze bardziej posępne. W drugim pokoju, w którym są trzy łóżka, dębowa szafa, stół i krzesła, stoi drewniana staromodna wanna, napełniona ciepłą wodą. Młoda kobieta trzyma na rękach niemowlę i kąpie je w wanience. Maleństwo pluska się i piszczy jak ptaszek. Jego czerwone ciało po raz pierwszy w swoim nowym życiu czuje dotyk ciepłej wody.

⁶ Czyli zaraz po ukończeniu szabatu, kiedy praca jest dozwolona.

– Biada ci, sierotko, że przyszedłeś na świat sam jak palec! – wzdycha Dwojra przy wanience, a jej lza miesza się z ciepłą wodą, w której noworodek pluska się jak ryba i wydziera na całe gardło.

Reb Eli też jest zatroskany. Wyszedł z domu, bo nie może słuchać lamentu kobiet. Chodzi małymi kroczkami w tę i z powrotem po podwórzu, z rękami założonymi do tyłu. Rozmyśla z powagą o dwójce dzieci, które zostały teraz zupełnymi sierotami. On jeden z całej uliczki czuje się zobowiązany nimi zając. Bo jak nie on, to kto? Może „tamtó towarzystwo”? Pewnie, oni by się zgodzili wziąć dzieci, ale co by z nich zrobili? Linoskoczków, złodziei, rzezymieszków. Żal boskich stworzeń. Szkoda, żeby zeszedli na złą drogę. Jeśli teraz będzie stał z założonymi rękami, tak się właśnie stanie. Banda Herszla Buczika zabierze dzieci i wychowa je na sobie podobnych. Nie, nie można do tego dopuścić.

Myśli o Joslu. Chłopiec mu się podoba. Ma delikatną twarz, jest z natury wrażliwy. Mógłby mu pomagać przy krosnach i zarabiać na własne utrzymanie. Natomiast to maleństwo, noworodek – to dopiero problem, który może mu zatruć życie i przysporzyć trosk. Po pierwsze, reb Eli jest bardzo nerwowy i krzyk niemowląt wbija mu się w mózg jak ostrze noża. A po drugie, kto będzie je karmił? U niego w domu nie ma przecież młodych kobiet zdolnych do karmienia piersią.

A może matka miała krewnych, którzy mogliby wziąć do siebie niemowlę? Albo gdyby byli jacyś krewni ze strony męża gotowi to zrobić, wtedy kamień spadłby mu z serca.

Pamięta bardzo dobrze, że był jakiś brat. „Jego” brat, zmarłego męża. Przyszedł wtedy na pogrzeb. Tylko że wyglądał na kompletnego nędzarza. Oprócz niego nikt inny się nie zjawił. Wobec tego można przypuszczać, że nie mieli więcej krewnych. Bo kiedy mieliby się zjawić, jeśli nie na pogrzebie? Czyli, że w ogóle nie mieli żadnej rodziny. To dziwne. Żeby Żyd był samotny jak mysz kościelna.

A gdyby nawet wziął do siebie Josla i niemowlę – co stanie się z dziewczynką? Chłopiec jak chłopiec. To bardziej chodliwy towar. Kiedy dorasta, zostaje czymś zięciem. Ale dziewczynka? To tani artykuł, nikt się nań nie połasi. Ale biada, przecież to taka sama biedna sierota jak Josl i niemowlę. Też ma usta, co muszą jeść i też ma parę nóg, które na święto potrzebują butów.

Tak rozmyśla reb Eli, chodząc tam i z powrotem po podwórzu. Nad jego głową kołysze się granatowe niebo pełni lata, a lekki wietrzyk delikatnie głaszcząc mu brodę, jak dziecięcą rączką. Świeżą szabatową koszulę ma nieco rozpiętą i powietrze miło łaskocze go w chłopięcą, niezarośniętą pierś.

Na ciasnym podwórku nikogo nie ma. Leży odwrócony ciężki wózek, zapadający się w ziemię jak stara macewa. Robi się coraz mniejszy, bo wielkie myszy klozetowe obgryzają go kawałek po kawałku. Reb Eli siada na wózku.

Wszyscy mieszkańcy są albo w domu – przy niemowlęciu lub przy zmarłej – albo na ulicy, gdzie cieszą się z nowej latarni.

Z daleka reb Eli wygląda jak chłopiec z doklejoną bródką. Ma wąski tors, stopy drobne jak u kobiety, szczupłą twarz o spiczastym, zakrzywionym nosie i jasnobrązowe oczy jak guziki z rogu. Ubranie ma czyste. Jego postawa świadczy o tym, że to człowiek przyzwyczajony do robienia tego, co sam postanowił.

Teraz jest zły na siebie, że rozmyśla o dzieciach pozostałych po zmarłej: he-he, to dopiero, nowy kłopot na moją głowę!

Patrzy na wózek pod sobą i dziwi się, że go jeszcze nie rozebrano na drewno i złom, tylko leży tutaj i służy myszom za paszę. Decyduje, że następnego dnia, jak Bóg da, zajdzie do Jontla Furmana i każe mu zabrać wózek, bo jak nie, to sam to robi, a wtedy Jontl nie zobaczy już ani deseczki ze swego grata.

Z daleka rzuca okiem na pompę. Reb Eli jest z niej dumny, jakby to był pałac. Na uliczce jest wszystkiego pięć pomp. Dwie z nich nie działają. Cieszy go pomalowany na zielono kłoc, z którego cieknie woda i na którym puszy się rosyjski napis: „Woda zdatna do picia”. Niedawno przyszła komisja inżynierów i sprawdzała jego wodę. Sąsiedzi z innych podwórzy ustawili się z daleka i próbowali zgadnąć, czy wodę uzna się za niezdatną do spożycia. Bo czuć od niej jakiś zapach. Kiedy powiedziano to reb Eliemu, odrzekł gniewnie:

– Głupcy się wymądrzają!

– Ale jednak wodę czymś czuć.

– Ośły z was – powiedział Jontl Furman, który był aż na Kaukazie i uważał się za kogoś, kto dużo wie o świecie. – Każda pompa ciągnie wodę z jakiegoś morza. Na świecie jest siedem mórz: Morze Czerwone, Morze Czarne, Morze Żółte, Morze Słone, Morze Zielone, Morze Niebieskie i Morze Białe. Każde ma inny smak. Nasza pompa ma smak Morza Słonego. Napijcie się herbaty bez cukru, wtedy od razu wycujecie sól.

– Nie, to nie jest smak soli, tylko miedzi – wmieszał się Herszl Buczik. – Poliżcie kopiejkę, a zobaczycie, że smakuje tak samo, jak nasza woda. Jak ja wam mówię miedź, to możecie wierzyć!

– Nasza woda nie ma ani smaku miedzi, ani soli, tylko szczyln – odezwał się ktoś inny. – Jakby mi dopłacili, żebym poczęstował gościa szklanką herbaty z wody z naszej pompy, to bym tego nie zrobił.

Reb Eliego ta rozmowa bardzo zdenerwowała.

– Popatrzcie tylko na tych lapserdaków! Jak główkują jeden z drugim, czym smakuje woda! – myślał sobie i z biciem serca czekał na werdykt komisji.

Reb Eli zwyciężył. Komisja zdecydowała, że wszystko w porządku, woda jest wodą jak każda woda. Można jej używać do wszystkiego, nawet do ciastek, placków i kołaczy, można ją mieszać z mąką na największe przyjęcia. Reb Eli uklonił się i podziękował z radością, a ci, co oczerniali jego zieloną pompę, umilkli.

Na ramieniu pompy umieszczony jest nikłowy zamek i nie każdy może brać wodę. Kluczyk wisi u reb Eliego w domu. Wisi na drzwiach, obok mezuzy⁷, na honorowym miejscu.

To, że kluczyk wisi akurat obok mezuzy, nie jest przypadkowe. Pompa to poważna sprawa. Każda studnia to dziura głęboko w ziemi, a w takich pieczarach lubią ukrywać się demony, złe duchy, chochliki, czorty i potwory – tak twierdzi Fajferówka. Istnieją martwe dusze, przeklęte przez Boga, skazane na to, by przez siedem tysięcy lat moczyć się na dnie studni i myć tam białe dęby, odarte z kory. Istnieją czarownice, które tańczą w głębinach studni, a kiedy nadchodzi północ, wystawiają stamtąd drwiąco języki długie na wiorsty, tak że mogą nawet sięgnąć nieba i całować księżyc ich czerwonymi, rozpalonymi czubkami. Istnieją wrogie ludziom potwory, skazane przez Stworzyciela, by wiecznie wołały przed Nim o litość. Jest to kara za zatopienie statku, na którym siedmiu świętobliwych cadyków płynęło do Ziemi Świętej. I to wszystko harcuje wokół studni i pomp. Biada takiej pompie, w której na głębokości tysiąca sążni znajduje się gniazdo chochlików, potworów, czarownic i złych duchów. Kto napije się z niej wody, zaczyna szczekać jak pies, a głos mu się tak zmienia, że nie wiadomo, czy to głos mężczyzny czy kobiety. Wystarczy, że człowiek polize miskę z taką wodą, a zaczyna chudnąć jak patyk, chodzi na czworakach, nie może mieć dzieci, kaszle jak trąba, wędruje nocami po dachach, może zostać zamieniony w miotłkę, a na brzuchu może mu wyrosnąć róg... Pompa to święta rzecz! Może zostać przeklęta jak człowiek. Kluczyk musi więc wisieć przy mezuzie.

Zapytajcie żonę reb Eliego, Dwojrę, a opowie wam takie historie o przeklętych pompach, że włosy wam staną na głowie. A jeśli wyrażicie najmniejszą

⁷ Mezuz (dosł. „odrzwia, futryna drzwiowa”) – zwitek pergaminu z dwoma fragmentami Tory, umieszczony albo w pojemniku wykonanym z drewna, metalu, kości lub szkła, albo w rurce, zawieszany na zewnętrznej prawej framudze drzwi, w judaizmie mający wartość symboliczną, historyczną i religijną.

wątpliwość co do ich prawdziwości, przerwie opowiadanie w połowie, zostawi was i ucieknie:

– Wy pewnikiem jesteście socjalistą, skoro nie wierzycie, że pompy mogą być przeklęte!

W mieszkaniu panuje półmrok. Świeca stoi na podłodze obok zmarłej, a płomień kołysze się, jakby łagodnie poruszał nim ludzki oddech. Obok ciała przykrytego białym prześcieradłem siedzi Żyd z rzadką brodą, żółtoszarą jak stara słoma. Siedzi i drzemie. Jest ubrany w płócienny chałat, twarz ma wysuszoną i bladą, a powieki czerwone. Stopy tkwią w drewniakach oblepionych wyschłym błotem.

Jest cicho. Północne niebo zagląda do środka zamyślane i spokojne, błyszczy w szybie jak oczy. Mężczyzna siedzi, głowa opadła mu na pierś. Usta ma otwarte i widać w nich dwa rzędy szerniałych zębów podobnych do starych gwoździ. Wokół świeczki żałobnej lata mucha, bzczy przez chwilę, aż zajmuje się ogniem. Słychać cichy syk i mucha się spala. Zaraz znów robi się cicho.

Josł zasnął na łóżku. Leży w ubraniu, twarz ma lekko zaróżowioną. Tylko Mirl⁸ nie śpi. Siedzi w kąciaku na stołeczku. Jej oczy, czerwone od płaczu, wyglądają jak rany. Teraz już nie płacze. Siedzi otulona ramionami, zagubiona, ogłupiała. Jej mama, jej martwa mama wydaje jej się jakaś obca. Przez cały dzień płakała, wołała, prosiła, a mama leży niema i cicha. To jest śmierć. Obcość zaczęła wypelzać z martwego ciała i pomału wdarła się do serca Mirele.

Czy to naprawdę jest jej ukochana mama? Głęboka powaga, bijąca od trupa jak lodowaty wiatr, sprawia, że Mirele drży. Rozpoznaje dobrze znane stopy: duże, niezgrabne, mięsiste, z gulami na palcach. Patrzy teraz na nie. Są sine, napawają ją strachem i zdają się już nie należeć do jej mamy.

Spod prześcieradła widać kształty mamy. Dobrze je zna, ale nie wiadomo dlaczego, jakaś wielka groza bije od tego ciężkiego, niemego ciała, tańczy po izbie boso i cicho jak kot. Przedtem Mirele płakała. Teraz zabrakło jej łez. Śpiąca izba otacza ją welonem strachu. Wyciąga cicho rączki, chwyta ukradkiem chustkę i zakrywa nią głowę. Cała się w nią wtula. Chowa w niej twarz i ramiona. Widać jej tylko oczy i kawałek noska. Płomień świecy drży. Przerażona i niedospana, ma wrażenie, że świeca porusza się, idzie pomału, zbliża się do niej... Mirele krew ucieka z twarzy, zaczyna płakać. Chce podejść do brata, do Josła, dotknąć jego ręki, poczuć w sobie jego życie i przegnać strach. Ale boi

⁸ Mirl i Mirele to zdrobnienia od imienia Miriam. W powieści występują na przemian.

się ruszyć z miejsca, boi się płakać, tylko cicho, bezgłośnie szlocha. Łza zatrzymuje się jej na rzęsie, świeca na podłodze robi się podwójna. Zamiast jednej świecy są dwie, zamiast jednej martwej mamy są dwie... Obie świece palą się drżącym płomieniem, kołyszą się z powagą wiecznego spoczynku... Z dwóch martwych stóp robią się cztery i drżą jej przed oczami w zwierciadle łyzy. Mirele prawie omdlewa, chowa główkę głębiej w chuście i zamyka oczy.

Łza kołysze się na jej rzęsie jak kolczyk, spada na policzek i robi się gorąca od ciepła jej zaspanej twarzy.

Ale Mirele boi się otworzyć oczy. Nie śpi, ale nie chce ich otwierać, aby się rozejrzeć. Nagle słyszy hałas. Mężczyzna w drewnianych chodakach poruszył się. Mirele otwiera oczy i patrzy na niego zdezorientowanym, zaspanym spojrzeniem. Mężczyzna ponownie spuszcza głowę na pierś i zapada w drzemkę.

Teraz Mirele widzi, że jest tylko jedna świeca i jedna martwa mama. Dochodzi do niej cały ogrom jej nieszczęścia, płacz bez łez i bez słów rozlewa się bezsilnie po wszystkich jej członkach.

Zegar na wieży kościelnej wybija wpół do drugiej. Metaliczne tony drżą w ciszy jak naelektryzowane druty. Jest głęboka noc. Oczy Mirele są lekko rozchylone. Słyszy oddech dwojga ludzi, jej brata Josła i żółtobrodego mężczyzny, który drzemie na zydelku obok martwej.

Z jednej z dziur wychodzą dwie myszy. Rozglądają się trwoźnie na wszystkie strony. Zobaczyły świeczkę i już chcą się wycofać. Jakby myślały: skąd tu nagle świeca na podłodze? Ale zaraz się ośmielają, przechodzą obok świeczki i idą dalej. Kręcą główkami na wszystkie strony, szukają czegoś. Ciszę przecina cichy gwizd. Myszy zbliżają się do martwej kobiety.

Mirele zapiera dech w piersi. Wydaje jej się, że jest sparaliżowana i nie może się ruszyć, jakby była glinianą lalką. Zęby jej dzwonią, cała chowa się w chuście. Myszy przestraszyły się zmarłej i odskakują. Dotknęły ciała, dziwią się, dlaczego rozciągnięty na ziemi człowiek nie rusza się i pozwala się im zbliżyć. Czy to jakiś podstęp, pułapka? Zawróciły. Ale niebawem znów odważnie ruszają w stronę człowieka. Odsunęły prześcieradło, weszły we włosy umarłej, zaplątały się, poczochnęły je, potargały. Brały włosy do pyszczków i wyrwały. Mirele usłyszała, jak myszy rwą włosy mamy, zaczęła się trząść i bezgłośnie płakać.

Łzy zmoczyły jej chustkę i twarz, ale była tak przerażona, że z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Jedna z myszy odsunęła prześcieradło z głowy mamy i Mirele zobaczyła jej martwą twarz. Była żółta i zapadnięta, wykrzywiona i pomarszczona z bole-

ści. Miała błagalny, bezsilny wyraz człowieka śmiertelnie chorego, a jednocześnie wyglądała z niej ta dziwna i głęboka obcość, wznosząca mur grozy między żywymi i martwymi.

Jedna z myszy przystanęła na żółtym, pomarszczonym czole i ze zdumieniem wpatrywała się w oczy zmarłej. Trzymała głowę, jakby się wsłuchując, czy w człowieku pod nią bije jeszcze serce. Stała tak z minutę na pooranym zmarszczkami czole, pogrążona w myślach, po czym zaczęła bezwstydnie łązić po całej twarzy. Usta kobiety były na wpół otwarte, jakby skurczone z bólu, wargi spieczone i szerniałe. Kilka popsutych zębów wyglądało ze środka, a biała piana agonii jak śnieg pokrywała czarne usta.

Mysz zaczęła zlizywać pianę z ust trupa. Mirele zamknęła oczy, by tego nie widzieć. Chciała krzyknąć i nie mogła. Teraz nie mogła nawet płakać. Głęboki ból kłuł ją w serce do omdlenia.

Mysz na czole zmarłej porzuciła swe zajęcie, znowu znieruchomiła i zaczęła obserwować groszową świecę stojącą na podłodze. Jej oczka natrafiły na drżący płomień. Zaskoczona, zamyśliła się i zaczęła cicho gwizdać. Na ten dźwięk druga mysz podeszła do towarzyszki i obie wpatrzyły się w ogień. Zmrużyły oczka, tylko od czasu do czasu cienki gwizd maścił ciszę w izbie.

Mirele wydawało się, że związano jej ręce i nie może się ruszyć. Miała przed sobą martwo żółtą twarz mamy, z wyżłobionym znakiem cierpień i błagań, znakiem bezradności i strachu przed dalekim, obcym krajem, do którego udają się umierający.

Mirele znów teraz widziała swoją dobrą, kochaną mamę. Z wilgotnymi oczkami i otwartymi, zastygłymi ustami, patrzyła na drogą twarz, którą jutro na zawsze zakryją, oraz na stojące na niej dwie zamyślane myszy, wpatrujące się w groszową świecę na podłodze i gwizdzące tak cieniutko, tak niesamowicie i przeciągle.

Nagle zrobiło się ciemno. Świeczka się wypaliła. Mężczyzna z bractwa pogrzebowego⁹ obudził się i obojętnie, jakby nigdy nic, nasunął prześcieradło okrywające zwłoki na twarz, po czym zapalił nową świecę. Myszy szybko uciekły.

Dopiero teraz Mirele rozplakała się na głos, boleśnie i żałośnie. Chciała się zerwać, przypaść do żółtej, wykrzywionej od cierpienia twarzy i długo, bez ustanku ją całować. Mężczyzna rzucił jej surowe spojrzenie swoimi zaspanymi oczkami i znowu pogrążył się we śnie.

⁹ Bractwo Pogrzebowe (hebr. *Chewra kadisza*, jidysz: *Chewre kedisze*) – żydowska instytucja charytatywna, zajmująca się przygotowaniem do pogrzebu i pochówkiem zmarłych.

Zapalił świeczkę, ale jego nogi w wielkich drewnianych chodakach nie ruszyły się nawet z miejsca. Wyglądały jak wrośnięte w dwa kloce drewna.

Karawan przyjechał koło piątej po południu. Miał być o jedenastej, ale się spóźnił. Na przedmieściu Bałuty karawan wiecznie się spóźnia o pięć-sześć godzin, jeśli nie więcej.

Był to obskurny czarny wóz, obłocony i brudny. Czarna farba oblaża, teraz jest żółtoszary. Lakier się wytarł i przeziera naturalny kolor desek. Podjechał z aroganckim turkotem, prawie galopem, mało brakowało, a przejechałby po drodze dziecko na krzywych nóżkach, które nie mogło szybko uciekać. Wzbił przy tym piach i pył jak gęsty тумan, który przesłonił na chwilę ulicę Fajfra, zapruszył oczy i uszy wielu ludziom. Gdyby chodziło o inny wóz, nie zmilczano by tego. Rozległyby się okolicznościowe przekleństwa pod adresem furmana: „Niech licho weźmie twoją matkę! Psi synu, pod kołami trzeba by cię położyć za taką jazdę na złamanie karku z kobyłą!”. Teraz było cicho. Ludzie przecierali oczy i milczeli. Ten sam wóz wszystkich kiedyś zawiezie na cmentarz na Marysińskiej. Dlatego ma się do niego szacunek i nie warto się na niego obrażać. Nawet Herszl Buczik, który nie przepuszcza żadnej zniewagi, pokornie tarł oczy z piasku i nie mówił ani słowa.

Furman, ubrany w czarną pelerynę, szybko wszedł do izby, razem z żółtobrodym mężczyzną z bractwa pogrzebowego chwycił zwłoki z podłogi, wrzucił je do trumny i wsadził na wóz.

Jest piąta. Setki syren fabrycznych rozgwiżdzały się z impetem, jak tysiąc pociągów przed odjazdem ze stacji. Nad Bałutami przepływały wielkie chmury kopcia, wypływane w letnie niebo przez wysokie czerwone kominy fabryczne. Gruba warstwa dymu wypełniła prawie całe niebo, zasłaniając obłoki i nie przepuszczając ani skrawka błękitu. Słońce, jak tonący statek, zniknęło połknięte przez czarne duszące morze. Ulice i budynki pogrążyły się w powodzi dymu, który buchał z wysokich na dziesięć pięter kominów setek fabryk, pożerając niebo, miasto, słońce i ludzi.

I tak – przy rozdzierającym gwizdzie syren obwieszczających na całą Łódź koniec pracy, pod niebem pełnym dymu i sadzy, sprawiającym wrażenie, że całe półmilionowe miasto zaczęło się nagle palić i że niebawem w tym morzu kopcia pojawią się tańczące języki niszczycielskiego ognia – ruszył kondukt żałobny tkaczki Złoty.

Karawan jechał szybko, zostawiając ślady na piaszczystym gruncie. Ludzie z tyłu nie szli, tylko biegli, pędzili, nie mogąc dogonić wozu.

Na czele szli Josl i Mirl. Trzymali się za rączki i płakali, opierając pochylone głowy na czarnych drzwiczkach karawanu. Następnie szła Dwojra z mężem,

niewysokim reb Elim. Oni jednak długo nie zostali – wycofali się po drugiej przecznicy. Potem szło kilka kobiet z fabryki, gdzie pracował mąż zmarłej. Za nimi, oddzielona od reszty, podążała ruda Cywia, właścicielka burdelu. Towarzyszyły jej dwie prostytutki. Płakały głośniej od innych i wdychały:

– Złate była uczciwą kobietą. Niech się za nas wstawi w niebie. Przeharowała trzydzieści lat przy krosnach, a nie zostawiła pieniędzy na całun.

Obie prostytutki, które się z szacunku dla zmarłej nie uszminkowały, miały pozółkłe, zwiędnięte twarze. Trzymały pod rękę burdelmame Cywię. Jej grube ciało kołysało się w rękach dwóch chudych kurew, a dobiegający z podwójnego podbródka głos brzmiał głucho, jak z pustej beczki:

– Oj, moi drodzy ludzie, co teraz będzie z dwoma biednymi sierotami! – beczała.

Następnie szła Chana inteligentka. Chociaż nie považała specjalnie zmarłej, bo ta była pobożna i przy każdej okazji mówiła o Chanie, że jest „nadęta jak balon”, uznała jednak za stosowne iść na pogrzeb. W końcu przepracowała trzydzieści lat przy krosnach, a jej mąż wypluł płuca przy czółenku i snowarce. Szła więc poważna i samotna, a jej czerwone oczy ziały ogniem wiecznej nienawiści do „tłustych brzuchów”. Za nią szedł Note od kinematografu, znajomy męża zmarłej. Ale kinematograf zostawił w domu. Pochód zamykało dwóch kataryniarzy z ulicy Fajfra, starszych mężczyzn, ogolonych jak nie-Żydzi, w polskich czapkach z błyszczącymi daszkami, w trykotach w paski jak koszulki katorżników zamiast marynarek.

Na samym końcu włókł się ślepy paralytyk Szlojme Bania. Był gruby od bezruchu, jakby opuchły, stąd przezwisko. Siedział na wózku, który dostał w prezencie od właściciela fabryki, po tym jak stracił u niego wzrok. Wyglądał jak beznogi, bo dolną część ciała miał przykrytą płachtą z surowego płótna. W jednej ręce, tej, którą jeszcze mógł ruszać, trzymał ramię z wyschniętego członka wołu, machał nim w stronę wychudłego psa ciągnącego wózek i mamrotał cienkimi, ciemnymi wargami:

– Ruszaj się, Skit... Ruszaj się, bracie!

Pies nie bardzo się przejmował pogrzebem. Swój wąski, wyliniaty pysk miał jak zwykle spuszczone i szukał czegoś do jedzenia na bruku, węsząc wilgotnym nosem.

Mężczyzna o rzadkiej żółtej bródce kręcił się tu i tam z blaszaną puszką, w której brzęczało kilka miedziaków, i krzyczał proszącym, płaczącym głosem:

– Ludzie, nagrzeszyliście bez miary, jałmużna uchroni was od kary!

Stukanie chodaków i podkutych podeszew niesło się po ulicach, zagłuszając płacz Josła i jego siostrzyczki.

Wóz gnał jak szalony, chcąc jak najszybciej pozbyć się trupa na miejscu wiecznego spoczynku. Syreny fabryczne kończyły już swój nielitościwy, świdrujący w uszach gwizd. Pojawili się robotnicy z pustymi niebieskimi dzbanuszkami do kawy pod pachą, z twarzami poczerniałymi od kurzu, z rękami i policzkami umazanymi olejem oraz pyłem z tkanin.

Pies ślepcą znalazł kość walającą się między odchodami końskimi na zapiaszczonej drodze i zaczął ją obgryzać. Wolniej przez to ciągnął wózek i został daleko w tyle za konduktem pogrzebowym. Karawan był już na innej ulicy, a ślepiec ciągle jeszcze mamrotał i wzdychał:

– Oj, oj, tak młodo zeszła z tego świata... Nie nacieszyła się życiem... Niech to wszystko licho weźmie... Machnął rzemieniem na psa, by go pogonić. Pies nie włókł się teraz za karawanem, a za furą cegieł. Na śmiech się zbierało na widok ślepcą podążającego za furą i oplakującego zmarłą.

Nagle Szlojme nadstawił uszu i zaczął nasłuchiwać. Zorientował się, że jest na złej drodze. Po charakterystycznym skrzypie cegieł, ocierających się jedna o drugą, poznał, że zablądził. W dodatku nie słyszał już płaczu i wzdychania ludzi z konduktu. Zarzucił głową i swoim chorobliwym, dobiegającym głęboko z piersi głosem, krzyknął z jezdni w stronę chodnika:

– Żydzi, proszę was, powiedzcie mi gdzie jestem?

– Na ulicy Brzezińskiej – odpowiedziano mu.

– A nie idzie przede mną kondukt pogrzebowy?

– Nie.

– O, biada mi, zablądziłem – gniewnie zdzielił psa rzemieniem po wyliniałej sierści i krzyknął – wracaj do domu, ty darmozjadzie, do domu, bo zedrę z ciebie twoją trefną skórę. Niech by cię szlag trafił, żebyś nie dożył doprowadzenia mnie do domu.

Pies szybko się odwrócił i skierował w stronę domu, wciągając wózek ze swym panem na chodnik. Drogę znał dobrze.

Słońce zachodziło. Niebo na zachodzie zaczęło krwawić. Jego czerwień zlewała się z czerwienią setek kominów, wznoszących się w powietrzu jak zakrwawione pięści na masywnych ceglanych fabrykach. Promienie słońca igrały na szachownicy szybek wiecznie ciemnych okien. Czerwony odbłask wpadał do środka, oblewał światłem zatrzymane motory fabryczne i długie, szerokie pasy transmisyjne, teraz nieruchome, podobne do śpiących bestii z betonu, żelaza i stali.

Josl i jego siostrzyczka Mirl, trzymając się za rączki, idą szeroką ulicą prowadzącą z cmentarza. Cywia, burdelmama, wcisnęła Joslowi do ręki pół srebrnego rubla. Moneta rozgrzała się i teraz pali go w rękę. Dzieci są same, idą cicho, bez słowa. Wszyscy rozeszli się przed końcem pogrzebu¹⁰, jeszcze przed bramą cmentarną, i Josl z Mirele samotnie wracają z domu wieczności¹¹. Zamyśleni, z szeroko otwartymi wilgotnymi oczami jak u chorego kota, wpatrują się w płonące, krwawe niebo, wychodzące im na spotkanie. Idą powoli, nie spiesząc się. Mało spali tej nocy, chcieliby się położyć. Powieki im opadają, ledwie powłóczą zmęczonymi nóżkami, jak młode ptaszki, które jeszcze nie potrafią latać.

Idą tak od pół godziny, milcząc, z opuszczonymi, zaspanymi główkami. W końcu odzywa się Josl:

- Mirele, chcesz iść do domu?
- Nie, nie chcę – Mirele budzi się jakby ze snu.
- Chce ci się spać, Mirele?
- Chce mi się spać, ale nie chcę do domu.
- Dlaczego nie chcesz?
- Boję się – i dziewczynka zaczyna płakać.

Josl też nie chce iść do domu. Jego też przeraża myśl o izbie, z której niedawno wywieziono mamę. Więcej nic nie mówi. Znowu stawiają powolne kroki na zapiaszczonym chodniku i milczą. Czerwone słońce wieczorne odbija się w szybkach latarni. Wieczorny wiatr szepcze w liściach samotnych drzew ulicznych. Mirele mocniej ściska rączkę brata i patrzy w górę, ot tak sobie. Za drewnianym płotem gra harmonijka. Jej tony budzą uliczne ptaki, zgarbione i głodne, siedzące na sześciokątnych daszkach latarni.

Skręcają za róg i dochodzą do szerokiej ulicy, zamieszkałej przez chrześcijan. W zeszłym tygodniu było Boże Ciało. Na drutach telefonicznych i kablach elektrycznych przed fabrykami wiszą zwiędłe wieńce, kwiaty i zielone gałęzie, razem z krzyżkami i obrazkami Jezusa i Matki Boskiej. Chrześcijanie, ubrani kolorowo, siedzą przed bramami w samych koszulach i odpoczywają po pracy. Czuć od nich olej i gryzący zapach surowców fabrycznych. Starsi siedzą nieruchomo jak mumie, w rozpiętych koszulach i pozwalają, by miły wieczorny wietrzyk łaskotał ich po nagich torsach. Nad pochyłymi dachami z gontów

¹⁰ W tradycji żydowskiej uczestnictwo w kondukcje pogrzebowym, choćby tylko na jakimś odcinku drogi, uważane jest za dobry uczynek. Natomiast asystowanie przy samym pochówku nie jest wymagane.

¹¹ Dom wieczności – jedna z nazw cmentarza w jidysz i po hebrajsku.

ślizgają się czarne nietoperze, bijąc skrzydłami i kręcąc się bezsensownie wokół czerwonego blaszanego kurka. Jest cicho, jak u ludzi, którzy chcą odpocząć po ciężkim dniu pracy i proszą, żeby im nie przeszkadzać. Tylko z jakiegoś otwartego okna, na którym stoją gliniane doniczki z ogniście czerwonymi pelargoniami, dobiega głos matki usypiającej dziecko:

– Śpij dzieciątko, śpij jedyne, ty swój kraj rozślawisz; twój ojciec jest tkaczem, ty fabrykę postawisz.

Biało-brązowy pies w ciapki, z niebieską jedwabną obrózką, drzemie między butami swojego pana, chrześcijanina z wąsami długimi jak mysie ogonki, czytającego „Kuriera”¹² przez trzymany w ręku stary monokl.

Josl i Mirl idą po tej długiej, bardzo długiej ulicy. Nikt na nich nie zwraca uwagi. Są obcy i mają wrażenie, że są tu po raz pierwszy w życiu. Wkrótce zdają sobie sprawę, że zabłądzili, ale nie chcą pytać o drogę, bo nie mają ochoty wracać do domu.

Mirele czuje, że ręka braciszka jest ciepła, że trzyma ją mocno, z oddaniem. Patrzy na niego oczami, w których zaschły łzy. Idą dalej milcząc, zagubieni. Mija godzina, półtorej. Zapada zmrok. Ciemnieją ulice i niebo. Nadchodzą wielkie chmury, zanosi się na deszcz. Drzewa uliczne drżą na wietrze.

Josl i Mirele patrzą po sobie: może czas wracać do domu? Może zapytać kogoś na ulicy o drogę?

Mirele przypomina sobie bandaże matki, fiołki z lekarstwami, dwie myszy, które łaziły mamie po twarzy i smutną ciemność. Odchyła głowę i patrzy w dal. Josl czuje to samo i idą dalej z jednej ulicy na drugą, cisi, milczący. Chodzą bez celu, powoli, a senność wygląda z ich bladych twarzy. Josl jest taki śpiący, że boi się zgubić swoją półrubłówkę, która teraz jest cała rozgrzana. Wkłada ją do czapki, a czapkę mocno naciąga na czoło, żeby się dobrze trzymała.

Jest już zupełnie ciemno. Na tle granatowego nieba świecą dziesiątki okien siedmiopiętrowej fabryki, w której trwa praca na nocną zmianę. Setki ogników błyszczą jak robaczki świętojańskie. Komin wyrzuca w ciemność gęsty dym i iskry, co wygląda jak smoczy pysk zięjący ogniem. Od czasu do czasu noc przecina gwizd z kotła fabrycznego, znak, że jego trzewiom zabrakło węgla. Wydaje się, jakby to lokomotywa przemknęła w powietrzu i natychmiast zniknęła jak błyskawica.

¹² „Kurier Łódzki” (1906–1918, od 1911 „Nowy Kurier Łódzki”), jeden z polskojęzycznych dzienników łódzkich.

Oczy obojga dzieci są zadumane i rozszerzone, zwrócone w stronę dziesiątek ognistych szyb dalekiej fabryki. Rażą je elektryczne ogniki, śpią już prawie na stojąco.

- Może wrócimy do domu?
- Nie, nie chcę do domu...
- Chce ci się spać?
- Chce mi się spać, ale nie chcę...

Oczy im się zamykają, powieki opadają, ale idą nadal, trzymając się za ręce. Ulica jest mroczna, ludzie od dawna śpią, nikogo nie widać.

Idą w ciemności z zamkniętymi oczami. Od czasu do czasu unoszą powieki i dalekie światło fabryki, spływające z dziesiątek oświetlonych okien, wygląda tak dziwnie, jak w bajce. Fabryka jest jak zaczarowana, jak ze snu. Jak ze snu jest olbrzymi budynek i wielki komin, z którego wydobywają się rozżarzone iskry lecące jak płonące włócznie na kilkadziesiąt sążni w górę. Jakiś czar wieje od ognistej fabryki, otoczonej głęboką, czarną nocą i usypia oboje dzieci jeszcze bardziej.

Już zupełnie śpią, ale idą dalej, a fabryka świeci w powietrzu jak płonące miasto, miasto ognia z tysiącem pochodni, miasto płomieni, światła i jasności.

Śpią, ale idą tam, do ognistego miasta, do fabryki. Ciągnie ich do niej, choć nie wiedzą dlaczego.

Błyskawica przecina szerniałe niebo i oświetla ciemny metalowy dach budynku. Wiatr przynosi morze pyłu i piasku, wirujących w powietrzu. Dzieci przytulają się mocniej do siebie. Wiatr podnosi sukienkę Mirele. Ale deszcz nie nadchodzi. Idą dalej bez celu. Wszystko wokół śpi. Zbliżają się do ognistej fabryki, z której dochodzi stukot maszyn – znak upartego życia bez chwili odpoczynku. Słyszą już wrzenie z miedzianych kotłów, krzyk kręcących się grubych pasów transmisyjnych, szum biegających czółenek i łoskot motorów. Od budynku bije ciepło, a ludzkie głosy zagłuszone są mechanicznym hałasem.

Dochodzą do czerwonego ceglanego muru. Pod nim rośnie trawa stratosferyczna butami robotników. Wyczerpane dzieci wyciągają się na trawie, nadal trzymając się za rączki. Wpatrują się w oświetlone szyby jak w jakiś czarodziejski obrazek i tak, patrząc zapłakanymi oczami, zasypiają na zdeptanej trawie.

Wiatr głaszcze śpiące rodzeństwo, ubrane w łachy, po czym dziko napiera na okna wielopiętrowej fabryki, gwizdże, wyje i krzyczy, stukając jakby pięściami w szyby.

ROZDZIAŁ TRZECI

KŁOPOTY REB ELIEGO

Reb Eli starał się zapomnieć, że postanowił zrobić coś dla dzieci, a nawet zabrać je do siebie. W ostatniej chwili jego skąpstwo wzięło górę, chodził po domu, po podwórku oraz po ulicy, nie wspominając o nich ani słowem. A ponieważ nikt i tak z nim o tym nie rozmawiał, był bardzo zadowolony.

Dzisiejszej niedzieli reb Eli zaczął pracę dopiero o dziesiątej. Z samego rana założył alpagowy chałat, by udać się do „adwokata”. Obmył ręce i o godzinie siódmej wyszedł z domu, zły i zirytowany.

Na ulicy sztukmistrz z bębniem na plecach uklonił mu się, mówiąc: Dzień dobry. Reb Eli odpowiedział i poszedł dalej. Sztukmistrz podszedł do niego i zatrzymał go:

– Przepraszam, reb Eli.

Reb Eli z niezadowolaniem odwrócił się do niego i rzekł:

– Nie mam teraz czasu. Przyjdź do mnie jutro.

Sztukmistrz, który był jego lokatorem, zapewne miał do niego jakąś sprawę. Bęben, zarzucony na szerokich, krzepkich barkach, kołysał się przy każdym jego kroku. Do bębna przytwierdzony był tornister z grubego, nieprzemakalnego płótna. Sztukmistrz wyglądał jak żołnierz, który idzie na manewry. W grubej ręce trzymał kawałek chleba z kielbasą wieprzową i pomidorem, i maszerując, zachłannie pożerał swoje śniadanie. Na widok reb Eliego wsadził kielbasę do rękawa pasiastej koszulki, którą nosił zamiast marynarki i stanął przed nim:

– Reb Eli, jutro mnie tu nie będzie. Idę pracować. Przepraszam, ale...

– A dokąd się wybierasz?

– Na wieś, w okolice Piotrkowa, gdzie będę dawać pokazy.

– Twoja żona może przecież do mnie zajrzeć.

– Żona idzie ze mną, podobnie jak mój mały Szmulik. Marne to czasy. Kiepsko mi idzie. Nie mogę zatrudnić żadnego chłopaka, żeby mi przygrywał. Mały może kręcić korbą, a żona będzie skakać po linie i wyciągać wstążki z gardła.

Reb Eli, który nie lubił słuchać jego gadania, przerwał mu:

– Mów, czego chcesz. Nie mam teraz czasu.

– Chcę zostawić panu klucz do mieszkania. Niech któryś z pańskich ludzi sprawdza, czy niczego nie ukradziono. Chciałbym także dać panu na przechowanie dwadzieścia jeden rubli. Będziemy wędrować po kraju, po drodze będziemy mijać bandytów oraz zbiegłych więźniów. Niebezpiecznie jest trzymać przy sobie tyle pieniędzy. Nawet jeśli jesteś sprytny jak małpa, to i tak mogą ci skroić oszczędności, choćby w stodole, gdzie śpią wszyscy.

– Dobrze, przekaż je Dwojrze – reb Eli odwrócił się od niego – i powiedz, że ja tak kazałem.

– Do widzenia, reb Eli – zawołał za nim sztukmistrz.

– Powodzenia – odpowiedział reb Eli, oddalając się.

Sztukmistrz wyciąga z rękawa kielbasę wieprzową i zajada ją z takim apetytem, że tłuszcz spływa mu po źle ogolonym podbródku.

Reb Eli jest zły. Mało spał w nocy. Niemowlę tak płakało, że nie zmrużył nawet oka.

To nie jest na jego lata. Jak może zajmować się u siebie w domu obcym niemowlęciem? Czego od niego chcą? Wolałby już wziąć dwójkę jego rodzeństwa niż tego niemowlaka.

Zachmurzył się i śpieszył do biura „adwokata”, by poradzić się, w jaki sposób najlepiej oddać to dziecko do miejskiego przytułku dla niemowląt.

„Adwokat” nie weźmie zapłaty, to znajomy z Bałut. Gdyby miał przyjąć zapłatę, reb Eli nie poszedłby do niego, a jeśli już naprawdę musiałby udać się do adwokata, wolałby napisać do swojego syna studenta, tamten na pewno by mu doradził. Przynajmniej nic by go to nie kosztowało.

Po drodze mija chłopaka, którego ubranie pokryte jest mąką. Jego trepy stukają z daleka jak grzechotka. Na głowie niesie czarny blaszany garnek wypełniony po brzegi bajglami.

Jakiś spryciarz zdążył już gdzieś zrobić zakupy. Niesie stary, czerwony parasol i dziwny kapelusz z zielonym myśliwskim piórem. Idzie bez pośpiechu, powłócząc nogami i wdmuchując w brodę dym z papierosa z machorką, sklejonego z bibułki.

Kobieta ciągnie wózek pełen naczyń, a w nim: talerze, miski, filiżanki. Naczynia brzęczą. Jest zaprzężona jak koń, pasami przyczepiła się do dyszla. Handlarka budzi całą uliczkę krzycząc z całych sił zachrypłym głosem:

– Nowe talerze za stare szmaty. Talerze, łyżki, widelce, miski. Patrzcie, patrzcie!

– Dzień dobry! Dzień dobry! – ludzie pozdrawiają zewsząd reb Eliego. Ten odpowiada tak cicho, że ledwo słycać jego słowa i prędko przebiera swoimi szczupłymi, krótkimi, chłopcymi nogami. Zatrzymuje się przed bramą drewnianego domu. W górze, na drzwiach, można przeczytać ręcznie napisane ogłoszenie:

WAŻNE INFORMACJE DLA TYCH, KTÓRZY NIE POTRAFIĄ PISAĆ

Przyjmę do napisania listy do narzeczonej, męża, syna, narzeczonego w Ameryce i na całym świecie. Piszę w jidysz, po niemiecku, rosyjsku i po polsku. Według życzenia. Moje listy mogą poruszyć nawet głaz. Przyjdźcie i przekonajcie się sami. Cena – dwie kopiejki za list. Kartka – za grosz. Adres – bezpłatnie. Udzielam porad w sporach z właścicielem domu i w innych sprawach.

Z poważaniem – Arnold

Reb Eli otwiera drzwi mieszkania, małej mansardy na poddaszu. Wchodzi do środka i rozgląda się. Łysy chłopak, bez jednego włosa na głowie, leży przykryty starym, wytartym kocem. To Arnold „adwokat”. Ciężko oddycha stale przeziębionymi płucami. Nieopodal niego, na kulawym taborecie, stoi dzbanek kawy i kilka bułek. To matka mu je zostawiła, zanim wyszła na targ zarobić trochę pieniędzy. Gęsta para unosi się z dzbanka, zasłaniając twarz „adwokata”. Na podłodze leży otwarta, gruba rosyjska książka, na której śpi kot z niebieską wstążką zawiązaną wokół szyi. Przygląda się bacznie intruzowi i zaczyna miauczeć do śpiącego, informując go, że ktoś obcy przyszedł.

Na ścianie wiszą dwie fotografie Amerykanów ze spiczastymi wąsami oraz duży obraz przedstawiający Bejlisa¹ i jego obrońców. W mieszkaniu znajduje się jeszcze prostokątna ława², teraz złożona, z której wystaje kilka żdźbeł słomy, dwa krzesła i kilka szmat. Na ławie leżą książki, ich grzbiety i okładki są poplamione kupami much. Leży też kilka czystych kartek papieru, pióro i biały słoik po maści przerobiony na kałamarz.

¹ Menachem-Mendl Bejlis (1873–1934) – ukraiński Żyd oskarżony w 1911 r. o mord rytualny na młodym chłopcu; jego proces w 1913 r. poprzedzony był kampanią antysemitką zorganizowaną przez władze rosyjskie i odbił się szerokim echem na całym świecie jako przykład carskiej polityki antyżydowskiej. Bejlis został niewinny po tym, jak główny świadek oświadczył, że do obciążających zeznań skłoniła go tajna policja.

² W oryginale *szloftisz*, mebel, który złożony służy za stół, a rozłożony – za łóżko.

Reb Eli siada na krześle i czeka, aż „adwokat” się obudzi. Ale Arnold nie rusza się, tylko charczy i wydaje z siebie nosowe świsty. Armia karaluchów zajęła jego spodnie przewieszane przez poręcz krzesła i prowadzi zawziętą wyprawę, by dostać się do kawy i bułek. Tylko czubek czerwonego pryszczatego nosa wystaje spod koldry, którą się okrył mimo panującego w mieszkaniu ciepła. Niezdrowy rumieniec, jak u chorego na tyfus, wystąpił na jego okrągłej, pulchnej, kobiecej twarzy.

Reb Eli zaczyna się niecierpliwić. Odczekuje jeszcze dziesięć minut, ale widząc, że chłopak wcale się nie budzi, zbliża się do niego i lekko stuka go palcem po łysej głowie, jak w szybę. Wystraszony „adwokat” otwiera oko:

– Tak późno, a pan jeszcze śpi? Niezły z pana śpioch, panie adwokacie.

– Dzień dobry, reb Eli – wita go Arnold. – Co pana do mnie sprowadza? I czemu tak wcześnie?

– Mam z panem do omówienia pewną sprawę, a to najlepsza dla mnie pora.

Arnold siada na łóżku. Rozpięta koszula w kratę odsłania jego zapadniętą pierś. Spozstrzega kota siedzącego na otwartej książce. Chwyta z podłogi but i rzuca nim w zwierzaka.

– A niech go jasna cholera! Pobrudził cały Kodeks Napoleona!

Kot ucieka, miaucząc żałośnie z bólu, chowa się pod ławę i dalej miauczy przeraźliwie.

Arnold sprawia wrażenie wyraźnie zadowolonego z wizyty. Reb Eli, mimo że ma wykształconego syna, zwrócił się do niego. To wielki zaszczyt. Błysk satysfakcji pojawia się w jego zaczerwienionych, anemicznych oczach. Zakłada okulary, jak zawsze, gdy ma jakąś „prawniczą” sprawę.

– Co porabia wasz Maks? Włożył już kitel? – pyta Arnold. Nazywa jego syna Maksem, choć wszyscy po prostu nazywają go – Mojszl³. W ten sposób chce mu okazać szacunek jako człowiekowi wykształconemu, równemu sobie.

– Mojszl? Nic szczególnego. Siedzi w Kijowie i dalej studiuje.

– Jak długo wasz Maksio ma zamiar tak studiować? – dopytuje się Arnold z ledwo zauważalną ironią w oczach.

– Kto wie jak długo? – niechętnie odpowiada reb Eli i przechodzi do rzeczy.

– Słuchaj no, panie Arnoldzie. Przyszedłem do pana porozmawiać o pewnej sprawie, która pana też dotyczy. W końcu też pan mieszka na Bałutach.

³ Mojszl – zdrobnienie od imienia Mojsze (Mosze), którego odpowiednikiem w języku polskim jest imię Mojżesz.

- Co mianowicie? Proszę bardzo, jestem do pańskich usług.
- Pewnie już pan słyszał, że ta tkaczka, Złata, zmarła nagle przy porodzie.
- Tak. Słyszałem, jak kobiety mówiły coś o zmarłej Złacie.
- Nie tak dawno temu odszedł jej mąż, a teraz na nią przyszła kolej. Przez kilka lat męczyła się w warsztacie tkackim. Była uczciwą kobietą. Nawet muchy by nie skrzywdziła. Umierając osierociła niemowlę. Widzi pan, panie Arnoldzie, ja już jestem stary i moje uszy nie mogą znieść płaczu dziecka. Nie ma u mnie też nikogo, kto by dziecko umył, wykapał, przewinał, nakarmił i zajmował się nim. Przecież nie mogę zagonić mojej Dwojry do kołysania go. Czy nie zniosła już wystarczająco wiele, wydając na świat ośmioro dzieci? Mam z niej na stare lata zrobić mamkę? Za jakie grzechy? Nie zasłużyła na taką karę.
- Nie ma żadnych krewnych, którzy mogliby przygarnąć to dziecko?
- I tu jest pies pogrzebany, panie Arnold. Nie ma żadnych krewnych, a może i są, tylko nie chcą się pokazać z obawy, że będą musieli zaopiekować się sierotami.
- Żaden z nich nie przyszedł na pogrzeb?
- Nie. Nikt oprócz sąsiadów nie odprowadzał jej na wieczny spoczynek.
- Być może krewni jeszcze się pojawiają. Może mieszkają daleko.
- Po co mieliby teraz przychodzić? By zabrać dzieci? Oj, panie Arnoldzie, coś w to nie wierzę. Na pogrzebie jej męża ani później też nikt się nie zjawił.
- To znaczy, że chce się pan pozbyć dzieciaka?
- Przyszedłem do pana zapytać, w jaki sposób można oddać to dziecko do sierocińca.
- Aha – „adwokat” zmarszczył czoło i po chwili dodał – Nie będzie to dla pana łatwe. Macie dwa domy, nie będą chcieli wziąć od was dziecka.
- Więc co mi pan radzi ?
- Radzę przekazać to dziecko sąsiadce i to od niej powinna wyjść prośba do sierocińca.
- Jeszcze przez chwilę reb Eli rozmawiał z „adwokatem”. Okazało się, że będzie to trudniejsze niż się wydawało. W mieście, wyjaśnił Arnold, są dwa przytułki dla noworodków, głównie dla nieślubnych podrzutków. Jeden jest dla dzieci żydowskich, drugi dla chrześcijańskich. Te sierocińce przyjmują nawet dziatwę z dobrych domów. Ale – pomyślał sobie reb Eli – bez względu na stopień ubóstwa, trzeba naprawdę upaść bardzo nisko, by oddać własne dziecko na wychowanie wśród bękartów. Nawet gdyby nie brał na serio tego, co mówi Arnold, że na mieście mówi się, iż strażnicy przytułku sprzedają dzieci

Cyganom, że wojsko rosyjskie wciąga je w szeregi i robi z nich żołnierzyków, że sztukmistrzowie płacą za nie, a potem wykręcają im ręce i nogi, by zrobić z nich „ludzi bez kości” zdolnych występować w cyrku. Chociaż reb Eli nie chce wierzyć w te opowieści, przypomniał sobie malutkich ośmio-dziewięcioletnich żołnierzyków, których setki służą w pułkach rosyjskich, chodzą ubrani w takie same mundury jak dorośli, czołgają się z nimi na ćwiczeniach. Czemu nie miałyby to być prawdą? Kto interesuje się porzuconymi dziećmi? Który z rodziców będzie płakać, kiedy żandarmi zabiorą jakieś dziecko z przytułku? Kto zabroni strażnikowi sprzedawać dzieci Cyganom i sztukmistrzom? Kto zabroni im je ochrzcić i skropić „ichnią” wodą święconą?

A poza tym, jak można wziąć żydowskie dziecko porządnych rodziców, chociażby biednych, które przyszło na świat kosztem życia swojej matki, i umieścić je wśród dzieci bez nazwiska, urodzonych pod znakiem hańby – nierządu? Nawet jeśli się na to zgodzi, to czy jego żona – Dwojra – na to pozwoli? Czy nie wypłacze oczu, czy nie znienawidzi go? Reb Eli uznał sprawę za przegraną. W ostatniej jednak chwili postanowił nie porzucać myśli o umieszczeniu dziecka w sierocińcu. Przede wszystkim trzeba dowiedzieć się, jak te sierocińce wyglądają, pod czym są nadzorem i kto w nich mieszka. Dopiero wtedy będzie można rozmawiać. Zobaczysz się, co będzie dalej.

Josl i Mirele mieszkają sami w domu. Z lamentów i żalów na pogrzebie nie wynikła dla nich żadna pomoc. Ludzie rzadko do nich zachodzą, więc ro-dzeństwo musi samo sobie radzić. Mirele stała się gospodynią. Przygotowuje śniadania, gotuje obiady, kolacje. Kiedy razem zasiadają do stołu, wyglądają jak młode małżeństwo. Ustawia na stole talerze, noże i później sama przy nim siada z noskiem pobrudzonym sadzą z komina.

Joslowi powierzono sprzedaż bajgli. Stoi na ulicy z pełnym koszykiem i woła: Bajgle, świeże bajgle! Kiedy wraca do domu późnym wieczorem, zastaje łóżko z czystą pościelą. Mirele poznaje jego kroki i boso, w samej tylko koszuli nocnej, wyskakuje z łóżka, otwiera mu drzwi i patrzy na niego sennymi oczami jak na młodego męża, powracającego z pracy.

Josl wstaje o wschodzie słońca, idzie do piekarza, rozlicza się z nim i napełnia koszyk świeżymi, ciepłymi bajglami. Nie wie mu się źle. Zarabia dwa, trzy złote dziennie, oddaje je Mirele, która jak rozsądna gospodyni wie, co z nimi zrobić. W piątek Mirele wstaje o świcie, idzie na rynek, maca kurze udka i już wie, jak rozpoznać, czy kura jest chuda czy tłusta. Kupuje marchew,

pietruszkę, kalafior, ziemniaki i nie daje się naciągnąć. Nauczyła się targować i obniżać cenę. Handlarki, widząc ją, z daleka machają do niej przyjaźnie:

– Podejdź do mnie, Mirele. Mam dla ciebie świeżą sałatę, młodziutką cebulkę, młode buraczki na czerwony barszcz, ładne ogóreczki. Specjalnie dla ciebie.

Handlarki ją lubią, dają jej towar z kilkugroszowym upustem, roniąc przy tym łzę. Niektóre całują ją w policzek, gdy wkładają jej zakupy do koszyka, mówiąc:

– Idź, Mirele, masz to na zdrowie. Dobra z ciebie dziewczynka i porządny człowiek. Kandydaci na męża będą ganiać za tobą jak psy.

Na koniec z litości dokładają pęczek cebuli i kilka jabłek na kompot. Dają to z dobroci serca, bez zapłaty. Kiedy odchodzi, kobiety przykładają fartuchy do oczu i płaczą:

– Biedne dziecko, taka mała, a już musi troszczyć się o siebie i brata. Oj, słodki Boże, żadna żydowska córka nie powinna przez to przechodzić.

Mirele niesie koszyk z warzywami jak prawdziwa gospodyni. Spotkane po drodze kobiety dotykają jej zakupów, przebierają pietruszkę, jabłka, kurczaka, oceniają, pytają ile zapłaciła i na koniec dodają, że nie dała się oszukać. Rzeczy warte są swojej ceny. Wiele kobiet wita się z nią jak z dorosłą, wypytują jak jej idzie i głaszczą po policzku.

Po powrocie do domu Mirele wyjmuje zakupy z koszyka. Na stółk wysypuje warzywa, jabłka turlają się po podłodze jak piłki. Sznurkiem wiąże kurczakowi łapy i przywiązuje go do łóżka, aby broń Boże nie uciekł. Następnie sypie na talerzyk owies, nalewa wody, by kurczak miał co jeść i pić, i zaczyna przygotowania do szabatu. Wszystko już umie zrobić. Sąsiadki pokazały jej, jak przygotować czulent, faszerować kiskę, usunąć flaki, ugotować rybę, osłodzić kompot. Jest już prawdziwą gospodynią.

Cały piątkowy dzień jest pokryta sadzą jak kominiarz. Ma zabandażowany palec, ponieważ ciągle kaleczy się przy krojeniu ryby. Krząta się, piecze. Biegnie jeszcze do sklepu po sól, pieprz i przyprawę. Do sąsiadki wpada zapytać, co dodaje się do ciasta owocowego, bo zapomniała.

Kiedy zbliża się piątkowy wieczór, mieszkanie jest wysprzątane. W dwóch blaszanych świecznikach palą się świece. Na podłodze leży wysypany żółtozłocisty piasek, który Mirele dostała za darmo od piaskarzy w zamian za łupiny z kartofli. Kwiaty w doniczkach zostały podlane, pelargonie czerwienią się w oknie. Posłała łóżka, a leżąca na nich czysta pościel bieli się jak śnieg. Szyby

błyszczą się jak kryształ, na stole przygotowała pyszności: ciasto, rybę, mięso, wino rodzynkowe, kompot, placek owocowy. Założyła czystą sukienkę, umyła się, umyła złociste włosy, przetarła ręcznikiem czerwone korale i usiadła przy oknie, czekając na Josła.

Ale kiedyś, na samym początku nowej roli jako gospodyni, przydarzyła się jej śmieszna przygoda. Oto ta historia: kupiła na rynku kaczuszkę, która ledwie umiała chodzić, chwiała się na pokraccznych nóżkach jak żaba: czałap, czałap! Wrzuciła kaczątko do koszyka na stos warzyw, marchewek, buraków, ogórków i pietruszki. Kaczątko schowało się w warzywach jak w ogrodzie i wyglądało jak żywy kwiatek. Przez całą drogę kwakało, a Mirele zdawało się jakby do niej mówiło:

– Wypuść mnie, na co ci moje młode życie? Jestem sierotą, moją mamę pożarł wczoraj Herszl Buczik.

Właśnie Herszl Buczik przyszedł jej do głowy, bo kiedy wczoraj przechodziła koło rynsztoka, widziała go ubranego w koszulę, jak jadł kurczaka ze swoimi kochankami.

Kaczuszka szerokim dziobem dotknęła ręki, w której Mirele niosła koszyk. Wydawało się jej, że całuje ją w rękę i prosi o łaskę.

Ten nieszczęsny ptaszek nie przestawał całować jej ręki przez całą drogę, aż Mirele poczuła się dziwnie. Wróciła do domu i jak zwykle obróciła koszyk do góry dnem, wyrzucając z niego warzywa i kaczuszkę. Potem związała ptaszekowi łapki, by nie uciekł i przystawiła blisko niego miseczkę z pokruszonym chlebem oraz wodę. Ale ptaszek nie tknął jedzenia. Położył się na podłodze i smutno się żalił: kwa, kwa!

Mirele zrobiło się smutno na sercu i przygotowując w kuchni szabasowe potrawy, co kilka minut rzucała na niego zatroskane spojrzenie. Migdałowe oczka kaczuszki spotkały się z jej oczami i dalej słyszała: kwa, kwa! Mirele daruj mi życie, daruj życie.

Płomienie skakały jej przed oczami, nóż wypadł z ręki. Zatroskała się. Co zrobić z tą kaczuszką? Jak będzie mogła zanieść ją do *szojcheta* na zabicie⁴? Czy będzie miała serce to zrobić?

Zaczęło robić się późno. Wszystko było już przygotowane, makaron, ryba, kompot oraz ciasto. Tylko mięsa, najważniejszej szabasowej potrawy, nie było.

⁴ W tradycji żydowskiej ubój musi być dokonany przez specjalistę, *szojcheta* (rzezaka), zgodnie z przepisami koszerności.

W końcu Mirele zebrała się na odwagę, włożyła kaczuszkę do koszyka i znowu to samo: ptaszek całował dziobem Mirele w rękę i tak smutno, żałośnie ją błagał, że w końcu odstawiła koszyk i nie była w stanie udać się do *szojcheta*. Przejęta, usiadła bezradnie naprzeciwko ptaszka, który jak ryba wił się po podłodze, i smutno milczała. W jej oczach pojawiły się łzy.

Nastał wieczór. Josl wrócił do domu i zastał siostrę skuloną. Świece były nie zapalone, Mirele nie umyta, z brudnymi włosami, stół nie nakryty. Przestraszony, podszedł do siostry i zapytał:

– Mirele, co się stało?

Mirele zapłakała z poczuciem winy i powiedziała:

– Nie przygotowałam mięsa na szabat. Jesteś zły, Joslu?

– No, mniejsza z tym, że dzisiejszy szabat będzie bez mięsa. Co się stało? Zabrakło ci pieniędzy? Ale nie powinnaś tak płakać, Mirele.

Mirele wstała, wytarła rękami łzy i zapaliła świece, a na podłogę wysypała żółty, błyszczący piasek. Wstydzila się powiedzieć, dlaczego nie kupiła mięsa, i w ciszy jedli posiłek.

Josl wstaje o trzeciej nad ranem, by robotnicy idący do pracy w fabrykach zdążyli kupić u niego bajgle. Jest zmęczony. Od razu po kolacji położył się do łóżka i zasnął kamiennym snem. Koło pierwszej w nocy przebudził się i nastawił uszy. Wydawało mu się, że pod łóżkiem coś pełza i wydaje dźwięk: kwa, kwa. Hmm, co to jest? Kto pełza pod łóżkiem o tak późnej godzinie? Co znaczy to kwa, kwa? Zdaje się, że tak kwacze kaczka.

Nie, to musi być sen. Pewnie jeszcze śpi. Ale przecież się obudził. Josl dotyka ręką oczu, nosa, ust, by sprawdzić, czy śpi, czy nie śpi. Szybko doszedł do wniosku, że nie śpi i nie śni. Zdziwił się teraz jeszcze bardziej. Skąd tu kaczka? Przecież Mirele nie kupiła mięsa na szabat, a po mieszkaniu chodzi kaczka? Dziwna sprawa!

Może to złe duchy? Być może pod jego łóżkiem kręci się demon na ptasich nóżkach, z piórami, zielonym ogonem i kwacze: kwa, kwa. To nie może być nic innego jak diabeł, tylko diabeł.

Josl bardzo się przestraszył. Naciągnął na głowę kołdrę, zrobiło mu się gorąco, drżał, zęby mu szczękały. Długo nie mógł zasnąć. Przypomniały mu się różne bajki o demonach i chochlikach przybierających postać zwierząt. Nie wytrzymał, zbudził Mirele śpiącą w drugim łóżku, wołając do niej ściszym, przestraszonym głosem:

– Mirele, ty też to słyszysz?

– Czy co słyszę? – sennie odpowiedziała mu siostra.

– Słyszysz jak ktoś robi: kwa, kwa?

Dopiero kiedy Mirele z zawstydzieniem opowiedziała mu całą historię, dlaczego nie było mięsa na szabat, uspokoił się i zasnął z lekkim sercem.

Josł sprzedaje bajgle w trzech różnych miejscach: o świcie stoi na ul. Ogrodowej i czeka na robotników idących do fabryki Poznańskiego. Przed południem jest na pchlim targu, a późnym wieczorem – pod teatrem żydowskim.

Zanim zawyją syreny fabryczne budzące robotników i obwieszczające światu, że noc dobiegła końca i nadszedł czas pracy, czas, by wychodzić z łóżek, Josł jest już na nogach, obmywa się, bierze koszyk w rękę i idzie do piekarza. Piekarz mieszka niedaleko, zaledwie kilka kroków od jego domu.

W piekarni ogień trzaska, rzucając czerwony blask na czekających chłopców i dziewczynki oraz czeladników piekarza. Dwie kobiety stoją przy dużym, długim stole, ich twarze wraz z ubraniem są białe od mąki. Palcami szybko wyrabiają ciasto, rosną całe szeregi bajgli. Kobiety są śpiące i zmęczone, oczy się im kleją, plecy mają zgarbione. Jedna z nich ma dziecko, które leży w wózku obok przypiecka. Od czasu do czasu płacze i kwili. Młoda kobieta podbiega do niego, wyjmując zwiędłą pierś, wpycha mu do ust i krzyczy zła:

– Śpij mały gadzie, śpij, pozwól mamie zarobić kilka groszy na twoje wychowanie. O, co za płaksa!

Dziecko zasnęło po nakarmieniu, ukołysane niespiesznym graniem świerszczy schowanych w dziurach ciepłego bielonego wapnem pieca.

Od czasu do czasu rozlega się piosenka czeladnika, który wrzuca bajgle do pieca jak do otwartej gęby, by potem je stamtąd wyjąć. Śpiewa, a płomienie opromieniają jego twarz, tak że wydaje się odlana z miedzi bądź brązu. Śpiewa kuplety Maxa Lafayetto, słynnego komika, który z „olbrzymim powodzeniem” występuje w bałuckim teatrze „Flora”. W większości są to wesołe, sprośne kuplety, które opowiadają jakąś historię. Na przykład:

Pewien chasyd włożył cylinder
I rozum mu się pomieszał,
Chciał z siksą tańczyć kadryla,
Aby się trochę pocieszyć.
Bim-bam, bim-bam!

Siksa dała mu w pysk,
 Aż mu gwiazdy zaświeciły przed oczami,
 Zjawił się mały złodziejaszek
 I zwiął z jego oszczędnościami.
 Bim! Bam!

Idzie chasyd na pociąg, na pociąg,
 O, biada mu, biada!
 Nie ma grosza przy duszy,
 Do rebego nie pojedzie, łamaga!
 Bim-bam, bim-bam!

Ruszył chasyd do monopolowego, monopolowego,
 Kupić butelkę siwuchy.
 Oj, to dopiero bieda!
 Nie ma grosza przy duszy.
 Bim! Bam!

Idzie chasyd do łaźni, do łaźni,
 Chce się tam wypocić,
 Przetrzęsa kieszenie,
 Gdyby miał choć grosik!
 Bim-bam, bim-bam!

Rozradowany nuci tę piosenkę i naigrywa się z pechowego chasyda. Kobiety pokładają się ze śmiechu i złośliwie dodają:

– Dobrze mu tak, temu chasydowi! Niech zostawi dziewczyny w spokoju.

Chłopak cieszy się, że śmieją się z jego piosenki i dalej śpiewa. Udaje swojego ulubionego aktora Maxa Lafayetto, wypina pierś, przekrzywia czapkę na głowie, wkłada pod ramię łopatę – zamiast laski ze srebrną rączką, którą słynny komik i śpiewak z Bałut elegancko trzyma, kiedy śpiewa i przechadza się po scenie w tę i z powrotem. Naśladuje nawet jego zachrypnięty od wódki tenor.

Kobiety i chłopacy zanoszą się śmiechem.

– Bóg mi świadkiem, to wykapywany Maks. Niech mnie cholera, jak on go dobrze naśladuje!

– Może uchodzić za artystę!

– Marnuje się, piekąc tu bajgle!

– Max Linder⁵ to pies w porównaniu z nim.

⁵ Max Linder (1883–1925) – popularny w owym czasie francuski aktor i reżyser filmowy, występujący w rolach komicznych; w 1914 r. odwiedził Polskę.

– Gdyby zobaczył go Lafayette, przetrąciłby mu gębę. Bałby się konkurencji!

Piekarnia mieści się w sklepionej, wąskiej piwnicy. Odnosi się wrażenie, że to wnętrze szerokiej, przegrzanej rury. Okna są białe od mąki, która pod wpływem wilgoci i pleśni zamienia się w zielonkawę ciasto. Za oknem zasłoniętym zardzewiałymi kratami widać prawdziwy ogród. W białawym wiecznym błocie dziko rozrosły się żółte grzyby, chwasty, groch. Ogród powstał z nasion, które wypadły z pysków koniom przeżuwającym obrok.

Nawet kiedy na dworze jest już całkiem jasno, w piekarni prawie tego nie widać. Wisząca na drucie lampa naftowa kopci się i buja tam i z powrotem, bo ludzie, chodząc po piekarni, chcąc nie chcąc wprawiają ją w ruch. Lampa pali się w dzień i w nocy. Z pieca wydobywa się lepkie ciepło zmieszane z gryzącym, wilgotnym zapachem zakwasu i smrodem rozgrzanej nafty. Od czasu do czasu tryskają stamtąd języki ognia jak szyderczy śmiech.

Czeladnik nie ma na twarzy ani rzęs, ani brwi. Podobnie jak pozostałym pomocnikom piekarza płomienie opaliły mu resztki zarostu, a oprószone mąką policzki wyglądają jak u upudrowanej dziwki.

O świcie, gdy na dworze jest jeszcze ciemno, przychodzi właściciel, Czerwony Josz, Żyd ze spiczastą brodą w kształcie trójkąta, przypominającą ser. Kółczy brzuchem idąc na grubych nogach. Zawsze wchodzi zły, bez słowa „dzień dobry”. Jego głupkowata, czerwona twarz przywodzi na myśl mielone mięso.

Wchodzi szybko, jakby chciał zaskoczyć obecnych. Rozgląda się na wszystkie strony. Zapada śmiertelna cisza. Uczeń przestaje śpiewać, bierze miotłkę do oczyszczenia ciasta z mąki lub krząta się przy piecu.

Pierwsza rzecz, którą robi Czerwony Josz: biegnie ze złością do zapiecka i sprawdza, czy jakiś włóczęga tam nie śpi. Podstawia taboret albo pudło po drożdżach, wchodzi na nie nie zdejmując buciorów, zapala zapałkę i przesuwa gniewnym wzrokiem najmniejsze zakamarki zapiecka.

Często znajduje tam intruza. Bierze wtedy łopatę albo wałek do ciasta i szturcha w bok nieproszonego gościa:

– Łajdaku, wynocha z zapiecka!

Słychać pomruk niezadowolenia człowieka obudzonego ze snu. Czerwony Josz dźga go dalej łopatą i krzyczy z całych sił do niego oraz do czeladnika stojącego przy piecu:

– Kto znów pozwolił mu wejść na piec? Policję mi na głowę ściągniecie! Hotel sobie z piekarni zrobiliście! Lcze, po raz ostatni ci mówię, żebyś nigdy

nikomu nie pozwalał spać na zapiecku... Hej, ty tam, złaż z pieca, mówię do ciebie, jeśli nie chcesz dostać szuflą w mordę...

Na nowo słycać pomruk niezadowolenia i widać, jak z ciemnego zapiecka powoli schodzi typ w spodniach obwiązanych kawałkiem sznurka, zarośnięty, z twarzą ubrudzoną sadzą, nie ogolony, potargany, zaspany, z parą podartych kamaszy. Patrzy na wszystkie strony wystraszonymi oczami jak mysz, którą pożar wypędził z dziury.

– Wyrzucono mnie z mieszkania, panie Joszu, włóczę się, bezdomny, po ulicy.

– Idź, wynoś się! Ale już! Hajda, precz stąd, bo dostaniesz ode mnie w żebra – wypycha go Josz z wyrazem furii na twarzy.

lcze, czeladnik piekarski, zaklina się:

– Przrzekam panu, że nie widziałem, jak wspinał się na piec. Może mi pan wierzyć, panie Joszu.

Dwie ubogie kobiety ugniatające ciasto udają, że nie słyszą i odwracają wzrok. Ich ręce szybko wyrabiają ciasto i tylko ciężkie westchnienie wyrwa się im z piersi. Mali sprzedawcy zebrani w pierwszym pomieszczeniu piwnicy ze smutkiem w oczach patrzą na brudnego, wypędzonego typa, którego zmuszono do zejścia z pieca. Wychodzi i wyzywa, przeklina, grozi, spluwa, jęczy.

– A niech piorun trzaśnie tego Czerwonego Josza. Jaki z niego Żyd! Ma serce mordercy, niech go szlag trafi razem z jego piekarnią.

– Zabieraj się... zabieraj... Hajda.. Już stąd! – krzyczy za nim Czerwony Josz z innego pomieszczenia – Wynocha stąd, łajdaku!

Czekając na pieczywo, chłopcy często grają na pieniądze. Wielu z nich ma w kieszeniach marynarek karty i papierosy. Wielu pija już wódkę i od niejednego jedenasto-dwunastoletniego chłopaka z bosymi nogami czuć od rana gorzałkę. Siadają na pustych workach po mące i w oparach dymu papierosowego tasują talię kart, grają i przeklinają. Wielokrotnie dochodzi do bójek. Wystarczy, że jeden nie chce zapłacić albo zabiera pieniądze z powrotem i już idą w ruch pięści, rwane są włosy, słychać krzyki i przekleństwa, aż lcze, czeladnik piekarski, wybiega z wałkiem i ich wypędza. Najsilniejszym chłopakiem jest Jankl. Ma wszystkiego trzynaście lat, a już posiada kochankę, która sprzedaje cukierki na rynku. Nazywa się Ejdł. Chłopak jest dzikusiem, łobuzem, zuchwalcem. Sprzedawcy bajgli wołają na niego Jankl Rzykant, ponieważ sprzedaje bajgle wyłącznie w tych okolicach, gdzie kręci się wielu policjantów. Robi to celowo, bo uwielbia ścigać się z policją. Pewnego dnia cała ulica zatrzymała się na chwilę

i przyglądała się, jak Jankl bawi się w kotka i myszkę z grubym okręgowym Wasylem. Podszedł do niego i podstawił mu bajgla pod nos.

– Wasylu, kup bajgla. To ciasto jajeczne, będziesz od niego jeszcze grubszy niż teraz.

Okręgowy chciał złapać go za kark, ale Jankl był już hen, daleko. Policjant, wściekły, że żydowski chłopak zachował się wobec niego tak bezczelnie, złapał w rękę szablę, by nie plątała się mu pod nogami i zaczął go gonić. Jankl uciekał w te pędy, odwrócił się i pokazał mu język. Wasyl zaczął zgrzytać zębami i dysząc, jeszcze szybciej pobiegł za chłopakiem. Jankl okręcał się wokół pompy, Wasyl był tuż za nim, warcząc i przeklinając. Cała ulica przyglądała się tej zabawie. Sklepiarze wyszli ze sklepów, stanęli przy drzwiach z uśmiechem na twarzach. Przechodnie zatrzymali się, stróże stanęli z miotłami w rękach. Wszyscy gapili się na ulicę.

Wasyl biegnie z szablą w ręce jak z podniesionym drągiem, prycha, dyszy, łapie powietrze otwartymi ustami. Jankl biegnie tuż przed nim. Strumienie potu spływają po twarzy Wasyla, ale uparł się i zawiazał. Jest już całkiem blisko uciekiniera. Cała ulica wstrzymuje oddech, wszyscy myślą, że Jankl już jest w rękach Wasyla, ale ten w ostatniej chwili wskakuje na pędzący wóz. Wasyl krzyczy do furmana, by złapał chłopaka i mu go wydał. Furman się przestraszył, chce zatrzymać młodocianego przestępcę. Ale Jankl jak kot zeskakuje z wozu, wdrapuje się na płot i już go nie ma. Cała ulica śmieje się ze ślamazarnego strażnika.

Jankla Rzykanta boją się wszyscy, nawet prostytutki kręcące się na rogu. Dają mu pięć kopiejek, a nawet więcej, ponieważ często zbiera bandę łobuzów i urządza burdy na środku ulicy. prostytutki boją się, że policja przyjedzie i przegoni je z ich rewiru za wywoływanie nocnych awantur. Dają mu zatem pieniądze i papierosy, by zostawiono je w spokoju.

Jankl jest bardzo przebiegły. Wie, że dziewczyn, które mają „narzeczonych”, nie wolno zaczepiać. Wie, że taki narzeczony-rzezimieszek mógłby go nieźle załatwić, więc zaczepia tylko te, które nikogo nie mają.

Jest dobrze obeznany w ich stosunkach. Wie, która ma alfonsa, a która nie. I zwykle nie myli się. Siedział już nawet raz w więzieniu za kradzież kieszonkową. Reb Eli poręczył za niego w komisariacie i go wypuścili.

Josł poznał się z nim w taki oto sposób: pierwszego dnia, gdy zaczął pracować jako sprzedawca bajgli, stanął na starym mieście, niedaleko straganów. Zawstydzony, zaczął nieśmiało wołać: bajgle, bajgle! Stał tak może z godzinę

bez ruchu, smutny i sztywny. W pewnej chwili podszedł do niego Jankl, który wszystko już sprzedał i niósł pusty wiklinowy koszyk. Mrużąc oczy, popatrzył wyzywająco na nowego przekupnia, i trzymając papierosa w ustach, zapytał:

– Kim jesteś?

Josl nic nie odpowiedział. Nie rozumiał, czego on od niego chce.

– Kim jesteś, pytam się? – powtórzył zuchwale Jankl.

Wtedy Josl powiedział:

– A co cię to obchodzi?

– Milcz, ty bękarcie – Jankl zaczął go wyzywać i wbił w niego wściekłe spojrzenie. – Wiesz, kim ja jestem? Nazywam się Jankl Ryzykant. Jestem królem wszystkich sprzedawców bajgli. Nawet dorośli Żydzi z brodami drżą przede mną. Śmiesz się, francolu, buntować?

– Czego chcesz ode mnie?

– Dziesięć kopiejek.

– Niby za co? Za co należy ci się dziesięć kopiejek?

– Bo jesteś tu nowy i musisz się wkupić.

Jankl podszedł do niego bliżej i głęboko, bezczelnie spojrzał mu w oczy. Josl poczuł na twarzy jego oddech. Jankl zacisnął pięści i chwycił Josła za marynarkę. Na jego chłopięco białą twarz wystąpiła krew.

– Puszczaj marynarkę!

– A jeśli nie?

– Puszczaj, mówię ci!

Jankl obrzucił go gradem wulgarnych przekleństw, które słyszy się tylko w szynku albo w burdelu. Żydówki handlujące jabłkami i pomarańczami aż zrobiły się czerwone i zamruczały:

– Co to za gagatek! Słyszałaś jego język? A niechby mu ten język usechł w gębie, zanim dorośnie.

Doszło do zamieszania. Ludzie się zbiegli, by rozdzielić chłopaków targających się za kłapy marynarek i włosy. Jankl, odchodząc, wyciągnął z kieszeni nóż i zamachał mu nim przed nosem:

– Możesz tym dostać w bok. Zapamiętaj to sobie, bękarcie.

Na rynku był akurat Note ze swoim kinematografem, przywołał do siebie Josła i zaczął wypytywać go, jak mu idzie.

– Źle, Josl, źle, że zająłeś się sprzedawaniem bajgli. Byłoby lepiej, gdyby posłali cię do szkoły. Na pewno wyszedłbyś na ludzi. Umiesz się już podpisać po żydowsku i po ichniemu. A jak nie do szkoły, to mógłbyś się chociaż wyuczyć

jakiegoś fachu. To zdumiewające, że reb Eli, właściciel twojego domu, niby taki dobroczyńca Bałut, nie zajął się tobą. Przecież jesteś sierotą, bez matki i ojca.

Kobiety, handlarki oraz ludzie zebrani wokół usłyszeli, że jest on sierotą. Spojrzeli na niego czule i zaczynają kupować bajgle, choć wcale ich nie potrzebują, po czym odkładają je między chusteczki, koraliki, wstążki, fartuchy i inny towar.

– Dobre dziecko, ma jeszcze mleko pod nosem.

– Biedak, sam jeden został na świecie – rozmawiają między sobą kobiety przy koszach jabłek, pomarańczy, wstążek, koralików, zabawek.

Note zbiera się do odejścia.

– Mniejsza z tym. Co zrobisz takiemu łobuzowi? Daj mu te dziesięć kopiejek – doradza mu na koniec.

Następnego dnia Josl dał mu pieniądze. Od tego momentu Jankl przestał się go czepiać. Rano u piekarza proponuje mu grę w karty, ale Josl odmawia. Jankl oszukuje. Wszyscy o tym wiedzą, więc nie pozwalają mu być „bankiem”. Co najwyżej może brać karty od innych. Decyzję taką powzięli chłopcy, których oskubał na samym początku.

Jego matka pracuje jako służąca, ale nie wolno mu do niej przychodzić, ponieważ gospodarze zawsze go podejrzewają, kiedy po jego wyjściu czegoś brakuje. Je na ulicy, na rynku. Pewna kobieta przynosi duży garnek barszczu z kartoflami. Owija go dziesięcioma ręcznikami, by nie wystygł. Jankl jest jej stałym klientem. Je swój posiłek z blaszanego talerza, na stojąco, na samym środku rynku razem z tragarzami, włóczęgami i handlarkami, które nie mają w domu nikogo, kto mógłby im ugotować trochę zupy.

Janklowi nie brakuje tupetu. Zjawia się na galerii teatru żydowskiego, gdzie sprzedaje suszone ziarna dyni, ważąc je na swojej niewielkiej, mosiężnej wadze. Bileterzy łapią go i wyrzucają za drzwi. Awanturuje się wtedy, że powinni oddać mu pieniądze za bilet. Przez pół godziny stoi przy kasie i wyzywa kasjerkę. Kiedy wzywają policjanta, Jankl ucieka, ale jak tylko policjant odchodzi, znów się pojawia. Stuka pięścią w szybę, którą kasjerka zatrasnęła i dalej krzyczy, że mają mu zwrócić pieniądze za bilet. Obsługa teatru wyrzuca go, a mimo to chłopak za chwilę wraca i dalej urządza komedię:

– Dwadzieścia pięć kopiejek wyciągnęliście od biednego chłopca, którego ojciec leży chory w domu. Za dwadzieścia pięć kopiejek moja matka pierze pud brudnych ubrań i żyje z tego przez dwa tygodnie. Wyrzuciliście mnie, bo sprzedałem kilka ziaren dyni, oddawajcie mi pieniądze za bilet. Nie odejdę stad, wy złodzieje, oszuści, bandyci!

Zwilżył oczy śliną, żeby myśleli, że płacze. Zandberg, dyrektor teatru, który akurat przechodzi, każe kasjerce zwrócić mu pieniądze za bilet. Okazuje się wtedy, że nie ma biletu. Zaczyna przeszukiwać kieszenie, szuka na ziemi, po wszystkich kątach. Wówczas Zandberg daje mu dwadzieścia kopiejek, by się go pozbyć. Jankl zadowolony z siebie, triumfalnie wybiega z teatru.

Czerwony Josz ze specjalną uwagą liczy pieniądze przyniesione przez Jankla. Ma trzy piekarnie i w każdej z nich Jankl jest dobrze znany. Czerwony Josz wyjmuje z szuflady kawałek granitu. Sporządza kredą rachunek, stuka monetą o kamień i sprawdza, czy nie jest podrobiona. Rozliczając się z Janklem, stuka kilka razy, patrząc mu przy tym głęboko w oczy.

Jankl często spędza czas z Ejdl, starszą od niego o rok jasnowłosą dziewczynką. Jest cicha i małowówna. Ma wielkie, ładne i smutne oczy. Coś dziwnego jest w jej spojrzeniu. Jest zupełnie sama na świecie. Jednak trudno zrozumieć, co łączy ją z tym hałaśliwym, zuchwałym chłopakiem. Wiadomo, że oddaje mu swój zarobek i zawsze się go trzyma.

Jest nieśmiała, zamyślona i dziecinna jak na swój wiek. Kiedy Jankl opowiada jej swoje bezczelne, śmiałe numery, wstrząsa nią dreszcz, a na policzkach występuje lekki rumieniec.

Kiedy razem idą, mówi tylko Jankl. Ona milczy, delikatnie uśmiecha się, uważnie słucha, chłonie jego słowa i nieznacznie czerwieni się pod zuchwałym spojrzeniem jego bystrych, przenikliwych oczu. Nie ośmiela się wypowiedzieć słowa w obecności Jankla, pewnie dlatego, że jest taki doświadczony, taki zwinny. Pierze jego bieliznę, łąta mu ubrania, a kiedy jest w domu, przynosi mu papierosy do mansardy na czwartym piętrze. Jankl leży w łóżku jak książkę, a ona wchodzi i schodzi po schodach jak służąca.

Kiedy idzie do matki, zabiera ją ze sobą. Dochodzą do bramy dużego, murowanego domu w bogatej dzielnicy miasta przy ul. Promenadowej⁶. Ejdl jest onieśmielona gipsowymi figurami, sztukaterią i niklowanym dzwonkiem z kościanym guzkiem. Gdy on dzwoni, ona zostaje na ulicy, przed bramą. Wychodzi stróż, który dobrze już go zna i idzie uprzedzić jego matkę. Jankl czeka na schodach.

Matka jest już czterdziestoletnią kobietą, ale pudruje się i maluje usta szminką jak młoda dziewczyna. Ma wstawione zęby z imitacji złota, które

⁶ Promenadowa, Promenada, Spacerowa – dawne nazwy al. Kościuszki.

z dumą pokazuje podczas rozmowy. Jankl wychodzi, gdy tylko coś od niej dostanie – trochę mięsa z kury, czterdzieści kopiejek, koszulę. Rzeczy sprzedaje później na złodziejskim targu, a jedzenie zjada razem z Ejdl.

W piekarni słyhać go częściej niż pozostałych. Rozdziela bajgle, przelicza, pomaga nawet wsypywać mąkę do dzieży, uczy czeladnika nowych kupletów, wypowiada się, kogo obsłużyć wcześniej, a kogo później. Czerwony Josz bierze kawałek kredy w grubą, mięsistą rękę, która ma intensywnie czerwony kolor i powyginane palce. Josz mówi, że ta ręka została tak zdeformowana w czasie wojny japońsko-rosyjskiej, kiedy jako żołnierz jeździł konno na mrozie. Liczy, ale zanim zapisze kredą, Jankl rzuca:

– Dwa złote i osiem groszy...

Czerwony Josz rzuca mu wściekle spojrzenie, rozczarowany, że nie dają mu popracować głową. Liczy dalej i burczy niezadowolony:

– Dwa złote i osiem groszy.

Jankl potrafi dobrze liczyć w pamięci, chociaż nie umie napisać nic więcej jak swoje własne imię. Dlatego Czerwony Josz go nie znosi i mawia:

– Jeśli cię o nic nie pytają, możesz zamknąć się jak małpa.

Nawet w szabat i święta Jankl nie siedzi beczynnie. Któregoś razu wyspał koniom z dylizansu pocztowego tabakę do torby z owsem. Konie przez trzydzieści minut nie przestawały kichać. Furman wyzywał i krzyczał, że uliczka Fajfra rzuciła mu urok na konie, wszyscy trzęśli się ze śmiechu, a sam Jankl, który stał z bandą obdartych chłopaków, ubawił się najbardziej ze wszystkich. Stojąc z rękami w kieszeniach, zawołał do furmana:

– Hej, załóż no swoim kobyłkom kozuchy, żeby się nie przeziębiły. Zobacz, jak kichają. Konie mają katar...

W ostatnie święto Rosz Haszana⁷ wywinął taki kawał, że kobiety mdlały i przeklinały go od ostatnich, nie mówiąc już o razach, które przy tej okazji zebrał.

Hinda, matka „adwokata”, handluje kotami. W drewnianych domkach pełnych dziur po kornikach grasują całe stada myszy. Zwłaszcza w ostatnich latach namnożyło się tego przekleństwa. Zaczęto na gwałt szukać kotów, które stały się nagle chodliwym towarem. Kilku chłopaków zebrało się i za pomocą pętli ze sznurka urządziło łapanki we wszystkich śmietnikach, na strychach, w opuszczonych piwnicach. Jak tylko zobaczyli kota, zarzucali na niego sznurek i kot był schwytyany. Potem sprzedawano je nawet po pięć kopiejek za sztukę.

⁷ Rosz Haszana (w jidysz *Rosz-haszone*) – Nowy Rok żydowski, obchodzony wczesną jesienią.

Hinda zrozumiała, że koty są zyskowne i zdecydowała się je hodować. Kupiła kilka kotek i parę kocurów, wpuściła je do komórki obok zrujnowanego domu. Koty się parzyły i urodziły kocięta. Hinda wyłożyła im poduszki sianem, kociętom wstawiła miseczki z mlekiem, a dla dorosłych kotów załatwiła flaki, podroby, kurze nóżki, które rzeźnicy wyrzucają i umieściła w oknie kartkę z napisem: „TUTAJ KUPISZ TANIO KOTY”.

Interes się rozkręcił. Ze wszystkich uliczek Bałut przychodziły kobiety, starsze i młodsze, z kilkoma kopiejkami w dłoni i prosiły:

– Hinda, dajcie mi dobrego kota, niech dużo myszy wyłapie.

Hinda podnosiła kota, pokazywała jego zęby z miną znawcy, przyjmowała zapłatę i wręczała towar:

– Tu ma pani prawdziwe holenderskie koty. Wykrywają myszy słuchem.

Kiedy interes szedł już całkiem dobrze, Hinda wprowadziła nowość: „szczurniki”, czyli psy, które łapią myszy. Ale te były przeznaczone dla zamożniejszych. Te psie szelmy dostarczają też rozrywki. Kiedy schwytają mysz, nie zabijają jej od razu, tylko pogryzioną trzymają w zębach. Mysz żałośnie piszczy i spływa krwią, która strumykiem cieknie psom z pyska. Pies kręci się wtedy z uciechy jak bąk, próbując złapać własny ogon.

Kiedy „advokat”, syn Hindy, po raz pierwszy przeprowadził próbę z psem, na podwórku zebrała się cała ulica, by popatrzeć na to zjawisko.

W czasie święta Rosz Haszana, Hinda zostawiła w komórce około dwudziestu kotów przywiązanych sznurkiem do ściany i poszła do domu modlitwy, znajdującego się dwie ulice dalej.

Jankl wziął sznurek i przyprowadził na dziedziniec domu modlitwy wszystkie koty. W przerwie między modlitwami kobiety wyszły na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza, powąchać sole trzeźwiące i poplotkować. Dokładnie wtedy zjawił się Jankl z bandą chłopaków. Koty, które od urodzenia przyzwyczały się do Hindy, od razu poznały swoją karmicielkę, wskoczyły na nią i wtuliły się w jej fartuch, miaucząc czule. Było na co popatrzeć. Z piętnaście kotów, garbatych, chudych, które dotychczas oddychały tylko dusznym powietrzem komórki, otoczyło starszą kobietę ubraną w staromodną czarną haftowaną sukienkę z plisami i trenem. Koty przeciągały się, łąsiły, ocierały i miauczały, demonstrując wystające chude żebra.

Kobiety i mężczyźni ryknęli śmiechem, a Hinda zrobiła się czerwona ze wstydu. Jankl i jego koledzy uciekli, pękając ze śmiechu.

Jakby tego było mało, Jankl zrobił coś jeszcze gorszego. Na rogu ulicy Pieprzowej mieści się sklepik z tabaką, papierosami i towarami kolonialnymi: solą, mąką, grochem, świecami, naftą, śledziami.

Pierwszy dzień święta Szawuot⁸ wypadł w katolickie święto Zielone Świątki⁹. Właścicielką sklepu jest wdowa Mariandl. Na ulicy nazywają ją Mariandl, ponieważ wygląda jak Polka. Bez względu na to jak wygląda, Mariandl jest bardzo pobożna. Modli się codziennie, a w szabat i święta chodzi do bałuckiej synagogi.

Herszl Buczik usilnie chciał zapalić papierosa. Po prostu usychał za papierosem. Kręcił się po uliczkach i stękał. Ale nie dostał papierosa w żadnym żydowskim ani katolickim sklepie, bo wszystkie były zamknięte. Zaczął zbierać niedopałki, wyjmował z nich resztki tytoniu, następnie wkładał go w bibulkę i palił. Ale to było mało. Chodził rozdrażniony i zatrzymywał każdego napotkanego:

– Dawaj zapalić! Zginę, jeśli nie zapalę!

W końcu wpadł na pomysł. Znalazł Jankla, dał mu pięć kopiejek i kazał wejść na dach domu, gdzie znajduje się sklep Mariandl. Stamtąd kazał mu wejść przez komin. Jankl posłuchał go z przyjemnością. Uwielbia takie rzeczy. Jest chudy i zręczny, więc raz-dwa wlaź do komina. Przez komin wszedł do sklepu, zabrał papierosy, zostawił pięć kopiejek i wyszedł tą samą drogą. Śmiech brał na jego widok. Wyszedł na dach cały czarny od sadzy. Wyglądał jak pajac z teatru „Flora”. Herszl Buczik ryknął śmiechem i powiedział mu komplement:

– Każde mieszkanie będziesz mógł opędzlować, mały. Wyrośniesz na fachowca.

Wziął od niego papierosy, ale przeszukał mu przy tym kieszenie i znalazł dwa śledzie, paczkę ryżu, jeszcze dwie paczki papierosów, tutkę cukierków. Herszl Buczik jest uczciwym człowiekiem. Nie skrzywdzi biednej wdowy. Poza tym, jak całe środowisko przestępcze, ma słabość do pobożnych ludzi. Wymierzył Janklowi dwa policzki i rozkazał mu:

– W tej chwili wracasz przez komin i odkładasz to wszystko na miejsce.

Jankl nie miał na to najmniejszej ochoty, ale Herszla Buczika trzeba słuchać. Tylko że nie wyszedł stamtąd z niczym. Kiedy wchodził do sklepu,

⁸ Szawuot (w jidysz *Szwues*) – Święto Tygodni, upamiętniające nadanie Tory na górze Synaj; tradycyjnie było to również święto rolnicze związane ze zniwami; wypada siedem tygodni (pięćdziesiąt dni) po święcie Paschy, co odpowiada końcówce maja lub pierwszej połowie czerwca.

⁹ Taka zbieżność kalendarzowa wystąpiła w 1914 r.

zajrzał też do mieszkania, w którym mieszka Mariandl. Spokojnie rozsiadł się przy stole, na którym stały przygotowane gefilte fisz, mięso, cymes i bu-telecza wódki. Mariandl lubiła sobie wypić. Zjadł ćwiartkę kury, część ryby i popił gorzałką. Następnie zaczął pożerać słodczyce i wyjadać rodzyнки, które zabrał ze sklepu. Kiedy się już wystarczająco najadł i napił, z powrotem zaczął się wspinać. Ale był pijany. Kręciło mu się w głowie. Z ogromną trudnością wchodził do komina i zaraz się z niego ześlizgiwał jak kula kominiarska i tak z dziesięć razy. W końcu wszedł na dach, ale chwiał się i trzymał czerwonego komina. Bał się zrobić krok. Dach wirował mu pod nogami, a cały dom kręcił się jak karuzela. Od przejedzenia był ociężaly, a od wódki kręciło mu się w głowie. Stał tak przez jakiś czas, trzymając się komina i wystraszo-ny niepewnie patrzył na ulicę.

– Co tak stoisz jak idiota? Złaż szybko z dachu – zawołał do niego Herszl Buczik, odpalając jednego papierosa od drugiego.

Jankl stał i milczał.

– Szybko, hajda! Kiedy zejdziesz z tego dachu? Mariandl zaraz wróci do domu z modlitwy.

Ale Jankl nie ruszał się z miejsca. Dach był spadzisty i pokryty śliskimi gontami. Bał się, że jeśli się ruszy, stoczy się z niego jak paczka wełny.

Coraz więcej ludzi zaczęło się zbierać i wszyscy patrzyli z niedowierzaniem, jak Jankl stoi na wysokości ściskając komin i głupkowato jak cielę gapi się przed siebie szeroko otwartymi, mętnymi oczami.

– No, mówię do ciebie, złaż już! – krzyczał Herszl Buczik wściekłym głosem.

– Nie mogę... – odpowiedział Jankl płaczkliwym głosem.

– Dlaczego nie możesz? Już raz schodziłeś.

– Nie mogę... jestem pijany... gonty wirują... komin lata... dom tańczy... oj, jestem pijany... oj, hop sa sa! – Jankl zaczął tańczyć obok komina.

– O cholera, ten bękart tam się upił – wybuchnął Herszl rubasznym śmiechem, a razem z nim jego kolesie.

Jankl zaczął śpiewać kuplety, naśladować krowy, świnię, koty. Wokół zbierał się coraz większy tłum ludzi trzęsących się ze śmiechu. Dziwna to była scena. Na dachu stoi chłopak, który wygłupia się jak dzikus, poniżej hałasuje rozradowany tłum.

Koniec był taki, że Herszl Buczik dostawił drabinę, wziął chłopaka, sprawił mu lanie na oczach zgromadzonych i sprowadził na dół.

Po południu Josl stoi na Starym Rynku, gdzie jest wesoło i gwarno. Widać tu przeróżnych ludzi. Sprzedaje się tu starocie, gra w karty i handluje różnymi kolorowymi napojami na małych stolikach. Żydzi i Żydówki noszą parasolki, stare kapelusze, spodnie, kamizelki, palta. Przymierzają towary, zdejmują marynarki, stoją tylko w koszulach i spodniach. Jakiś sprzedawca kręci się wokół klienta, obmacuje go jak lekarz i sprawdza, czy ubranie pasuje. Przychodzą tu zrujnowani bogacze z żalonym, ponurym wyrazem twarzy, jak obłożnie chorzy. Wyjmują z tobołków lakierki, pierzyny, poszwy, jedwabne ubrania. Dwóch kupców przebiegłym, zwinnym okiem ogląda towar, bierze go w rękę, wyklóca się o cenę i dobija targu: sprzedane!

W innym miejscu stoi mężczyzna z długą, czarną brodą. Trzyma w ręce dziesięć krawatów jak rzemienie filakterii¹⁰. W jego połatany, znoszony chalcie, całkowicie wyblakłym od słońca, tkwią szpilki z kościanymi główkami, miedziane agrafki i spinki. Między palcami wiszą czerwone koraliki, imitacje złotych łańcuszków, sznury „brylantowych” i „złotych” damskich zegarków. Woła zachrypłym głosem:

– Ludzie, tylko tu za złotówkę każdy może zostać elegancką „dama” lub „panem”. Chodźcie! Kupujcie!

Młode dziewczyny o cerze ziemistej od piwniczego powietrza przyglądają się błyskotkom z zapartym tchem, aż ściskane w dłoniach miedziane monety stają się ciepłe i wilgotne od rozbudzonej żądzy posiadania biżuterii i klejnotów.

Jakaś rumiana siksa założyła na opaloną szyję „srebrny” łańcuszek za pięć kopiejek. Odchodzi kawałek, spogląda na swoją szyję, na sterczące piersi i zdaje się uśmiechać do własnego pełnego biustu. Małe dziewczynki kupują czarne mahoniowe ptaszki i blaszane gwizdzące koguciki. Dzieciom owiniętym w chusty i niesionym na rękach matki kupują trąbki, ustne harmonijki, kukielki na sznurkach, balony i figurki Matki Boskiej.

Spragnieni pakowacze i tragarze otaczają stoliki z lemoniadą we wszystkich kolorach, piją ją łapczywie całymi szklankami, zostawiając grosze, które z brzękiem rzucają na stolik.

W powietrzu unosi się odór starego obuwia, zapach ciał ludzkich, które kiedyś wypełniały odzież niesioną teraz w rękach przez drobnych złodziejasków-sprzedawców.

¹⁰ Filakterie (hebr. *tefillin*) – używane do modlitwy skórzane pudełeczka zawierające wersety biblijne, przytwierdzone przez mężczyzn rzemieniami do czoła i ramienia.

Na uboczu widać stolik z numerami, kilkoma blachami szarlotki, keksów i pierników. Obok stoi chłopak i woła:

– Tylko za grosz można wygrać funt szarlotki! Każdy numer wygrywa! Tylko za grosz!

Gazeciarze, żebracy, tragarze, przekupki wyciągają ręce z groszami. Chłopak rozdziela wszystkim numery. Popycha koło i gęsie pióro zatrzymuje się na numerze:

– Wygrał numer 16. Jazda, dalej kręcimy! Kto? Kto stawia? – krzyczy zachrypniętym głosem przekupnia.

Zwycięzca pochyła się, zjada wygrane ciastko na stojąco, rozrzucając okruchy po ziemi. Zjawia się skądś bezdomny pies ze skórą wyłysiałą od uderzeń batem i wystraszony, jakby popełniał kradzież, zjada okruchy z ziemi, po czym znika między setkami nóg.

Przy innym stole jest tablica z cyframi; w misce dźwięczy kostka do gry, słychać wołanie:

– Tylko za jedną kopiejkę wygrasz złotówkę! Będziesz bogaty jak Rotszyld! Szybko do mnie!

Kiedy nadchodzi policjant, wszystko znika. Na stole zamiast pieniędzy momentalnie pojawiają się cukierki. To poza. Ale gdy tylko stróż porządku odchodzi, gra toczy się dalej. Zachrypnięty głos powtarza:

– Hajda, następni! Kto stawia? Za grosz – cała srebrna złotówka!

Żeby zachęcić klientów, krupier podnosi czerwoną pięść ze srebrnymi monetami i dźwięczy nimi w powietrzu jak dzwonkiem:

– Hej, ludzie, wypchacie sobie kieszenie forszą jak Rotszyld!

Ktoś inny handluje obrożami dla psów, zameczkami do walizek i kuferków, blaszanymi niebieskimi talerzami, żeliwnymi czajnikami i garnkami z aluminium. Ludzie wtykają łapska, tłoczą się, macają i wszystko to dźwięczy, wtapia się w ogólny hałas, miesza się z mową, krzykiem, brzękiem pieniędzy.

Nadchodzi także Note z kinematografem. Staje na stronie i basowym głosem wykrzykuje dobrze znaną litanię:

– Kinematograf, Stambuł płonie, Napileo w Moskwie...

Zawsze znajduje się kilku, którzy dadzą mu zarobić. W większości są to dzieci i kobiety.

Josl stoi niedaleko ze swoim koszykiem i często podchodzi, by porozmawiać. Jak zwykle, Note wypytuje go, jak mu idzie. Josl wszystko mu opowiada, ale Note nie jest zadowolony.

– Josl, powinienes uczyć się więcej pisać. W naszej okolicy nie ma zbyt wielu ludzi, którzy wiedzą jak korzystać z pióra...

Zaraz Note spostrzega, że mówi w próżnię. W głębi serca zastanawia się: a gdyby chciał się dalej uczyć, kim by został? Przecież nie można się kształcić nie mając pieniędzy.

Raz Note przywołał go do siebie. Otworzył drzwiczki pudełka i wyciągnął z niego książkę. Była to stara książka w jidysz z wytartą okładką.

– Weź ją i przeczytaj, Josl. Jeśli jest to ciekawa książka, musisz mi opowiedzieć, co w niej jest. Uwielbiam niezwykle historie.

Josl wziął od niego książkę i rzucił na nią okiem. Była to powieść Szomera¹¹ *Czarownica*.

¹¹ Szomer – pseudonim popularnego pisarza Nochema-Mejera Szajkewicza (1849 ?–1905) pochodzącego z Białorusi, autora około 200 powieści i opowiadań w jidysz oraz ponad 50 sztuk teatralnych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

DZIECKO

Reb Eli był w mieście, dowiedział się, gdzie jest przytułek dla niemowląt i wrócił do siebie strapiony. Małeńkie dziecko leżało w kołysce i płakało na cały głos. Kołyska nie była nowym nabytkiem. Dwojra przypomniała sobie, że na strychu, między starociami, kuframi, księgami, żelastwem i innymi rupieciami powinna się też znajdować kołyska. Wzięła kluczyk i razem z sąsiadką weszły na górę. Strych był niski, trzeba było schylać głowę, żeby się nie uderzyć o blachę podtrzymującą dach. Wśród starych łachów, podartych koszul, stwardniałych jakby były z metalu, baryłek na barszcz znoszonych wyłącznie na święto Pesach¹, rozłożonych klepek balii, wygniecionych dziurawych czajników, które reb Eli regularnie co trzy lata wyrzucał na strych, używanych, popsutych części łóżek, elementów studni, wśród przetartych mioteł stróża – stała również kołyska.

Była podjedzona przez mole i pokryta białym kurzem, jakby przebywała w młynie. Dwojra poruszyła nią. Gęsta mgła grubego pyłu podniosła się i na chwilę zasłoniła widok. Obie z sąsiadką zaczęły kichać. Na sznurze kołysało się miarowo stare ubranie. Dwojra spojrzała na nie i łzy napłynęły jej do oczu. Ubranie miało około trzydziestu lat, a od piętnastu wisiało już na strychu. Wiatry, przenikające przez okienka, obdarły jego dolną część, a kieszenie przeistoczyły się w gniazda karaluchów i innych robaków, przez co uwypukliły się jak pęcherze.

Dwojrze przypomniało się przyjęcie na cześć ich syna, Mojszele. Reb Eli, jej mąż, wyglądał wtedy w tym ubraniu tak młodo! Teraz kołysało się jak waha-dło zegara. Było sztywne jak nikiel i w przytłaczającej ciszy strychu wzbudzało

¹ Pascha (hebr. *Pesach*) – jedno z najważniejszych świąt żydowskich, upamiętniające wyzwolenie z niewoli egipskiej; trwa osiem dni, podczas których je się specjalne potrawy, przygotowane bez użycia drożdży (m.in. barszcz).

lęk, jak strach na wróble nocą na pustym polu. Dźwięk kroków obudził jaskółkę, która zaczęła latać, bijąc mocno skrzydłami, muskając twarze obu kobiet. Kurz jeszcze bardziej zgęstniał i światło wpadające przez okienko przecięło strych jak kolumna.

Kiedy wyciągnęły kołyskę, zobaczyły, że leży w niej jaskółcze gniazdo. Sześć nieopierzonych piskląt siedziało w nim i ruszało dzióbkami, ale piszcząc jeszcze nie potrafiły. Jaskółka zakreśliła krąg nad głowami kobiet, skrzydłami dotykając ich peruk i gniewnie szczebiocząc. Powoli, łagodnie Dwojra odłożyła na ziemię pisklętą, posadziła je na jakiejś szmacie i razem z sąsiadką zanosły kołyskę do mieszkania.

– Kto by pomyślał, że na starość będzie mi jeszcze potrzebna kołyska? – żartowała sobie Dwojra i rzuciła pełne litości spojrzenie na dziecko leżące na poduszce.

– Nigdy nie wiadomo, co człowiekowi się kiedyś przyda, Dwojreniu. Czy to wiadomo, co jutro przyniesie?

Sąsiadka nazywała się Rywa Olbrzymka. Jej mąż, woźnica, zginął przygnięciony własnym wozem. Była silną kobietą lat trzydziestu dwóch. Ręce miała jak z żelaza, a jej figura z szerokimi ramionami tchnęła zdrową, chłopską ociężałością, charakterystyczną dla korpulentnych i mocnych ludzi. Policzki jej płonęły, a kiedy szła, drewniana podłoga lekko pod nią jęczała, jakby przesuwano szafę. Sprawiała wrażenie twierdzy. Potrafiła zgnać gołą ręką miedzianą monetę. Na plecach mogła nieść worek mąki. Była w stanie zatrzymać na ulicy rozjuszzonego konia i zdzielić go pięścią po parujących nozdrzach. Od śmierci męża utrzymywała się, piorąc, myjąc podłogi i sprząając. Mieszkanie reb Eliego było jednym z pierwszych, w których pracowała. Co piątek rano przychodziła tam posprzątać. Teraz Rywa Olbrzymka miała nowy zarobek. Dwojra zaproponowała jej posadę mamki dla niemowlaka, a ta chętnie przyjęła pracę.

Dziecko wyczuło mocne piersi, źródła życiodajnych soków. Wkrótce pojawił się w jego oku zdrowy błysk, jak u dzieci mocnych rodziców. Policzki mu się zaokrągliły, zarumienione i beztróskie machało radośnie rączkami, wyciągało je do świata, w który dopiero co wchodziło. Jak roślina podnosząca omdlałą główkę od promieni wiosennego słońca, tak chłopczyk zaczął rosnać od dobrego, zdrowego mleka z piersi Rywy. Miał już na główce kilka jasnych, kręconych włosków – taki się urodził.

– Ten bękart do czegoś w życiu dojdzie – przepowiadały kobiety, biorąc ten przypadek za znak opatrności.

– On nie będzie handlować bajglami jak jego brat, co to, to nie!
– Oby tak było, dobry Boże! – wzdychały i patrzyły życzliwie na dziecięcą buzię w kołysce.

Zaczęto uważać malucha za własność całej uliczki, a w każdym razie całego podwórza. Każda kobieta starała mu się coś podarować. Jedna przyniosła ubranko, druga zabawkę, gumowy krążek, bębenek, lalkę.

Dziecko było jeszcze za małe, by bawić się lalkami, ptaszkami i zabawkami, więc Dwojra musiała wiele z tych podarunków schować w szafie na później. Zebrała się góra zabawek, tak że w końcu przestała przyjmować nowe.

Dwojra przyzwyczaiła się do dziecka i dużo się nim zajmowała. Pilnowała go, opatrywała, myła i nosiła na rękach.

Reb Eli jest niezadowolony. Nie może słuchać płaczu dziecka. W pierwszych tygodniach myślał, że tego nie wytrzyma. Płacz budził go w nocy, nie dawał spać. Przewracał się z boku na bok i burczał ze złością:

– Dzieci na starość, do czego to już doszło!

Rywa szybko uciszała niemowlę, wpychając mu do ust pierś, ale reb Eli długo leżał w łóżku z otwartymi oczami i myślał stroskany, że jest już niemłody i potrzebuje snu. Zaczął się spóźniać do pracy po pół godziny, czasem więcej. Kosztowało go to dużo zdrowia. Irytowało również, że traci przy tym kilka kopiejek. I przypominało mu o starości. Ze smutkiem myślał, że najlepsze lata ma już za sobą. To już nie te czasy, kiedy wystarczało odpocząć w nocy po parę godzin, by potem dziarsko stanąć do pracy przy krosnach. Teraz, gdy śpi o dwie godziny krócej niż zwykle, czuje się chory i połamany przez cały dzień. Zасыpia przy warsztacie tkackim, budzi się nagle, przerażony. Spanie przy pracy – to największe przestępstwo jakie można sobie wyobrazić u tkaczy. On sam od razu zwalniał takiego leniwego czeladnika. A teraz na to mu przyszło. W pomieszczeniu panuje hałas, biegają czółenka, stukają belki, czeladnik śpiewa, Dwojra rozmawia z kobietami, a on, reb Eli, w tym tumultie zасыpia. Co za wstyd! Czy już jest starcem? Czy już jest skończony? Och, zaczyna to czuć w kościach, widzi to po zmęczeniu, po opadających powiekach. A kto mu o tym przypomina? To malutkie obce dziecko, którego nie kocha, do którego odczuwa jedynie litość.

A co gorsze jest stratny! Pracuje mniej. Wyżywienie dziecka kosztuje, wprawdzie kopiejki, ale kopiejki to też pieniądze. Rywa zarabia teraz podwójnie: raz za wysprzątanie mieszkania na szabat, a drugi za karmienie dziecka.

Do swoich własnych dzieci nie brał mamki, Dwojra sama się nimi zajmowała. A teraz ma utrzymywać mamkę dla obcego dziecka, z którym wiąże go jedynie to, że jego matka była jego lokatorką i umarła, będąc mu winna za dwa kwartały czynszu. Mamka! To dobre w pałacu Poznańskiego! Albo dla grubych ryb z ulicy Piotrkowskiej. Ale skąd jemu do tego? Ile czasu minęło, odkąd sam podwijał nogawki i szorował podłogi, byle tylko zaoszczędzić pięć kopiejek? Czy nie zamiata osobiście podwórza, kiedy parobcy od koni, biorący wodę z jego studni, nie dotrzymują słowa i zostawiają go na lodzie? I on, reb Eli, miałby brać mamkę?

Gryzło to reb Eliego, kiedy leżał w łóżku z otwartymi oczami. Później, kiedy dziecko znowu zasypiało, opierając buzię na nagich, zdrowych, pełnych piersiach Rywy, reb Eli długo jeszcze nie mógł się uspokoić. Wzdychał, marszczył czoło od gorzkich myśli, rzucał się na postaniu. Zabierają mu pieniądze. Okradają go – oto bilans wszystkich jego przemyśleń. Więc wysilał swój wymęczony umysł, szukając sposobu, aby pozbyć się dziecka.

Jutro pójdzie do miejskiego przytułku dla niemowląt i postara się, by przyjęto tam dziecko na wychowanie. Niech się dzieje, co chce. On już nie ma zamiaru łożyć pieniędzy. Po czterdziestu latach harówki doszedł do czegoś, nie ma ochoty roztrwonić tego na obcych. Nie jest niczym opiekunem, choć chcą mu to wmówić. To bezczelność, żeby akurat jego tym obarczać. I to tylko dlatego, że ma pieniądze. Tak, tak, bez wątplenia, czyhają na jego pieniądze. Ze wszystkich stron czyhają na niego jak głodne wilki.

Oczy mu się zamykają, ale nie może zasnąć. Nawet mówi do siebie. Cienkie wargi poruszają się. Słowa są jak pijane od snu. Reb Eli sam ich nie słyszy. Powoli zasypia, ale sen ma ciężki, gęsty jak mgła. Coś mu się śni. W powietrzu widzi pięści, tysiące pięści. Pięści trzymają grosze. Poruszają się szybko, dźwięczą, dzwonią. Dzwonią tysiące groszy. Niebo wypełnia się dźwiękiem miedziaków. Ktoś krzyczy głębokim basem dochodzącym z próżni, jakby mówił z dołu głębokiego na tysiąc sążni. Głos brzmi jak dzwon alarmowy:

– Eli, Eli, to twoje grosze, twoja krwawica!

Krew napływa mu do twarzy. Robi mu się gorąco. Stoi jak wryty, wpatrując się pożądliwie i z przerażeniem w tysiące, tysiące pięści. Serce wyskakuje mu z piersi, kolana drżą:

– Moje pieniądze! Moje pieniądze! – krzyczy, a słowa wylatują mu z ust z szybkością kul. Nagle słyszy śmiech tysiąca wykrzywionych drwiących ust, zwielokrotniony przez echo kamiennej góry, która kruszy się i pęka. Ludzie otwierają ręce, rozłożone jak krzyże i grosze wylatują w niebo jak uwolnione ptaki.

Nazajutrz reb Eli przerwał pracę o dziewiątej rano, założył alpagowy sobotni chałat, wyszczotkował zakurzoną czapkę z daszkiem i wyszedł na ulicę.

Szedł trochę zawstydzony, wołał, by go nie widziano. Czuł się, jakby chciał zrobić coś niedobrego. Szybko opuścił wąskie uliczki Bałut, wmieszał się w tłum przechodniów, jakby chciał się w nim zgubić. Był trochę bledszy niż zwykle, wydawało mu się, że przemawia w nim jakiś obcy głos:

– Eli, jesteś Żydem czy nie? Masz ojca, czy znaleziono cię pod płotem? Chcesz być mordercą, unieszczęśliwić żydowską duszę? Patrz, włosy masz już siwe, jedną nogą jesteś na tamtym świecie. Za taką sprawkę nie wykupisz się z piekła za miliony lat. Eli, pomyśl, co chcesz zrobić! Pohamuj się, Eli!

Rozejrzał się zmieszany, ale nikogo nie widział. Jego czysta, pomarszczona jak pergamin twarz, wyrażała troskę. Odczuwał wstyd. Ale przed kim? Tym kimś, kto w nim mówi. Jednak szedł dalej, zadowolony, że mijające go tramwaje, dorożki i ciężarówki zagłuszają ten obcy głos, który pojawił się w jego duszy.

Dziecko jest u niego w domu od przeszło trzech miesięcy i jest mu już winne za trzy kwartały czynszu: razem czterdzieści pięć rubli. Mój Boże, czterdzieści pięć rubli! Ile tygodni trzeba siedzieć i stukać na krosnach, żeby zarobić tyle pieniędzy! Czy on musi cierpieć za innych? Dlaczego wszyscy się na niego uwzięli? Dlaczego wysysają z niego te zarobione kilka groszy? Syn jest studentem, trzeba mu wysyłać pieniądze. Mamka w domu, też pieniądze. Darmowe mieszkanie, znowu pieniądze. I to on, Eli, musi to wszystko znosić?

Dzień jest gorący i duszny. Jest parno jak w stajni. Reb Eli rozpina chałat, czuje krople potu na szyi pokrytej niebieskimi żyłami. Jest już w mieście, na ulicy Zachodniej. Z daleka rozpoznaje budynek, w którym mieści się przytułek. Groza bije od szarej, smutnej, ceglanej budowli przypominającej koszary. Okna są zamknięte, brama zaryglowana. Groza przybiera ludzką postać, ktoś zagradza mu drogę, jakby nie pozwalał dalej iść. Ale reb Eli wyrывa się naprzód. Kiedy dochodzi do czerwonego, ceglaneanego domu, wydaje mu się, że przeszedł granicę, zaporę.

Dzwoni. Wychodzi stróż, pyta do kogo. Reb Eli wyjaśnia i chwilę później wchodzi po czystych kamiennych schodach. Puka do drzwi z rosyjskim napisem. Odpowiada mu basowy głos. Jest teraz w porządnym, jasnym pokoju. Przy biurku siedzi starszy pan, sztywny mężczyzna w złotych okularach, z awansowaną lśniąca łysiną. Z rękawów jego marynarki wystają śnieżnobiałe mankiety. Obok niego siedzi dama w wielkim kapeluszu, na którym błyszczą w słońcu kilka srebrnych strusich piór. Zwraca w stronę wchodzącego Żyda

swą zmęczoną, bladą, znudzoną twarz. Obserwuje go przez monokl, który kokieteryjnie przystawia do pokrytego makijażem lewego oka. Reb Eli czuje się urażony tym bezczelnym spojrzeniem, które wbija się w niego tak badawczo.

– Czego pan sobie życzy? – pyta po rosyjsku pan z pofałdowanym, surowym, chłodnym obliczem.

Reb Eli milczy. Nie zna rosyjskiego. Rozumieć nawet rozumie, ale mówić nie potrafi.

– *Was verlangen Sie?*² – pyta mężczyzna po niemiecku.

Teraz reb Eli opowiada mu, po co przyszedł.

– *Ja, ja* – mruczy pan – *das lässt sich machen. Ja-ja*³...

– *Ach, der Vater und die Mutter todt* – mruczy dama ze znudzoną twarzą – *Schade, schade! So ein Schicksal!*⁴

Jej głos brzmi piskliwie i cienko, jakby wydobywał się z wąskiego gardła. Przypomina dźwięk struny „c” w skrzypcach.

Otwiera płaskie etui, wyciąga papierosa, chce zapalić. Mężczyzna ją uprzedza i pospiesznie podsuwa jej płonąca zapalną.

Dama wydmuchuje pasmo dymu, przesuwając szczupłą nogę, którą trzyma założoną jedną na drugą, i pyta po niemiecku:

– Ale skoro ojciec zmarł wcześniej, to czyje jest to dziecko? *Eine romantische Geschichte, nicht wahr?*⁵

Znudzony głos ożywia się na chwilę i podnosi. Wyraz ciekawości przegania smutek z jej szczupłej, upudrowanej twarzy, w której uszmińkowane na czerwono usta błyszczą jak rana. Wyczuwa intrygę i pokazuje reb Eliemu krzesło:

– *Bitte, nehmen sie Platz*⁶.

Reb Eli siada i opowiada, kim był ojciec, kim była matka. Dziecko zostaje w ten sposób oczyszczone z podejrzeń i dama traci zainteresowanie nim. Wydmuchuje kłęby dymu z małych, karmazynowoczerwonych ust, ziewa w szlachetną, delikatnie wyrzeźbioną rączkę, odzianą w rękawiczkę ze szmaragdowozielonej skóry. Obserwuje pogodę za oknem. Promień słońca pada na jej podłużną twarz, co sprawia, że wydaje się jeszcze bledsza i smutniejsza.

² Czego pan sobie życzy?

³ Tak, tak... to da się zrobić. Tak, tak.

⁴ Ach, ojciec i matka nie żyją! Szkoda, szkoda! Co za los!

⁵ To jakaś romantyczna historia, prawda?

⁶ Proszę, niech pan usiądzie.

Reb Eliemu nie podoba się mężczyzna w czarnym wyprasowanym garniturze ani baba z papierosem. To mają być wychowawcy? To oni mają wychować dziecko na Żyda, by bronił swej wiary jak jego przodkowie?

Na koniec mężczyzna każe mu wypełnić pisemną prośbę i obiecuje, że dziecko zostanie przyjęte.

Reb Eli znowu idzie ulicą, zatroskany. Serce mu bije. Z jednej strony ma wielką ochotę oddać dziecko do przytułku, z drugiej – boi się, że popełni wielki grzech. Niezadowolony i nachmurzony wraca do domu. Spotyka go żona, po alpagowym sobotnim chałacie poznaje, że mąż gdzieś wychodził.

– Gdzie byłeś, Eli? – pyta.

Nie odpowiada od razu. Nie zdejmuje chałatu, kręci się po obydwu pokojach, przechodzi z jednego do drugiego.

– Dlaczego jesteś taki zamyślony, Eli? – żona poznaje, że coś go gnębi.

Reb Eli patrzy na dziecko śpiące w kołysce i burczy niezadowolony. Dwojra już rozumie powód jego zamyślenia. Nalewa szklanek herbaty i stawia na stole.

– Napijesz się herbaty, Eli?

Nie odmawia. Siada, wyjmując z kieszeni kamizelki pół kawałka cukru zawiniętego w kawałek papieru, pije powoli herbatę. Dwojra przysiada się do niego i czeka, aż mąż opowie, gdzie był. Przez chwilę milczą. Potem Eli zaczyna:

– Co będzie z mieszkaniem, Dwojro?

– Z jakim mieszkaniem?

– Tym na górze, mieszkaniem Złate, niech spoczywa w spokoju.

Dwojra wzdycha i rzuca okiem na dziecko w kołysce.

– To się ciągnie bez końca. Mamy już przecież ciężkie straty... Mam zamiar wynająć komuś to mieszkanie.

– Przecież nie wyrzucimy dzieci na ulicę. Dwie biedne sieroty, bez ojca i matki – Dwojra przytyka fartuch do oczu i już płacze.

Reb Eli uderza gniewnie w stół, zrywa się z miejsca i burczy:

– Już... już... już zaczyna ryczeć... Jednego słowa nie można z tą kobietą zamienić.

Z drugiego pomieszczenia słychać stukot krosien. Siedzący na oknie kot próbuje złapać muchę, bzyczącą na szybie od strony podwórza. Uderza łapką w szkło, które drży we framudze. Dopiero, kiedy Dwojra przestaje płakać, reb Eli na powrót siada.

– Do czego to dojdzie? Przecież nie jestem odpowiedzialny za całą gminę, żebym za darmo oddawał mieszkanie. Ile mieszkań jest w moim domu? To rzeczywiście sieroty i naprawdę szkoda ich, ale co ja jestem winien? To są zresztą dzieci i mogą mieszkać gdzieś indziej, u kogoś.

– Przecież minęły dopiero trzy miesiące, odkąd im mama umarła, a ty chcesz je już wyrzucać na bruk. Co ludzie powiedzą? Będą na nas wygadywać i słusznie. Mało to mamy wrogów i bez tego?

– Sza, sza, dlaczego od razu wyrzucać? Kogo wyrzucać? Damy dzieci do sąsiadki, będą u niej mieszkać. Zresztą chłopiec, Josł się chyba nazywa, jest całkiem porządnym dzieckiem. Zarabia już całkiem nieźle, więc nie będą musieli o nic nikogo prosić. Po co im całe mieszkanie? Wystarczy własny kął u kogoś. Zresztą to wcale nie jest dobrze, żeby dwójka dzieci mieszkała sama na gospodarstwie, jeszcze wyrosną na włóczykiów. Potrzebują kogoś starszego, kto będzie na nich uważał, kierował nimi, pilnował.

Reb Eli widzi, że stracił już za dużo czasu. Szybko zdejmuje chałat i czapkę, po czym w samej jarmułce i kapciach siada do pracy przy krosnach. Stuk dwóch warsztatów tkackich zagłusza jego myśli, ale dalej się zastanawia marszcząc czoło. Dwojra ciągle jeszcze siedzi przy stole, patrzy wilgotnymi oczyma na dziecko w kołysce i swoim zwyczajem wzdycha:

– Biada ci, pisklątko, że przyszedłeś na świat sam jak palec!

ROZDZIAŁ PIĄTY

ZŁE CZASY

Strugi deszczu zalewają uliczki Bałut. Zaczęło się z samego rana i pada bez przerwy. Trotuary, bruk, rynsztoki są pełne wody. Z rynien, dachów i gzymśów leje się bez ustanku. Pojedyncze strumienie połączyły się w jedną ogromną falę, która dziko prze do przodu, szturmując wąskie uliczki. Uderza w drewniane bramy, próbuje je na siłę otworzyć i pociąga za sobą, co tylko się da: stare podarte worki, papiery, znoszone buty. Powstała z tego wielka masa rzeczy, które z diabelskim impetem przewalają się z jednej uliczki na drugą. Fala opada, wznosi się, wciąga po drodze kawałki drewna, dziecięcą podartą koszulkę, szyld zerwany przez wiatr. Gdzieś złapała martwą chudą kotkę, która leżała i rozkładała się nie wiadomo jak długo. Kotka płynie na fali, woda wypuczyła jej brzuch, wygląda jak w ciąży. W swoim pędzie fala dorwała się do drewnianego mostka, świszczy i wyje, chce go zerwać. Drewno się broni, oddaje ciosy, jęczy, ale woda zwycięża. Donośny trzask, mostek się zrywa. Rozpada się na deski, kawałki drewna, listwy. Fala ciągnie je z sobą i pędzi dalej swobodnie, nieokiełznana. Na jakimś podwórzu natrafiła na worek słomy – momentalnie go zabrała, pociągnęła żdźbła za sobą, rozsiała po ulicach. Słoma leci, podąża za deskami i martwą kotką. Jedno chce drugie złapać, dogonić.

Na uliczce ludzie wyciągają pościel i ubrania z suterren, wnoszą na wyższe piętra. Mężczyźni i kobiety mają podwinięte nogawki spodni i podkasane suknie, niosą szpadle, miotły, łopaty, wybierają wodę z piwnic. Przed niektórymi domami stoją beczki, szafy, stoły, skrzynie – to tamy, które nie przepuszczają niszczycielskiej fali. Jakaś kobieta biegnie zrozpaczona w wodzie, fala podcina jej nogi, chce ją przewrócić. Kobieta podkasowała spódnicę i krzyczy, nie oglądając się na nic:

– Oj, biada mi, zostawiłam dziecko! Ludzie, pomóżcie!

Podbiega do drewnianego domku, otwiera kluczem drzwi sutereny i wskakuje do środka. Za nią idzie jeszcze kilkoro ludzi z przestraszonymi, szeroko

ko otwartymi oczami. Woda zalała mieszkanie do połowy. Pływają drewniane dzieże, walek do ciasta, koszule, suknie i dwie martwe, utopione myszy. Dziecko leży w kołysce. Stał się cud: woda uniosła kołyskę jak łódkę. Poduszka już jest zalana i dziecko wystawia główkę z mokrej kołyski jak ryba z rzeki. Buzię ma już bladą od płaczu i krzyku. Wykrzyczało sobie płuca. Kobieta chwytą na ręce mokre dziecko, całuje, płacze z radości. Brodzi do kolan w wodzie. Inni łapią jej nędzny dobytek – pościel i bieliznę, po czym wszyscy szybko wybiegają na zewnątrz. Fala dostała się teraz szturmem do wnętrza przez otwarte drzwi, zuchwale uniosła dwie utopione, napuchnięte myszy i pół rozmiękczonego bochenka chleba. Mokry chleb podskakuje na fali, kołysze się i – hajda! Razem z myszami błyskawicznie ucieka z ulicy.

Nadciągają dwie fury. Konie biegną, rozpryskując wodę. Podnosi się biała piana, fury przebijają się do połowy zanurzone w wodzie. Konie są mokre po szyje i głowy. Rzucają nerwowo pyskami i bez przerwy kichają, bo woda pryska im w rozwarte nozdrza. Kobiety i mężczyźni z płaczem i krzykiem rzucają na wozy poduszki, puchowe kołdry, kufry. Spadają przy tym do wody deski, kawałki dykty i ramki fotografii, które przez przypadek dostały się do pościeli. Pędząca fala wciąga je chciwą ręką i posyła dalej w drogę. Reb Eli, Herszl Buczik, Czerwony Josz, czeladnicy i służba brodzą zanurzeni, trzymają wiadra i czerpią wodę z piwnic. Ich twarze spływają potem, ręce poruszają się szybko. Ubrania mają przemoczone, gacie sznurkami przytwierdzone są do spodni. Są bosy. Stoją w wodzie i ciężko pracują. Ręce podnoszą się jak wiosła, jeden krzyczy coś do drugiego, daje wskazówki, polecenia. Jest noc. Księżyc odbija się w pędzącej wodzie, jego srebrne promienie przetaczają się po fali. Na rogu ulicy stoi kilku obdartych chłopaków. Zdjęli spodnie, trzymają je zarzucone na ramiona i w podkasanych koszulach brodzą w wodzie. Nagle z jednego wozu coś spada, jakiś przedmiot. Fala natychmiast go porywa. Coś białego błyszczy w ciemności. Jeden z chłopaków podbiega, łapie płynące białe zawiniątko i ucieka. Gdy tak biegnie, woda uderza go ze wszystkich stron. Powietrze przecina donośny krzyk:

– Gwałtu, ludzie, łapać złodzieja! Zabrał mi wyprawkę Hindy!

Siedząca na furze kobieta macha rękami, lamentuje. Furman zdziera grzbiet konia biczem i rusza w pościg za chłopakiem. Ludzie na wozie, sam woźnica, kobieta, zostają opryskani od stóp do głów. Furman przeklina, wyzywa.

– Ludzie, co tak stoicie jak bałwany! Łapcie złodzieja! – lamentuje kobieta i ociera sobie zalaną wodą twarz.

Setki głów wyglądających bezsilnie z okien na górnych piętrach pomagają w pościgu:

– Łapać go! O, tam jest, przy domu reb Eliego! Podstawcie mu nogę, to go zatrzyma!

Ludzie wchodzą do wody. Mężczyźni i kobiety gonią złodzieja z miotłami, łopatami, wałkami do ciasta. Woda się pieni, pryska lśniącymi kroplami. Nagle jakaś kobieta padła jak długa i wyciągając w górę dwie chude ręce, ze strasznym, ogłuszającym krzykiem zanurzyła się pochłonięta przez falę. Jej włosy ukazały się na chwilę na powierzchni, ale zaraz zniknęły. Woda zerwała jej perukę. Ludzie myśleli, że to jej głowa, ktoś z całą siłą chwycił perukę, ale w zaciśniętej pięści została tylko mokra kupka włosów.

– Ojej, Mariandl się topi! Ratujcie! – krzyknął człowiek z mokrą peruką w ręce. Wszyscy otworzyli usta z zaskoczenia, przerażeni zgjęli się do połowy i trzęsącymi rękami zaczęli po omacku szukać w wodzie. Brudna ciecz przyskała im do ust, do gardeł, na głowy. Wypluwali ją i dalej szukali.

– Szybciej! Szybciej! Ludzie, znajdźcie ją, bo niedługo nie będzie czego szukać!

Ze strachu pot występował na skórę, mieszał się z wilgocią. W końcu Czerwony Josz wykrzyknął z radością:

– Ludzie, mam ją! Mam ją, ludzie! – i swoją silną, umięśnioną gołą ręką wyciągnął za suknię mokrą, omdlałą kobietę. Brudna woda z rynsztoka kapiała z niej jak z mokrej szmaty. Długie strugi spływające z ubrań wpadały do wody z przytłumionym, zduszonym dźwiękiem.

Nagle powietrze przecięła trąbka strażacka. Dwa wozy z sikawkami i drabinami rozpryskiwały wodę, wzbijając białą pianę. Mosiężne hełmy strażaków błyszczwały jak srebro. Wozy zatrzymały się przy piwnicach. Zarzucono sznury i pompy, zaczęto czerpać wodę. Żydzi pomagali kręcić korbami. Mówiono, krzyczano, wyciągano różne przedmioty.

Tak przeszło lato i jesień. Zaczęły padać pierwsze śniegi. Handlarki zabierały na targ piecyki, które podstawiły sobie pod spódnice, między nogami, żeby im było cieplej. Żydzi, którzy w lecie handlowali wodą sodową, roznosili teraz wiadra gorącej herbaty na sprzedaż.

Josłowi powodziło się coraz gorzej. Policja zaczęła bardziej prześladować chłopców sprzedających bajgle. Było zimno. Policjanci nudzili się stojąc na rogach i marznąc. Dokładnie jakby bawili się w polowanie, zapalili się do

przeganiania biednych chłopców i dziewczynek. Kiedy takiego złapali, okładali go boleśnie szablami, zabierali mu obwarzanki i wsadzali na noc do aresztu w towarzystwie pijaków i bandytów.

Ten los nie ominął też Josła. Prawie codziennie gonił się ze strażnikami, ale był szybki i lekki, więc zwinnie się wywijał. Z czasem nauczył się, jak omijać prześladowców, jak im uciekać sprzed nosa, jak w biegu trzymać kosz, by bajgle się nie wysypały. Przyswoił sobie sztuki lisa, który już wielokrotnie uniknął kuli myśliwego.

Na początku było to dla Josła zabawą. Czuł się jak zwycięzca, rozpierała go duma, że nie daje się złapać. Ale potem przyszło zmęczenie i osłabienie. Serce mu kołatało, do tego był przemarznięty i cała gra w chowanego z policjantami już go nie bawiła, tylko martwiła. Twarz mu posmutniała i bez przekonania krzyczał: „Bajgle, bajgle!”. Obok stali szybsi, energiczniejsi od niego. Kiedy nadchodził klient, natychmiast go obskakiwali i podpychali mu pod nos swój kosz. Josł zostawał z tyłu i mało zarabiał. Zaczynał coraz częściej myśleć, że rację miał Note Kataryniarz, że to nie dla niego, że musi sobie poszukać innego fachu. Ale to, co przydarzyło mu się pewnego dnia, zakończyło raz na zawsze jego karierę sprzedawcy obwarzanków.

Stał wtedy przy teatrze żydowskim i myślał o książce, którą wczoraj czytał. Była to powieść Szomera *Macocha*, historia osieroconej dziewczynki, dręczonej przez niedobrą macochę, sprzedanej przez nią czarownikowi, która w końcu zostaje bogata i szczęśliwa. Josł myślał, że dobrze by było, gdyby podobna historia przydarzyła się i jemu.

Było to w przerwie między dwoma aktami. Nikt nie wchodził ani nie wychodził z teatru. Wielka lampa, wisząca na budynku, kołysała się usypiająco. Josł nie krzyczał: „Bajgle, bajgle!”. Nie było do kogo. Pograżony był w myślach o książce.

Nagle poczuł na karku dwie grube ręce, które paznokciami wpiły mu się w ciało, aż podskoczył z bólu. Twarz owionął mu zapach wódki.

– Nie ruszaj się, szczeniaku! – usłyszał krzyk i dostrzegł obok siebie strażnika – Teraz już się nie wykręcisz.

Strażnik zaczął go ciągnąć na posterunek. Josł milczał. Nawet nie próbował uciekać. Goj trzymał go za mocno. Jego wielka, mięsista łapa objęła go za szyję i ledwo mógł złapać oddech. Po drodze mężczyzna coraz bardziej ścisnął mu szyję. Chłopiec dusił się, aż zsiniał z wysiłku. Wypuścił z rąk kosz, bajgle potoczyły się po chodniku, wpadając w błoto, w śnieg, do rynsztoka.

– Moja szyja... szyja... – krzyczał Josl i wbił paznokcie w mięsistą, jakby spuchniętą rękę policjanta.

– Hej, ty Żydłaku, nie wrywaj się tak. Na nic ci się to nie zda – strażnik jeszcze mocniej ścisnął delikatną szyję chłopca swoją grubą łapą.

Josl zaczął płakać i podrapał rękę goja do krwi. Policjanta to rozwścieczyło. Widząc krew, podniósł pięść i opuszczył ją z całej siły na twarz chłopca. Josl zobaczył gwiazdy, ulica i domy zatańczyły mu przed oczami. Nie widział już, dokąd idzie, dał się ciągnąć swojemu prześladowcy. Wokół niego zebrał się tłum Żydów i Żydówek.

– Dlaczego on bije tego biednego chłopca?

– Prawo zabrania bić.

– Złapał ofiarę i się nad nią znęca.

– Ludzie, jak możecie dopuścić, żeby lała się krew żydowska?

– Cicho, on rozumie jidysz! – odezwały się wokół głowy. Kilka kobiet podniosło z błota towar Josla i wycierało go fartuchami.

Josl chwiał się na nogach. Od ciosu policjanta miał podbite oko i rozciętą wargę. Płykała płynącą z niej krew, twarz rozgrzała mu się od uderzenia i unosiła się z niej para. Już nie płakał. Dał się ciągnąć jak manekin.

Dzisiaj prawie nic nie zarobił. Cały towar, cały jego majątek, rozsypał się w śniegu i błocie. Łobuzy go częściowo rozchwyтали i uciekli. Jemu było już wszystko jedno. Goj ciągnął go przez ulice. Josl zwisał jak marionetka. Nogi wpadły mu do rynsztoka, zanurzyły się po kostki, zimne błoto przemoczyło mu skarpetki. Buty pełne wody zrobiły się ciężkie. Miał wrażenie, że wlecze obce nogi. Ale go to nie obchodziło. Strażnik zaciągnął go na komisariat, wziął klucz, otworzył drzwi celi i postawił go na progu. Josl nic nie widział. Było ciemno jak w piwnicy. W górze dostrzegł wprawdzie małe okienko, przez które przedostawał się wąski pas światła księżycy, ale nic w nim nie było widać. Słyszał, jak na dźwięk otwieranych drzwi, które zaskrzypiały jak stare, zardzewiałe żelazo, coś się poruszyło. Jak w śmietniku ze śpiącymi myszami, kiedy nocą wrzuci się do niego kamień.

Strażnik postawił go na progu i wściekle krzyknął: „Nie ruszać się!”. Josl stał zmieszany i zagubiony. Nie trzeba mu nawet było mówić, żeby się nie ruszał, bo i tak nie widział, gdzie ma dalej iść. Strażnik podniósł nogę i mocno go kopnął. Josl wleciał do środka jak paka towaru i upadł twarzą na podłogę.

Poczuł, że ma mokrą twarz. Spływa po niej coś wilgotnego i słonego. Czy to krew, czy błoto z kamiennej zimnej podłogi, czy może łzy? Nie wiedział.

Głowę miał rozgrzaną, do ust spływały mu gorące strużki. Leżał bez ruchu. Jego rozpalona twarz ochłodziła się od podłogi. Wyglądał jak zwierzę trafione kulą, które leży na polu z pyskiem umazanym krwią i błotem. Powstrzymywał spazmy, które wstrząsały nim co chwilę. Rozciągnął się na całą długość, ciągnące od podłogi zimno łagodziło ból. Czuł, że drzemie i miał ochotę zasnąć. Słyszał chrapanie, sapanie, ale nikogo nie widział i leżał jak nieżywy. Był tak rozkojarzony, że nie słyszał skrzypienia kluczy w zamykanych drzwiach. Leżał tak może z pół godziny, kiedy usłyszał tuż obok zachrypnięty głos:

– Wstawaj. Nie leż na tej zimnej, kamiennej podłodze. Przeziębisz się.

Mówiący lekko trącił go nogą. Głos był Joslowi jakoś znajomy, swojski, ale nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należy. Mężczyzna oddalił się, zapalił papierosa i gniewnie zaczął chodzić tam i z powrotem. Kiedy zaciągał się, płomień się powiększał i w celi na ułamek sekundy robiło się troszkę jaśniej. Czerwony punkcik błyszczał w ciemności.

– Co tak leżysz twarzą do ziemi? – przemówił ponownie. – Przecież cię tu nie zjedzą.

Josł ocknął się z bezruchu. Głos był pełen współczucia i ciepły. Podniósł głowę i spojrzał w jego stronę, ale widział jedynie kontury męskiego ciała.

Człowiek znowu zaczął się kręcić tam i z powrotem po celi, gniewnie burcząc:

– Możesz się położyć na moim miejscu. Ja i tak nie mogę spać – i mężczyzna zaprowadził go do drewnianej pryczy, na której leżało zduszonych kilka osób. Josł posłuchał. Dowłókł się na pryczę i położył. Tu było cieplej, ogrzewały go ściśnięte ludzkie ciała. Poczul na twarzy oddech śpiącego człowieka, od którego czuć było wódkę. Leżał tak przez kilka minut, gdy obita twarz zaczęła go piec. Pomacał palcami górną wargę i wyczuł, że puchnie, rośnie. Oko miał podbite i wyobraził sobie, że już go prawie nie widać. Zaczął się rzucać na pryczę. Wszystko go swędziało. Czuł, że z człowieka, który leży obok i sapie, przeskakują na niego pchły, tańczą na nim, kłują go w opuchniętą twarz, nabrzmiałą wargę, podbite oko, szyję, ręce. Ten sam typ zaczął w dodatku mówić przez sen:

– Niech i pójde na katorgę, ale ukręcę mu głowę jak kurczakowi... Co za psi syn!

Od rzucania się na pryczę i od piekącego bólu zrobiło mu się jeszcze goręcej. Ale bał się poruszyć, żeby kogoś nie obudzić. Dlatego leżał wciśnięty jak w rozpalonych kleszczach. W ciemności z jego butów podnosiła się para. To błoto się na nich suszyło i parowały jak pranie wiszące na sznurku. Joslowi

wydawało się to przedziwne. Leży na pryczy, wciśnięty między ludzkie ciała, w butach, z których unosi się para. Jak czarodziejski dym, z którego wylaniają się przeróżne widma i obrazy.

Tamten ciągle jeszcze chodził i palił.

– Co, nie możesz spać? – zapytał Josła, widząc, jak rzuca się na legowisku.

– Nie.

– Dlaczego? W domu miałeś lepsze posłanie? Nie zapominaj, że jesteś na łasce Foni¹. A może coś cię swędzi, bracie? Nie szkodzi, jesteś jeszcze młody i jeśli masz trochę oleju w głowie, to nauczysz się spać nawet, kiedy swędzi. Za co cię wsadzili?

– Za handel bajglami.

– Za to? No, mój drogi, chłopiec od bajgli przez całe życie będzie się bratał z pchłami. Nie masz się czym przejmować. Pchły to taki ludek, że jeśli się im opierasz, wtedy cię dopiero pogryzą. Ale kiedy udajesz, że cię nie ma, jakby w ogóle cię to nie obchodziło, zostawią cię w spokoju. A jeśli rzeczywiście nie możesz wytrzymać, zleż z posłania, będziemy spacerować razem.

Josl tylko na to czekał. Sam nie miał odwagi tego zrobić. Teraz szybko zszedł z legowiska i zaczął spacerować razem ze starszym, życzliwym mu mężczyzną, wlokąc ciężko swoje nasiąkłe wodą buty.

– Jak się nazywasz? – zapytał człowiek.

– Josł.

– Josł? To ty, Josł? – wykrzyknął mężczyzna, ciesząc się ze spotkania.

Josl dobrze mu się przyjrzał. Tak, zna go, ale nie widzi jego twarzy. Tamten głębiej zaciągnął się papierosem. Płomyczek się powiększył i Josł rozpoznał w nim Notego od kinematografu. Był zadowolony, że spotkał tu tego dobrego człowieka.

– Reb Note! – wykrzyknął z prawie dziecięcym zdumieniem.

– Tak, to ja – Note podciągnął spodnie, które ciągle przytrzymywał, bo zgodnie z przepisami zabrano mu pasek.

Razem chodzili w ciemności tam i z powrotem. Note się rozgadał i mówił, co mu ślina na język przyniosła.

– Pamiętasz, Josł, co ci mówiłem: rzuć ten handel. Wiesz, że wszyscy kieszonkowcy przedtem handlowali bajglami? Pamiętam, że dobrze piszesz. Masz głowę na karku, możesz jeszcze wyjść na ludzi, byle byś więcej myślał

¹ Fonia – w jidysz pogardliwe określenie władzy carskiej.

o sobie. Nie zapominaj, że nie masz nikogo, kto by się tobą zajął. Ty sam, bratku, jesteś sobie ojcem i matką. Jeśli zawczasu pomyślisz, co masz robić, to coś na pewno z ciebie wyrośnie. Polegaj na Notem. Note wie, co mówi. Note nie gada po próżnicy. Popatrz, tam leży chłopiec, jak ty, Jankl się nazywa. Też kiedyś handlował bajglami. Ale nie za handel bajglami teraz siedzi, tylko za coś gorszego. Złapano go na kradzieży i jutro go stąd wysyłają. Załapie się na kilka lat, nawet nie więzienia, na to jest jeszcze za młody, ale do domu poprawczego, a to jest tysiąc razy gorsze. Pamiętaj, Josl, nie idź jego drogami. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to jest dom poprawczy. Katują tam i wykorzystują. Słyszysz, możesz pozazdrościć Janklowi.

Josl dobrze się zastanowił nad słowami Notego. Zrobiło mu się smutno i przysunął się do niego bliżej. Note pogłaskał go po głowie. Leżąc na pryczy, Josl zdjął czapkę i teraz nie mógł jej znaleźć. Póki co musiał więc obyć się bez czapki.

Obaj kręcili się bez celu po celi. Namokłe buty Josla nie wydawały prawie żadnego dźwięku. Note cały czas palił i mówił:

– A ja, Josl, też mogłem inaczej wyglądać. Co, myślisz, że to jest taki dobry fach, włóczyć się ze skrzynką i odsiadywać co cztery-sześć tygodni na posterunku? Jak myślisz, ile mam protokołów? Nie dziesięć, nie piętnaście. Całe trzydzieści protokołów. A anulowanie protokołu kosztuje trzy ruble. Jeśli nie mam tych trzech rubli – idę siedzieć. Ale policja ma ze mną kłopot. Nie mogą mnie odnaleźć, bo mieszkam rocznie w setkach mieszkań, raz tu, raz tam. Widziałeś psa jatkowego? Pies jatkowy co noc śpi gdzie indziej. Dziś – w pustej piwnicy, jutro – na strychu. Ze mną też tak jest. Ale strażnicy z trzeciego cyrkułu wiedzą, jak mnie odnaleźć na ulicach, na targach. I biorą mnie z ulicy, jeśli nie mam trzech rubli na łapówkę... Niech ich wszystkich piorun strzeli, całą policję i policmajstra!

Jak tylko zaczęło szarzeć, w celi zapanował ruch. Leżący zaczęli się przeciągać, wzdychać, rozprostowywać kości. Powietrze przeppełnił chrapliwy kaszel z chorych płuc.

Pierwszy zeskoczył z pryczy Jankl. Był wesoły i dziarski. Włożył palec do ust i głośno gwizdnął:

– Wstawać!

Ostatni śpiący obudzili się i gniewnie spojrzeli na zuchwalca.

– Czemu nie dajesz spać, bękarcie? – wykrzyknął wściekle któryś z obandażowanym okiem, podniósł wysoki but i z całej siły rzucił w chłopca. Jankl odskoczył i zwinnie uchylił się przed lecącym butem. Zaśmiał się bezczelnie

i wyzywająco. Potem podniósł but, wręczył go właścicielowi leżącemu na pryczy i zasalutował mu jak oficerowi. Ten uśmiechnął się i udobruchał.

Potem Jankl podskoczył do drzwi, zaczął w nie walić i krzyczeć:

– Wody! Chcę się umyć! Hej, gorodowoj²!

Mały ulicznik czuł się tu jak u siebie w domu. Walił w drzwi mocno, ale nikt mu nie odpowiedział. Strażnik widocznie jeszcze spał.

– Jak wy pilnujecie aresztantów? – krzyczał Jankl i jego nerwowa, rozpalona głowa zaczęła znowu szukać ujścia dla swojej energii. Zachciało mu się umyć, chociaż nigdy specjalnie o siebie nie dbał. Musiał czymś się zająć i akurat teraz przyszło mu do głowy mycie. W celi stały dwa wiadra: jedno było puste, drugie pełne nieczystości. Jankl podniósł puste wiadro i zaczął uderzać w nie jak w dzwon, ale na korytarzu nadal nikt nie dawał znaku życia.

Z jednej ściany oblaził tynk. Jankl odłupał kawał cegły i wdrapał się z nim na wysokość okienka. Uczepiony krat, zręczny jak małpa, rzucił kawałek cegły na podwórze. Na dworze stał uwiązany na łańcuchu wielki, kudłaty pies. Kawałek cegły trafił go w nogę. Pies zaczął tańczyć na trzech nogach i przerażliwie wyc z bólu, łapiąc czwartą łapę w pysk. Jego skowyt roznosił się po całym podwórzu. W jednej chwili rozległy się kroki na korytarzu, na parterze i na pierwszym piętrze. Strażnicy obudzili się i bez czapek, bez mundurów, tylko w spencerach, wyszli na dwór zobaczyć, co się stało. Zdziwieni gapili się na psa i nie rozumieli, kto mógł mu zranić łapę. Jankl zanosił się od śmiechu słysząc, jak pies wyje z bólu. Chwilę potem do celi wetknął głowę strażnik.

– Wody! Chcemy się umyć! – Jankl ustawił się przed strażnikiem jak do raportu i na cześć wchodzącego stanął na rękach. Strażnik się uśmiechnął i na znak zadowolenia uderzył Jankla lekko szablą po nodze.

Niebawem w celi pojawiła się woda. Jankl się nie lenił. Wziął kubek z nieczystościami i wyniósł go. Tym kupił sobie powszechną miłość. Ktoś rzucił mu kawałek czekolady, ktoś inny zapytał:

– Chłopie, ty już palisz?

– Już wypuszczam dym uszami! – odpowiedział drwiąco Jankl.

Tamten rzucił mu papierosa jak równemu sobie. Jankl schował go w bieliznie, tam, gdzie trzymają papierosy prawdziwi aresztanci i zaczął się myć. Rozebrał się do pasa i nie zważając na zimno panujące w nieocieplanej, obskurnej celi, polewał się lodowatą wodą. Urodził się prawie na ulicy, jak Cygan, więc był

² Gorodowoj – carski policjant rewirowy.

odporny na zimno i mróz. Dobrze je znał. Ludzie w celi, którzy jeszcze leniwie leżeli na drewnianej pryczy, patrzyli na Jankła z szacunkiem.

Na ciele Jankła widać było ciemne ślady. Zaprawieni w bójkach bywalcy szynków, którzy się tu znajdowali, dobrze wiedzieli, że to ślady od noża. To jeszcze powiększało respekt dla chłopca.

Jankl zakończył mycie, ale nie miał czym się wytrzeć. W kącie skulił się jakiś brodaty Żyd ze smutną twarzą, ubrany w długą kapotę. Leżał przygnębiony i zmęczony. Widać było, że jest całkowicie załamany więzieniem. Kapotę miał rozpiętą, tak, że widać było szeroki i długi *talit-katan*³. W jednej chwili Jankl doskoczył do tradycyjnie ubranego mężczyzny, zerwał z niego szal modlitewny i wytarł się nim. Wszystko to trwało chwilę. Zanim tamten w gniewie się podniósł, Jankl bezczelnie i drwiąco rzucił mu w twarz *talit-katan*, który przypominał teraz mokrą ciężką szmatę.

Człowiek zaczął gonić za Janklem. Śmiech brał na widok wysokiego mężczyzny na długich nogach, ścigającego zwinnego chłopca. Tamten miał widocznie przepuklinę i kołysał się nieudolnie, ciągnąc za sobą nogi jak protezy. Obecni śmiali się z nieszczęśnika.

– Hultaj! Łobuz! – biadolił mężczyzna z płaczem i koniecznie chciał złapać chłopca.

Kres tej scenie położył Note.

– Co chcecie z nim zrobić? Widzicie przecież, co to za jeden. Usiądźcie sobie – powiedział do niego, a chłopca złapał za ucho i wytargał, tak, że mały aż tańczył z bólu.

Mężczyzna trzymał w ręku *talit-katan*. Lała się z niego woda i moczyła podłogę. Facet z obandażowanym okiem krzyknął:

– Przystań lać tę wodę! Jeszcze wszyscy pójdziemy przez ciebie do karceru, ty belgijski koniu!

Głos miał wysoki i gniewny. Mężczyzna się przestraszył, zaczął się kręcić tam i z powrotem, nie wiedząc, co robić. Miał rozpiętą chałat, spod ubrania widać było gołe ciało, widać było włochatą, zapadniętą pierś. Wyglądał komicznie. W jednej ręce trzymał mokry *talit-katan*, drugą przytrzymywał opadające spodnie.

– Powieście go na kracie – poradził mu Note. Mężczyzna posłuchał, wyciągnął swoje długie ręce mrużąc przy tym ciężkie przekleństwa pod adresem chłopca i próbował zawiesić ubranie, ale jego ręce nawet nie dostały do kraty.

³ *Talit-katan* (w jidysz: *tales-kotn*), rodzaj szala modlitewnego, noszonego przez pobożnych Żydów pod ubraniem.

Jednym skokiem Jankl wisiał już na kracie, znowu wyrwał mężczyźnie z rąk mokry, kapiący *talit-katan* i zawiesił go na prętach.

Chłodne zimowe słońce odśloniło oblażyły tynk na ścianach, przecięło brudną, ciasną celę i oświetliło połowę sufitu. Jankl znowu nie mógł ustać w miejscu. Teraz gwoździem zaczął wyrzywać swoje imię na drzwiach. Napisał je w jidysz i po polsku. Więcej napisać nie potrafił. Kilka sekund później grał już w karty z typem, który miał oko obwiązane czarnym bandażem.

Josl był śmiertelnie zmęczony. Przysiadł na drewnianej prycy, kołysząc się sennie. Siedział na samej krawędzi i rozmyślał. Czuł się samotny, bardziej niż zwykle. Dziwiło go, że Jankl jest taki wesoły, podczas gdy lada moment wyślą go gdzieś daleko, do domu poprawczego, gdzie jego nauczycielami będą tacy jak strażnik, który pobił Josła po drodze. Zaczął patrzeć na Jankla jak na bohatera. Wzbudzał w nim szacunek swoją beztroską grą w karty z facetem z czarnym bandażem na oku.

Kiedy Jankl skończył grę, podszedł do Josła i podał mu rękę jak dorosły. Josl myślał, że tamten sobie z niego żartuje, że ma pewnie między palcami szpilkę, żeby go ukuć. Dlatego nie chciał przyjąć ręki.

– Myślisz, że mam szpilkę? – roześmiał się Jankl i rozłożył palce – Za co tu cię przyprowadzili? – zapytał – za bajgle?

– Tak.

– A, jeśli tak, to cię niebawem wypuszczą do domu. Na pewno jeszcze dziś. Chcę cię o coś poprosić.

Jankl nagle posmutniał. Mówił cicho, a w jego zmyślnych oczach, wiecznie drwiących jak u ulicznika, widać było zadumę.

– Znasz moją mamę?

– Tak, raz byłem z tobą u niej, ale zapomniałem, jak się nazywa i u kogo mieszka.

– Moja mama nazywa się Fajna Gutszechter i jest służącą na ulicy Promenadowej 36, u jednego wielkiego pana, co się nazywa Zygmunt Zilber. Oddaj mi przysługę, idź jej powiedz, że mnie wsadzili i że pewnie mnie wyślą. Zadzwoń dzwonkiem do drzwi, a jeśli cię nie wpuszczą, poproś, żeby wywołali Fajnę. Znasz przecież trochę polski. Jeśli nie znasz, to powiedz tak: „Proszę zawołać Fajnę”. Zapytają cię, „Kto woła?”, odpowiesz: „Ja, syn Jankl”⁴.

– Dobrze, Janklu, powiem.

⁴ Wszystkie zdania tego dialogu są w oryginale zapisane po polsku.

– Jeśli mnie ześlą na Sybir, mówił dalej Jankl, przyślę ci coś stamtąd. O, tam mają ładne rzeczy. Ale dlaczego jesteś taki pobity? Z kim się biłeś? Jak się człowiek bije, to powinien przykładać do twarzy kawałek surowego mięsa, wtedy nie będzie miał siniaków.

Po południu strażnik wepchnął Josła do kancelarii cyrkułu. Przy stole siedział gruby rewirowy z wąsami jak szczoteczki do zębów.

– Jak się nazywasz? – zapytał chłopca.

– Josl Berger.

– Dlaczego cię zatrzymano? – spojrzał na zapisaną kartkę papieru – za handel uliczny bez zezwolenia? Pamiętaj, dumniu, jeśli cię jeszcze raz złapią, zgnijesz w kryminale. A teraz, Wasyl, wychłostaj go, żeby sobie popamiętał.

I ten sam strażnik, który go wczoraj pobił, przełożył go teraz przez kolano i zbił pasem po gołym ciele. Josłowi krew uderzyła do głowy. Był tak zmęczony i rozbity po nieprzespanej nocy, że nawet się nie bronił. Zaciśnął zęby, zamknął oczy i ze zwieszonymi rękami pozwolił, by rzemień ciął mu młode ciało.

Strażnika zdenerwowało, że mały się nie opiera i leży jak nieżywy. Dlatego zwiększył siłę uderzeń. Jego małe, otłuszczone oczka błyszcząły z zadowoleniem, a wargi aż mu się zwilżyły z przyjemności.

Uderzenia wcinają się w Josła jak noże. Poczuł mdłości, zaczęło mu pulsować w skroniach. Zbielał jak kreda i poczuł, że traci oddech. Nagle opuścił głowę na kolana strażnika, jak kurczak, któremu przecięto szyję, zamknął powieki i miał wrażenie, że pokój, okna, rewirowy i wszystko wokół zaczynają tańczyć mu przed oczami. Wirowało przed nim tysiące kolorów, iskier, błyskawic, w całym ciele poczuł straszne gorąco, jak od rozgrzanego pieca w piekarni.

Gdy Josl się ocknął, poczuł, że twarz ma mokrą. Zrozumiał, że połano go wodą. Rozejrzył się i zobaczył, że siedzi na ławce w korytarzu i nikt go nie pilnuje. Wywnioskował z tego, że może już sobie pójść, mimo tego posiedział jeszcze chwilę na drewnianej ławce, na wpół omdlały i otumaniony. Nagle się podniósł i spróbował iść. Ale nie był w stanie. Chwiał się jak podcięty, jakby kulał. Wszystko go bolało. Czuł, że wszystkie członki ma połamane. Jednak szedł dalej, kulejąc.

Był już wieczór. Padał gęsty śnieg. Zimne płatki chłodziły jego rozgorączkowaną twarz. Przesuwał się po oświetlonych ulicach między setkami przechodniów jak bezpieczny piesek ze złamaną łapką, patrzący błagalnie, by jej nie potraćano. Wszystko go bolało, piekło, paliło. Miał uczucie, jakby wylazł z młyna, gdzie go ugniatano, miażdżono, nie zostawiwszy ani jednej całej kosteczki.

Nie miał ani pieniędzy, ani towaru. Tamtych kilku kopiejek mu nie zwrócono. Strażnik, który wyrócił mu kieszenie w kancelarii cyrkułu, wziął je dla siebie.

Trzymał się blisko ściany. Każdy przypadkowy kontakt z przechodniem sprawiał mu ból. Tak doszedł do domu.

Reb Eli dostał list od syna. Przyniósł go listonosz, gdy reb Eli siedział przy warsztacie tkackim i pracował. A kiedy pracował, nie lubił się zajmować niczym innym. Nawet listów wtedy nie czytał. Włożył go do szuflady w szafie, tak jak się odkłada metrykę czy inny dokument, którego na co dzień nie potrzeba. Dopiero przy obiedzie wyjął list, włożył okulary i przeczytał go żonie.

Na wieść, że przyszedł list od Mojszele, Dwojrze od razu zwilgotniały oczy. W ostatnich czasach student Mojsze mało pisał. Raz na dwa miesiące przychodziło od niego jakieś słówko. Reb Eli rozciął powoli kopertę nożem (nie lubił rozrywać listów ręką). Potem zaczął czytać na głos, obojętnym tonem, tak jak odczytywał listy sąsiadkom.

Tym razem list był dłuższy niż zwykle. Syn student donosił, że nie ma co robić w Kijowie. Skończył już studia, opuszcza uniwersytet i przyjeżdża do domu. Musi jeszcze tylko coś napisać, ale to drobnostka, załatwi to na miejscu. Tę drobnostkę wyśle profesorom i w końcu otrzyma dyplom doktora. Na reb Elim list ten nie zrobił specjalnego wrażenia. Jego twarz nie wyraziła najmniejszej zmiany. Miał już taki zwyczaj, że rozmyślał później, przy warsztacie. Położył list na stole i powiedział:

– Jutro trzeba dostarczyć towar – i z powrotem zasiadł do pracy.

Za to twarz Dwojry promieniała. Złapała list i pobiegła pokazać go sąsiadom. Reb Eli gniewnie się zmarszczył, kiedy z podwórza doszły do niego słowa:

– Gratulacje! Mojszele jest już doktorem! Doczekałaś się, Dwojreniu, pociechy z dorosłego syna.

– No, bo i był już czas!

Jakaś kobieta nawet płakała. Reb Eli siedział przy warsztacie i nie widział, kto płacze. Była to matka „Chany szolem-alejchem”. Reb Eli był pewien, co ten płacz ma oznaczać. Dzisiaj płacze z radości z powodu Dwojry, a jutro przyjdzie go prosić o odłożenie czynszu za kwartał. Aha! Chytre łyzy! Zaczął szybciej stuknąć krosnami, żeby nie słyszeć paplaniny kobiet.

Dzisiejszy list jeszcze bardziej odsunął go od syna, powiększył obcość między ojcem robotnikiem a synem prawie doktorem. Pewnie przyjedzie jak panisko. To mu nie będzie pasować, tamto mu się nie spodoba. Nie chcę tego,

nie chcę tamtego. O, reb Eli już ich dobrze zna, tych inteligentów! Szklanę, z której będzie pił herbatę, obejrzy pod słońce, by jak astronom wypatrywać na niej plamki. Przy jedzeniu zapyta służącego, ile dni ma mięso, a kiedy będzie się układał do snu, zażąda, żeby wszyscy chodzili na paluszkach. A nawet jeśli nie zażąda, to może tak nie będzie? Nie będą przed nim chodzić na paluszkach?

Jednocześnie w sercu reb Eliego obudziło się pragnienie, aby go zobaczyć. Wiedział, że długo w domu nie zabawi, a jeśli nawet zostanie w Łodzi, to przeprowadzi się do centrum miasta, choćby dlatego, że ojciec siedzi tu przy warsztacie przez trzynaście godzin dziennie, że twarz i plecy ma pokryte pyłem opadającym z towaru, z nici i pocieranego drewna. Reb Eli był pewien: inteligent tak się właśnie zachowuje, nawet jeśli to własny syn. Niemożliwe, by mieszkali pod jednym dachem.

Reb Eli zaczął rozmyślać: gdyby Mojszl był, jak on sam, właścicielem takich dwóch drewnianych domków na Bałutach i tkaczem, byłby mu tysiąc razy bliższy. Wtedy byłby jak młody reb Eli, jego synem, jego kontynuacją. Mówiąc kwiecieście: on to drzewo, Mojszl to gałąź. A teraz – co za przepaść między nimi! Co za obcość! Poczul strach przed pierwszym spotkaniem. Już by wołał, żeby syn pozostał w Kijowie, żeby mu tam było dobrze i żeby pisał listy pełne zadowolenia.

Ta cała historia, by zrobić z niego doktora, to był babski wymysł. On sam przez całe życie ciężko pracował i nigdy nie wykręcał się od roboty. Nie wie, dlaczego, ale kiedy widział nędzę na uliczkach swojej dzielnicy, następnego dnia rano jeszcze wcześniej zasiadał przy warsztacie. A jeśli czasem się przechwalał, okazywał wyższość, było to zadośćuczynienie za długie lata ciężkiej pracy. Był dumny ze swoich dokonań i chciał, żeby syn też taki był. Wtedy przyszła jego żona Dwojra i nie wiedziała, co robić z kontem w banku, z tygodniowym zarobkiem, z czynszem za dwa drewniane domy. Znudziło jej się co tydzień odkładać ruble i co miesiąc odnosić do banku. Więc jej przyszło do głowy gimnazjum i wykształcenie dla syna, który urodził im się na stare lata. I postawiła na swoim.

Mojszl został powierzony służącej. Została jego ordynansem. Dano jej surową wskazówkę, by bardziej niż domem zajmowała się dzieckiem. Musi być wymyty, błyszcząć jak lustro, na paznokietku nie może mieć cienia brudu, włosy muszą być czyste jak szczere złoto, a ubranka i butki muszą aż świecić. Dwojra dobrze ją знаła. Wiedziała, że jej słowo nie jest rozkazem dla służącej, więc specjalnie wydzielala pensję: dwadzieścia kopiejek tygodniowo za Mojszele.

Dziecko odziedziczyło po matce szlachetną kobiecą ospałość, ładne, pełne współczucia oczy i bladą, smutną twarz. Wyrósł z niego bałucki gimnazjalista – wypieszczone, bogate dziecko, zdrowe, marzycielskie, miłe, o pięknej postawie. Ubranie miał czyste i zadbane, w szkole był prymusem.

W domu go pilnowano, by nie kolegował się z dziećmi sąsiadów, żeby się z nimi nie bawił ani nawet nie rozmawiał, by nie przejął od nich wymowy czy nawyków. Uczono go pogardzać żebrakami, których na Bałutach spotykało się na każdym kroku. Na wakacje wysyłano go z matką na daczę do Andrzejowa⁵. W gimnazjalnym mundurku, z zawsze starannie uczesanyimi włosami, w eleganckich lakierkach i z bambusową laseczką, prezentował się jak królewicz.

Mały z początku nie rozumiał, czego od niego chcą. Jak każdego młodego chłopca, słuchającego własnych instynktów, ciągnęło go do swobodnego życia podmiejskich dzieci. Jednak służąca z oddaniem pracowała na czterdzieści kopiejek, które za niego dostawała. Miała parę zdrowych, mocnych rąk, przed którymi drżeli nawet mężczyźni i jednym ruchem przyciskała do piersi lekkiego jak piórko Mojszele, kiedy wrywał się do zabawy z innymi chłopcami.

Mały dorastał samotnie, dlatego też był bardziej skupiony na sobie, bardziej ospały i powolny niż wszystkie marzycielskie dzieci. Gdy miał jedenaście lat, dorośli mówili mu już „Dzień dobry” i tłum rozstępował się przed nim na ulicy. Zastanawiając się nad swoim uprzywilejowaniem, doszedł do wniosku, że honory mu się należą. Jest uczniem miejskiego gimnazjum, ma abonament na tramwaj, w każdej chwili może sobie wsiąść i jechać, dokąd zechce. Dla biednych bałuckich dzieci brzmiało to jak legenda, jak bajka z tysiąca i jednej nocy. On chodził ubrany w mundurek z błyszczącymi guzikami, był czysty i nigdy nie brudził sobie rąk.

Z czasem poczuł wyższość nad innymi dziećmi. Już go do nich nie ciągnęło. Ale nimi nie pogardzał, jak większość jego kolegów szkolnych, pańskich synalków. Odziedziczył po matce dobre serce, współczuł chłopcom z sąsiedztwa, których spotykał rano na ulicy, gdy po śniadaniu spieszył do tramwaju. Tamci nie byli uczesani, nie mieli na to czasu. Z włosów wystawały im pióra, a sen jeszcze leżał na bladych twarzach. Byli mniejsi od niego, w wieku ośmiu-dziewięciu lat. Stukali drewnianymi chodakami o schody

⁵ Andrzejów – dawna podlódzka wieś, dziś osiedle w Łodzi. W początkach XX w. popularna wśród łódzkich Żydów miejscowość letniskowa.

i bruk, szybko jak strzała biegli do pracy, trzymając w rękach kawałek chleba czy bułkę oraz kopiejkę, żeby kupić sobie w sklepie u Mariandl kawałek masła albo odrobinę śledzia.

Czuł do nich litość, ale nie chęć zbliżenia. Służąca już go potem nie musiała pilnować. On sam więcej do nich nie chodził. Dlatego też nie miał w okolicy przyjaciół. Jeśli już się z kimś przyjaźnił, to z kolegami ze szkoły, którzy nieczęsto do niego przychodzili.

*Tłumaczyły z jidysz Izabela Olejnik (rozdział 1 i 3)
i Natalia Krynicka (rozdział 2, 4 i 5)*



II. 3. Jisroel Rabon (z lewej) obok pisarzy jidyszowych Chaima-Lejba Fuksa i Pinchasa Goldhara (z prawej), fot. wykonana prawdopodobnie w Łodzi przed rokiem 1928.

Źródło: P. Goldhar, *Gezamlte szriftn*, Melbourne 1949

JISROEL RABON: ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

IZABELA OLEJNIK

Jisroel Rabon uznawany był przez krytyków literackich za „jednego z najdoskonalszych pisarzy żydowskich, utalentowany poetycki głos i oryginalnego powieściopisarza”¹. Podkreślali oni, że był najlepszym pisarzem, którego wydała Łódź. Bez wątplenia Jisroel Rabon należał do grona czołowych łódzkich twórców w okresie dwudziestolecia międzywojennego.

Urodził się w 1900² r. jako najmłodsze dziecko Dobry i Szymona Rubinów w Gowarczowie, niewielkim miasteczku niedaleko Radomska. Jego dziadek, Jisroel Rewizorski, pisał wiersze i bajki, które przyniosły mu sławę w rodzinnej Przysusze. Po nim ponoć otrzymał imię – Jisroel (Izrael). Ojciec, mimo zdobytego wykształcenia, postąpił wbrew woli rodziny i został furmanem. W 1902 r. rodzina, najpewniej na skutek trudnej sytuacji życiowej, przeniosiła się do Łodzi, gdzie osiedliła się w samym sercu biedy, brudu, nędzy i hałasu maszyn tkackich, tj. na Bałutach. W robotniczej Łodzi rodzina zajęła niewielkie mieszkanie w kamienicy przy ul. Pieprzowej 15. Jojsef Okrutny, publicysta i kolega Jisroela Rabona, wspomina, że ulicę zamieszkiwała biedota żydowska, wśród której pełno było „akrobatów, kataryniarzy, handlarzy starymi szmatami, zawodowych inwalidów żyjących z żebractwa, prostytutek”³. Była ona symbolem zdeprawowania i zepsucia. W takim środowisku, bez żadnej opieki, w biedzie i samotności dorastał Jisroel Rabon. Jego ojciec zmarł, kiedy przyszły pisarz miał dwa lata, a matka, mając na utrzymaniu czwórkę dzieci, pracowała od świtu do nocy. Najstarszy brat został tkaczem, ale za działalność polityczną zesłano go na Syberię, skąd uciekł najpewniej do Stanów Zjednoczonych. Nie wiadomo, jak dalej potoczyły

¹ Ch. Shmeruk, *Jisroel Rabon and his novel Di Gas (The Street)*, „Polin” 1991, No. 6, s. 231.

² Por. dane z notki biograficznej *Rabon Jisroel*, [w:] *Leksikon fun der najer jidiszer literatur*, t. 8, Nju Jork 1981. W aktach Archiwum Państwowego w Łodzi widnieje data urodzenia 1.01.1902.

³ J. Okrutny, *Cum portret: Jisroel Rabon*, „Di Cukunft”, November 1973, s. 409.

się jego losy. Wkrótce na rodzinę spadł kolejny cios. Starsza siostra odeszła z domu jakoby z powodu zejścia na złą drogę. W domu zostali tylko Jisroel i jego druga siostra, która razem z matką handlowała na Bałutach, ale wkrótce i ona opuściła dom, przenosząc się po ślubie do męża. Zamieszkała z nim i jego synem z pierwszego małżeństwa przy ul. Zawiszy. Nieopodal ich domu mieścił się prowincjonalny teatr Flora, w którym najczęściej grano tandetne, kiczowate melodramaty w języku jidysz. Jisroel przekradał się na te przedstawienia, przyglądał wulgarnym kupletom, komicznym scenom, uciesze ludzi. Jeszcze długo po przedstawieniach oglądane przez niego sceny żyły w jego wyobraźni. Jisroel, pozbawiony opieki, wychowywał się sam, spędzając większość czasu na wędrownkach po ulicach Bałut. Jego świat stanowili mieszkańcy półświatka – pijacy, prostytutki, włóczędzy, złodzieje. Zachęcony przez Jojsefa Morgentalera, socjalistę i radnego Rady Miejskiej, zaczął uczęszczać na wykłady, lekcje, spotkania poświęcone poezji, organizowane na Bałutach. Nie zdobył nigdy formalnego wykształcenia. Ukończył jedynie cheder, zaś wiedzę o literaturze europejskiej zdobywał sam. Lekcje francuskiego pobierał wspólnie z Chaimem-Lejbem Fuksem u łódzkiego poety Szymona Szpigla (1891–1974), by móc czytać w oryginale francuskich poetów, którzy byli im bliscy. Doskonalił potem warsztat translatorski, tłumacząc z języka niemieckiego oraz francuskiego na jidysz wiersze m.in. François Villona, Charlesa Baudelaire’a, Arthura Rimbauda. Był bardzo ambitny. Pochłaniał ogromne ilości książek, które, jak pisze Fuks, były w domu Rabona jedyną rzeczą przedstawiającą jakąś wartość. Na swoje utrzymanie zarabiał, malując i kaligrafując plakaty, m.in. dla stowarzyszenia Harfa.

Zadebiutował w wieku 15 lat, publikując pod pseudonimem Jisroel der Klejner (Mały Jisroel) humorystyczne wiersze o aktualnej treści społecznej na łamach łódzkiej gazety codziennej „Lodzer Folksblat”, wydawanej przez Lazara Kahana. Podczas wojny polsko-bolszewickiej został zmobilizowany do wojska, walczył w szeregach Dywizji Litewsko-Białoruskiej dowodzonej przez gen. Lucjana Żeligowskiego. Miał wtedy 20 lat i udany debiut literacki za sobą. Po wojnie powrócił do Łodzi, gdzie mieszkał z niewielkimi przerwami w latach 30. aż do wybuchu II wojny światowej. Od tego momentu zaczyna się jego kariera literacka. Spuścizna Rabona, obejmująca poezję, prozę, eseje, a także tłumaczenia, jest rozproszona w prasie, nie istnieje żadna bibliografia jego prac, co stwarza problemy przy próbie całościowej oceny jego twórczości.

W latach 20. pisarz podjął się kilku inicjatyw literackich, m.in. założył wspólnie z Chaimem-Lejbem Fuksem czasopismo literackie poświęcone zagadnie-

niom literatury i sztuki „Szweln”. Na jego łamach ogłosił swoje pierwsze opowiadanie zatytułowane *Sznejland*⁴. Oprócz tego redagował teksty i publikował je na łamach łódzkiej prasy, m.in. „Wegn”, „Ojfgang” oraz „S’feld”. W 1928 r. zadebiutował tomikiem wierszy *Hintern plojt fun der welt (Za płotem świata)* oraz powieścią *Di gas (Ulica)*. Obie książki wyszły drukiem w warszawskiej oficynie wydawniczej L. Goldfarba. To właśnie powieść *Ulica* przyniosła mu uznanie wśród krytyków, stając się jego najbardziej znanym i rozpoznawalnym dziełem. Mimo kontaktów utrzymywanych ze środowiskiem warszawskim nigdy nie udało mu się dostać do prestiżowych wydawnictw. Wszystkie jego książki ukazały się w mało znanych wydawnictwach, były drukowane na papierze złej jakości, kiepską czcionką drukarską, z marną szatą graficzną, bez należytej redakcji tekstu.

Ulica to opowieść o nieznanym z imienia i nazwiska młodym mężczyźnie dopiero co zwolnionym z wojska, który nie mając do czego wracać w swoim miasteczku, decyduje się, pod wpływem chwili, jechać do Łodzi w nadziei na znalezienie tam szczęścia. Autor nie wprowadza czytelnika w dzieje swego bohatera, poprzedzając jego przyjazd do fabrycznego miasta. Jedynie z kilku wzmianek czy majaków wyłania się jego przeszłość. Akcja powieści toczy się najprawdopodobniej między wrześniem 1923 a styczniem 1924 r. Wszelkie odstępstwa od zasady jedności czasu i miejsca odnoszą się do przywołanych wspomnień narratora z okresu wojny bądź dzieciństwa lub opowieści innych bohaterów występujących w powieści. Zaskakujący jest w *Ulicy* brak zainteresowania pisarza środowiskiem żydowskim Łodzi. Praktycznie nie ma w niej odwołania do czegokolwiek żydowskiego: ani do kultury czy religii żydowskiej, ani do miejsc czy instytucji żydowskich w mieście. Narrator nie szuka żadnych kontaktów z lokalną społecznością żydowską. Łódź, na co zwróciła uwagę Delphine Bechtel, została w powieści „pozbawiona cech żydowskości, zdepolonizowana oraz jeśli w ogóle jest to istotne, nacjonalizm został ograniczony do groteskowej maskarady polskiego szaleńca mieszkającego w piwnicy, który zmusił wnuki do naśladowania egzekucji niemieckiego cesarza oraz pełnej chwały zemsty Polski na jej długoletnim wrogu”⁵.

W powieści uderza wyobcowanie głównego bohatera przebywającego w wielkim, tętniącym życiem mieście. Uczucie obcości i zagubienia towarzyszy

⁴ „Szweln” 1923, nr 1, s. 14–23.

⁵ D. Bechtel, *Urbanization, Capitalism, and Cosmopolitanism: Four Novels and a Film on Jews in the Polish City of Łódź*, „Prooftexts” 2006, Vol. 26, No. 1/2, s. 97.

mu przez cały okres pobytu w Łodzi. Nie znajduje tu ani schronienia, ani pracy. Równie samotni jak on są pozostali bohaterowie powieści.

Rabon był także autorem powieści sensacyjnych, drukowanych w odcinkach na łamach dziennej prasy żydowskiej. Nie był jedynym pisarzem utrzymującym się z publikowania literatury tego typu, ale należał do wąskiego grona pisarzy, którzy się z tym nie kryli. Takich utworów pisał dziesiątki. Dziś wiele z nich trudno zidentyfikować ze względu na wciąż nierozszyfrowane pseudonimy⁶ stosowane przez pisarza, jak również ze względu na duże rozproszenie i zniszczenie międzywojennej prasy jidysz. Na przestrzeni lat 1929–1937 opublikował na łamach warszawskiego dziennika „Hajnt” trzy powieści sensacyjne: *Za kurtyną*, *Drugie życie Dawida Wedigera* oraz *Sprawę Rizenberga*. Wszystkie trzy zostały skonstruowane w sposób banalny, płytki, ale trzymający czytelnika kolejnych odcinków w napięciu dzięki sensacyjnej fabule. Żadna nie ukazała się drukiem w formie książki. Publikował także przeróbki z języka polskiego oraz niemieckiego. Mejelech Rawicz w wydanym po wojnie *Leksykonie* przytacza anegdotę, w której mówi o popularności Rabona jako autora opowiadań brukowych. W rezultacie redaktorzy warszawskich i łódzkich gazet zabiegali o pozyskanie go dla siebie. Rabon, który żył w biedzie, przyjmował zlecenia od konkurujących ze sobą gazet, co ściągało na niego wiele kłopotów.

Rabon, podobnie jak inni współcześni mu literaci, był krytykowany za tworzenie taniej, sensacyjnej literatury. Icyk Mager wręcz nazywał takich pisarzy „literackimi szantażystami”, zarzucając im psucie gustu czytelników. Z kolei poetka Kadia Mołodowska postulowała, by przedsięwziąć odpowiednie kroki przeciwko literatom piszącym pod pseudonimami. Jej sugestia spotkała się jednak z ostrym sprzeciwem środowiska literackiego. Argumentowano, że do pisania tego typu utworów wielu z nich zmuszają fatalne warunki ekonomiczne. Tymczasem Rabon w eseju opublikowanym na łamach pisma „Os” przedstawił zupełnie odmienne stanowisko w tej kwestii⁷. Według niego, bardziej pożądane było posiadanie publiczności literackiej, która sięgała po literaturę niższego rzędu, po tzw. „szmirę”, niż publiczności, która nie czytała w ogóle bądź ograniczała lekturę jedynie do literatury propagandowej. Czytelnik żydowski,

⁶ Jisroel Rabon pisywał swoje utwory publikowane w prasie żydowskiej pod wieloma pseudonimami, m.in.: Jisroel der Klejner, Szabse Citer, Jisroel Rin, Rus Vincigster, A. Ringel, M. Boczkowski.

⁷ A. Ringel [J. Rabon], *Der gajst fun Żelechow*, „Os” 1937, nr 6, s. 40.

w jego ocenie, nigdy by nie zaczął czytać wysokiej literatury, gdyby kilkadziesiąt lat wcześniej nie rozczytywał się w utworach Szomera⁸. Uznawał sensację za normalny element polisystemu literacko-kulturowego, co stanowiło dowód na to, że literatura żydowska była rozwinięta w stopniu porównywalnym z jej europejskimi odpowiednikami. Polemizował także z twierdzeniem, że powieści w odcinkach drukowane na łamach prasy codziennej są pornograficzne i oskarżał działaczy Bundu o wyolbrzymianie problemu⁹.

W latach 30. wydał dwa kolejne tomiki wierszy. Tomik *Groer friling* (*Szara wiosna*) ukazał się w 1933 r. przy finansowym wsparciu warszawskiego Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich. Na dwa lata przed wybuchem wojny, w 1937 r., Rabon dzięki dotacji otrzymanej z żydowskiego PEN Clubu opublikował ostatni zbiór poezji, zatytułowany *Lider* (*Wiersze*). Jego poezję cechuje groteskowość, liczne metafory, porównania oraz hiperbole, zaś czarny humor, którym poeta posługuje się dość często, daje efekty absurdalne. Badacz literatury jidysz Chone Shmeruk zaznacza, że w jego twórczości pojawiają się także takie tematy, jak samotność, smutek i śmierć¹⁰.

Tłumaczył także na jidysz wiersze poetów polskich (Jan Kasprówicz), hebrajskich (Malkiel Lusternik), rosyjskich (Siergiej Gorodecki), niemieckich (Rainer M. Rilke, Stefan Zweig, Else Lasker-Schüler) oraz francuskich (Jean Cocteau, Paul Valéry, François Villon, Charles Baudelaire).

W tym samym czasie działał też aktywnie jako redaktor założonego przez siebie miesięcznika literackiego „Os”. Ambicją Rabona było stworzenie czasopisma, w którym debiutujący pisarze i poeci z Łodzi oraz okolic mieliby możliwość publikowania własnych utworów literackich. Pierwszy numer ukazał się w 1936 r. Niestety, ze względu na kłopoty finansowe, z którymi redakcja periodyku borykała się dosyć często, czasopismo nie ukazywało się regularnie. Inicjatywę wydawniczą Rabona wsparł m.in. Szolem Asz, przeka-

⁸ Nochum-Mejer Szajkiewicz, pseud. Szomer (1849–1905) – prozaik, autor licznych powieści w języku jidysz, dla których poszukiwał atrakcyjnych, sensacyjnych tematów, tworząc schematyczne układy czarnych i białych charakterów. Całość wieńczył zawsze szczęśliwy koniec. Powieści te zyskały znaczną popularność u niewyrobionych czytelników, a ich autor – miano twórcy „żydowskiej powieści bulwarowej”. W latach 80. XIX w. był ostro atakowany przez przeciwników brukowej literatury jidysz, m.in. Szolem-Alejchemą.

⁹ N. Cohen, *Shund and the tabloids: Jewish popular reading in inter-war Poland*, „Polin” 2003, No. 16, s. 209.

¹⁰ Ch. Shmeruk, *Yisroel Rabon...*, s. 41.

zując mu 100 dolarów na dalszy rozwój pisma. Dziękując Aszowi za hojność, Rabon w liście do niego napisał, że „Os” „jest jedynym artystyczno-literackim czasopismem, wokół którego zbierają się młodzi pisarze żydowscy w Polsce”¹¹. Niekwestionowanym sukcesem Rabona było pozyskanie do współpracy wielu twórców żydowskich starszego pokolenia o ugruntowanej pozycji literackiej, jak: Mojsze Broderzon, Miriam Ulinower, Jechiel-Jeszaje Trunk, oraz młodych pisarzy, będących dopiero u progu kariery, jak: Avrom Suckewer, Lejb Raszkin, Jerachmiel Grin. Nie ma natomiast pewności, czy Rabon publikował nowe utwory literackie na łamach „Os”. Jest to tym trudniejsze do ustalenia, że zachowane numery¹² nie zawierają jego utworów, ani poetyckich, ani prozatorskich, ale niemal w każdym kolejnym numerze znajdują się dokonane przez niego przekłady światowej poezji. Redakcja czasopisma dbała także o wysoki poziom graficzny pisma, ilustrowanego reprodukcjami dzieł tworzących w Polsce malarzy i grafików żydowskich. Twórca *Ulicy* wyrobił sobie opinię bezlitosnego polemisty. Publikował teksty analizujące twórczość pisarzy żydowskich, m.in. Szolema Asza, Jecheskiela-Mosze Neumana, Icze-Mejera Wajsenberga. Sporo miejsca poświęcił sprawie teatru żydowskiego, zagadnieniu symbolizmu w literaturze, powieści z kluczem oraz stosunkowi poezji do muzyki. Jeden z esejów dotyczył stanowiska polskich pisarzy wobec antysemityzmu.

Wydana w 1934 r. powieść zatytułowana *Bałuty: powieść o przedmieściu* była kolejną książką w dorobku literackim Jisroela Rabona. Jicchok Goldkorn określił ją jako znaczący postęp w literackim rozwoju pisarza oraz barwny ornament w żydowskiej prozie¹³.

Gazeta „Lodźer Tageblat” w październikowym numerze z 1931 r. informowała swoich czytelników o pracy pisarza nad nową książką *Przedmieście*, opowiadającą o życiu Żydów na Bałutach. W tym samym numerze dziennika opublikowano fragment pierwszego rozdziału pt. *Szabes nochmitog*¹⁴. W 1934 r. Fundusz Literatury przy Związku Pisarzy i Dziennikarzy Żydowskich wydał pierwszą część powieści zatytułowanej *Bałuty*. Podobnie jak w przypadku

¹¹ Źródło: *List J. Rabona do Sz. Asza*, <http://www.yivoencyclopedia.org/search.aspx?query=rabon> [dostęp 22.11.2015].

¹² Chone Shmeruk ustalił, że ogółem na przestrzeni lat 1936–1939 ukazało się 13 numerów tego czasopisma, z czego jedynie 5 numerów przetrwało do dziś. Czasopismo jest dostępne w zbiorach Biblioteki Narodowej oraz Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

¹³ J. Goldkorn, *op. cit.*, s. 47.

¹⁴ „Lodźer Tageblat” 1931, nr 231, s. 7.

wcześniejszych jego publikacji, *Baluty* także zostały wydane w wydawnictwie, które nie zadbało o stronę graficzno-edytorską książki. Powieść wydrukowano na kiepskim papierze, a jakość druku była fatalna.

Baluty są powieścią niedokończoną. Pomimo tego, że książka była oznaczona jako tom pierwszy, nie ma żadnej informacji o powstaniu kolejnego tomu. Nie ma nawet pewności co do tego, czy autor nad nim pracował.

Bohaterem powieści jest siedmio-ośmioletni Josl, który mieszka i dorasta wśród robotniczej żydowskiej biedoty na Bałutach. Akcja toczy się na krótko przed wybuchem I wojny światowej. Pisarzowi udało się sportretować żydowskie środowisko, przedstawił szereg barwnych postaci z peryferii: Eliego – gospodarza i filantropa, Note – kataryniarza sprzedającego marzenia, adwokata, który jednocześnie jest publicznym pisarzem, siłacza Herszla Buczika wraz z jego kochankami oraz kilkuletnie dziecko, które – zdaniem niektórych krytyków – jest *alter ego* pisarza. Mimo że bohater powieści jest sierotą, wychowuje się sam, bez opieki i dachu nad głową, nie należy identyfikować go z osobą autora. *Baluty* z pewnością nie są powieścią autobiograficzną, aczkolwiek nie można zaprzeczyć, by pisarz (sam wychowujący się od dziecka na Bałutach) nie oddał na jej kartach realiów łódzkiego przedmieścia oraz nie sportretował jego mieszkańców. Przedmieście Łodzi przedstawione jest jako miejsce, w którym żydowskie tkaczki, pracujące w fatalnych warunkach, tkwią bez szans na poprawę swego losu. Kobiety, uwięzione w pracy od rana do nocy, nie mogą opiekować się własnym potomstwem. Ulice Bałut są pełne dzieci porzuconych, osieroconych, pozostawionych bez opieki, żyjących z dnia na dzień. Po śmierci matki taki sam los spotyka Josla i jego młodszą siostrę Mirele. Dzieci naśladują dorosłych, stając się ich szpetnym odbiciem. Podejmują te same starania, by zaspokoić swoje podstawowe potrzeby, stosują takie same oszustwa. Z tą jednak różnicą, że dzieci są o wiele bardziej „obnażone” i wrażliwe. Poniewierane przez otoczenie, szamoczące się w sytuacjach bez wyjścia, narażone na przemoc ze strony dorosłych, starają się przeżyć w szczelinach społeczeństwa¹⁵. Często, by sobie poradzić w brutalnym świecie dorosłych, muszą stać się gorsze.

Pisarz z dużym wyczuciem opisał także biedę i nędzę Bałut, która w powieści jest wszechobecna. Występuje na ulicy, w domach, w sklepie, w fabryce.

Według Goldkorna, Rabon „jest plastykiem o ostrym spojrzeniu, który ma-

¹⁵ R. Ertel, *Préface*, [w:] J. Rabon, *Balut*, trans. R. Ertel, Montreuil 2006, s. 15.

lował i rzeźbił obrazy o ostrych konturach, głębokich scenach charakterystycznych dla lokalnego środowiska¹⁶.

Zakończenie powieści autor pozostawił otwarte. Nie dał jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jak potoczy się dalsze życie chłopca. Czy Josl zdoła uniknąć typowego, demoralizującego życia bałuckiej młodzieży, czy może powieli los rówieśników. *Bałuty*, w ocenie Goldkorna, wniosły indywidualny, regionalny koloryt do literatury żydowskiej¹⁷.

W chwili wybuchu II wojny światowej Jisroel Rabon mieszkał w Łodzi, nie wiadomo jednak, kiedy dokładnie opuścił miasto. Jicchok Goldkorn w powojennych wspomnieniach twierdzi, że Rabon podjął próbę ucieczki z Łodzi dopiero na początku 1940 r. Można jednak domniemywać, że pisarz, będąc świadkiem nalotów, bombardowania, narastającego napięcia oraz pogarszającej się sytuacji ludności żydowskiej w okupowanym mieście, nie czekał z decyzją aż do początku roku. Tym bardziej, że kres swobodnego przemieszczania się po prowincji nastąpił w połowie listopada, co zostało poparte zarządzeniem wydanym przez władze okupacyjne¹⁸. Za tym, że Rabon opuścił Łódź jesienią 1939 r. przemawia choćby to, że nie był wówczas sam. Razem z nim do zajętego przez Litwinów Wilna, gdzie warunki okupacji były najmniej dokuczliwe, uciekał Ch.-L. Fuks. W trakcie ucieczki ich drogi się rozeszły. Fuks został w Białymstoku, zaś Rabon kierował się dalej, do Wilna. Po dotarciu na miejsce nawiązał kontakt z Jechielem-Jeszają Trunkiem oraz Nojechem Pryłuckim. Zdaniem Chone Shmeruka, Rabon pracował nad esejem poświęconym twórczości R. M. Rilkiego oraz książką, która miała stanowić zapis ucieczki z polskich ziem okupowanych przez Niemców. Jej fragment zatytułowany *Farcejchenungen fun jor 1939 (Szkice z 1939 r.)*, będący opisem początku wojny oraz nalotu niemieckiego lotnictwa na Łódź, ukazał się w 1940 r. w almanachu literackim „Unterwegns”¹⁹.

Szkice z 1939 r. opowiadają o pierwszych pięciu dniach wojny w Łodzi, przed wkroczeniem Niemców do miasta. Reportaż otwiera komunikat radiowy o wybuchu wojny, a kończy informacja o ewakuacji miasta przez władze administracyjne. Pisarz w sposób mistrzowski oddał atmosferę napięcia i niepew-

¹⁶ J. Goldkorn, *op. cit.*, s. 47.

¹⁷ *Ibidem*, s. 50.

¹⁸ E. Wiatr, *Sytuacja ludności żydowskiej Łodzi w pierwszych miesiącach okupacji*, [w:] *Łódź w 1939 roku*, red. T. Toborek, P. Waingertner, Łódź 2011, s. 283.

¹⁹ J. Rabon, *Farcejchenungen fun jor 1939*, [w:] *Unterwegns. Almanach far jidiszer literatur*, red. N. Pryłucki, J. J. Trunk, J. Rabon, Vilne 1940, s. 190–235.

ności, jaka zapanowała w mieście po wybuchu wojny. Wędrując po ulicach, zagląda do słynnej kawiarni Astoria i przysłuchuje się dyskusjom literatów, zachodzi pod gmach gminy żydowskiej, gdzie zebrali się szukający schronienia uciekinierzy z Wielunia i Częstochowy. Obrazu dopełnia panika i lęk, wywołany komunikatami o wrogich samolotach zbliżających się do miasta. Ludzie w przerażeniu szukają schronienia, niestety, nie mają dokąd uciec. Schrony przeciwlotnicze, budowane na kilka tygodni przed wybuchem wojny, okazują się bezużyteczne. Narrator ukryty na strychu jednej z łódzkich kamienic śledzi ruchy niemieckiego i polskiego lotnictwa oraz próby zestrzelenia niemieckich samolotów. Jest także świadkiem zniszczenia kamienicy spowodowanego wybuchem bomby. Rabon z precyzyjną dokładnością opisuje zniszczenia, jakich dokonał spadający na dom pocisk. Nie szczędzi czytelnikowi makabrycznych opisów rozerwanych ludzkich ciał.

Latem 1941 r. Niemcy wkroczyli do Wilna. Z nieznanych nam powodów pisarz nie podjął próby ucieczki. Zdaniem Fuksa, który spotkał się z Rabonem w Wilnie, sprawiał on wrażenie przybitego. Natomiast Jicchok Janasowicz przytacza pogłoskę, jakoby powodem, dla którego Rabon postanowił nie opuszczać Wilna, była kobieta, nie-Żydówka²⁰. Avrom Suckewer, wspominając po latach Rabona, także przywołał postać tajemniczej Grażyny, z którą ponoć pisarz wiązał plany na przyszłość²¹. Niestety nie wiadomo, kim była i co się z nią stało.

Jisroel Rabon nigdy nie krył swoich poglądów na temat pisarzy radzieckich, piszących pod dyktando partii komunistycznej. Nie były one zatem obce wileńskiemu środowisku literackiemu. Nie krył się z nimi nawet wtedy, kiedy Litwa wraz z przyłączonym do niej Wilnem została zaanektowana przez ZSRR. Podczas zebrania pisarzy w Kownie w maju 1941 r. pisarz, nie bacząc na konsekwencje, przedstawił zebranych uczestnikom spotkania swoje stanowisko, które później kowieński dziennik „Der Emes” ostro skrytykował, pisząc: „Wystąpienia pisarza Rabona, zawierające jawnie antymarksistowską tezę, wykluczającą zupełnie istnienie realizmu w literaturze, a więc i realizmu socjalistycznego, zostało jednogłośnie potępione przez pisarzy”²². Poglądy Rabona określono mianem „reakcyjnej kontrabandy”²³.

²⁰ J. Janasowicz, *Lodżer jorn: menczn, swiwes, geszeeniszn*, Tel Awiw 1987, s. 182.

²¹ A. Suckewer, *Jisroel Rabon in Wilne*, [w:] idem, *Bajm lejenen penimer: dercejlungen, dermonungen, esejen*, Jeruzalajim 1993, s. 18.

²² Ch. Shmruk, *Wstęp*, [w:] J. Rabon, *Ulica*, Wrocław 1991, s. 12–13.

²³ *Ibidem*, s. 13.

Pisarz najprawdopodobniej zginął w Ponarach²⁴, miejscu straceń wileńskich Żydów, latem 1941 r., niecały miesiąc po zajęciu Wilna przez Niemców. Poeta Szmerke Kaczergiński, który według wszelkiego prawdopodobieństwa był naocznym świadkiem zdarzenia, pozostawił opis ostatniej drogi Rabona²⁵.

²⁴ Ponary – w okresie okupacji hitlerowskiej w latach 1941–1944 jeden z największych ośrodków zagłady na Litwie. Zginęło tam ponad 100 tys. osób, w tym ok. 70 tys. Żydów, Polacy (inteligencja wileńska, żołnierze AK), Rosjanie, Białorusini, Cyganie, komuniści litewscy.

²⁵ W księdze pamięci Wilna, *Churban Wilne*, Kaczergiński zanotował: „Wyczerpany dotychczasową wędrówką pod gradem kul, nie chciał już się więcej tułać. Był bardzo apatyczny i załamany, nie wychodził z pokoju, nie wstawał z łóżka, aż... przyszli po niego. Prowadzili go, żydowskiego pisarza Jisroela Rabona, z jego mieszkania przy ulicy Zamkowej, szeroką, główną ulicą nazwaną imieniem polskiego poety Adama Mickiewicza. Był letni dzień. Promienie słońca układały się w klawisze na asfaltowej jezdni. Jakby chciały zagrać marsza żałobnego żywemu jeszcze Rabonowi, który siedł przed policjantem zaniedbany, ponury, jak na swój własny pogrzeb...”. Przedruk w *Idisze szriftn. Literarisz zamlbuch*, Łódź 1946, s. 102.

BAŁUTY JISROELA RABONA¹

CHONE SHMERUK

Krajobraz i bohatera powieści *Bałuty* odnajdujemy w kilku wierszach Rabona. W jego tomiku *Szara wiosna* (*Groer* czy też *Grojer friling*), wydanym z pomocą Funduszu Literackiego (Literatur-Fond) przy Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Warszawie w 1935 roku, jest wiersz zatytułowany *Bałuty*:

W rynsztoku jak w kołysce leży klepka z beczki.
Błaszany szyld z wiatrem flirtują w powietrzu.
Szare niebo brudne jest jak brzuch żebraka.
Strzęp gazety chce wzbic się w górę na kształt ptaka.
Jak oddech konia bije dym z komina.
Ziemia cierpi, bo biczami deszcz twardo zacina.
Na strychu razem z wiatrem tańczą lekko śmieci.
Zapłakane szybki są jak oczy dzieci.

„Rynsztok” z tego słynnego łódzkiego przedmieścia, pierwsze słowo wiersza, odgrywa również pewną rolę w powieści. Szerzej i bardziej szczegółowo opisany jest w trzecim akapicie rozdziału pierwszego. I w wierszu, i w powieści jest symbolem degradującej rzeczywistości, bałuckiej nędzy i zapuszczenia.

Chociaż Josl, bohater powieści, nie jest tożsamy z Joslem z wiersza o tym samym tytule w wyżej wspomnianym tomiku, nie ma wątpliwości, że między tymi dwoma bałuckimi chłopcami istnieje bliskie pokrewieństwo. Do jednego i drugiego odnoszą się słowa wiersza: „Wysłać go do chederu matka rzadko miała za co”.

Josl z wiersza często chowa się w szafie na ubrania. Obserwuje otoczenie przez szpary:

¹ Ch. Shmeruk, *Jisroel Rabons „Balut”*, „Di Goldene Kejt” 1991, No. 132, s. 138–141.

Dostrzegł przez nie myszki, jak wychodzą
I tańczą w kręgu wokół nogi stołu.

Bałuckie myszy pojawiają się także często w powieści. Należą do „kraj-obrazu” Bałut. Josl z powieści, razem ze swoją siostrzyczką, widzą myszy we włosach zmarłej matki, kiedy oboje, w towarzystwie mężczyzny z bractwa pogrzebowego, czuwają nocą nad rozciągniętymi na podłodze zwłokami. Jest to wyjątkowy w swoim rodzaju, właściwy dla Rabona ekstremalny naturalizm, przechodzący w groteskę i nastrój grozy.

Josl z wiersza i Josl z powieści marzą o dalekich, fantastycznych wyspach i krainach. Przynajmniej w wyobraźni udaje im się na chwilę oderwać od mrocznej rzeczywistości:

Rozmarzonymi oczami w ciemnej izbie patrzył, patrzył...
W rękę trzymał jabłko, co na kęs czekało...
Daleki kraj złotych marzeń drżał jak czar tuż przed nim...
Tęsknota w nim śpiewała, płakać mu się chciało...

Statek zabiera go na wyspę, tam zostaje cesarzem, mieszka w pałacu, spotyka dziewczynę, która jednak „zamiast nóg ma ona ogon”, gdyż „jej ojcem jest stara ryba”... Josl ucieka, a za nim biegną, rozpoznawalne, wersy M. L. Halperna:

Po siedmiokroć nim rzucają,
Jednym głosem przemawiają:
Jeśli zrzekasz się korony,
Marnie będziesz tu karmiony.
Jeśli nie chcesz własnych pól,
Naharujesz się jak wół!
Jeśli królem nie chcesz być,
Długo już nie będziesz żyć!

Josl z powieści zaspokaja tęsknotę w rzeczywistym świecie obrazami z dalekich krajów, które ogląda w skrzynce-kinematografie reb Notego. Marzy mu się również, że ratuje tureckiego sułtana. A kiedy sułtan zechce go wynagrodzić i dać mu córkę za żonę, Josl odpowiada dumnie:

[...] jestem Żydem i nie mogę mieć tureckiej żony. Tylko jednej rzeczy pragnę od ciebie. [...] Chcę, byś dał mi setkę uzbrojonych jeźdźców, a konno i z mieczem w rękę uwolnię psy od hycła Wojciecha...

Sen i jawa zlewają się w sobotnie popołudnie na zabawie bałuckich chuliganów. Odbywa się ona za miastem, niedaleko rzeczki i budynku, gdzie trzymane są bezdomne psy, złapane przez hycla. Josl chce uchronić zwierzęta od czekającej je śmierci.

Jisroel Rabon i jego Josl ciężko przeżywają los psów. Podobnie jak w jego powieści *Ulica*, gdzie wstrząsające wrażenie wywiera rozdział o żołnierzu chroniącym się przed mrozem we wnętrznościach dopiero co zabitego konia, w pierwszym rozdziale *Bałut* czytelnika szokuje opis krwawej „walki” między bałuckimi chuliganami a psami, które hycel na nich poszczuł. W obu powieściach Rabona są to niezapomniane koszmarnie sceny.

Mamy jedynie pięć rozdziałów *Bałut*. W każdym z nich pojawia się motyw stosunku ludzi do zwierząt, często w okrutnym kontekście. W rozdziale „Bal” są to wspomniane bezdomne psy i ich walka z ludźmi. W drugim rozdziale, „Trup”, istotnym elementem jest pojawienie się myszy przy martwym ciele matki. W trzecim rozdziale, „Kłopoty reb Eliego”, widzimy kaczuszkę, której siostrzyczka Josla nie zanoszą do zarżnięcia, więc dzieci zostają bez mięsa na szabat. We wzruszającej dziecięcej walce z sobą zwycięża czyste uczucie litości. W czwartym rozdziale, „Dziecko”, są to jaskółki na strychu, uszkodzone, bo pozbawione gniazda, które mieściło się w zniesionej na dół kołyszce. To one muszą zapłacić za to, by niemowlę miało w czym spać. W piątym rozdziale, „Złe czasy”, sam Josl zostaje w bestialski sposób pobity przez rosyjskiego strażnika i wrzucony do zatęchłej celi. Przyłapano go z koszem bajgli, kiedy się zamyślił, stojąc przed żydowskim teatrem. Kiedy ludzie pozwalają, by zawładnęło nimi okrucieństwo, stają się zagrożeniem dla całego otoczenia, zwierzęcia i człowieka. Postać Josla ucieleśnia to przesłanie Rabona.

Josl jest dzieckiem w wieku siedmiu-ośmiu lat (według pierwszych zdań powieści) lub lat dziewięciu (tak w wersji drukowanej w gazecie i później w książce). Powieść rozgrywa się na krótko przed pierwszą wojną światową, w okresie, gdy Łódź była pod panowaniem carskim. Wydaje się, że do tego dzieła Rabon wplótł niemało wątków autobiograficznych. Wiek Josla i bałuckie tło odpowiadają biografii pisarza.

Dzięki *Bałutom* literatura jidysz zyskała jeszcze jedną wspaniałą postać dziecięcą. Josl jest rodzonym bratem Motla, syna kantora Pejse Szolem-Alejchema, który ciężko przeżywa niechybny los cielaka Meni. A jeśli chodzi o otwartą i odważną erotykę, Josl jest całkiem blisko pierwszoosobowego nar-

ratora *Żydów dnia powszedniego* J. Perlego. Perspektywa Josla jest jednak bardziej swobodna i głębsza, bo nieograniczona fikcją dziecięcego narratora pierwszoosobowego jak u Szolem-Alejchema i Perlego.

Wokół Josla krąży barwna galeria niezapomnianych, osobliwych bałuckich typów, jak reb Note ze skrzynką kinematografu, reb Eli właściciel domu, adwokat, Jankl „Rzykant”, Herszl Buczik ze swoimi „narzeczonymi” i „bratkami”, bałuckie Żydówki o dobrym sercu oraz wiele innych postaci. Czytelnik koniecznie chciałby się dowiedzieć więcej o każdym z nich, jak w przypadku każdego znakomitego dzieła.

Rabon zaczął pisać *Bałuty* około roku 1930. Początek, pt. *Sobotnie popołudnie – początek powieści „Przedmieście”*, ukazał się w „Lodzer Tageblatt” 6 października 1930 r. Prawie bez żadnych zmian tekst ten został później włączony do książki *Bałuty: powieść o przedmieściu*, wydanej przez Fundusz Literacki przy Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich w Warszawie w 1934 r. Niewykluczone, że książka została przedrukowana z matryc jakiejś gazety. Do tychczas jednak nie natrafiłszy na taką publikację. Jest bardzo źle wydrukowana i czasem trudno odczytać tekst.

Na odwrocie strony tytułowej czytamy: „tom pierwszy”. Drugi tom, niestety, nie ukazał się. Nie udało nam się dowiedzieć, czy istniał kiedykolwiek w rękopisie.

Czy Rabon kontynuował powieść *Bałuty* i drugi tom zaginął, czy też nie miał możliwości dalej snuć wątku powieści – ciąg dalszy należy do bolesnych strat literatury jidysz. Ale nawet w postaci nieukończonyj *Bałuty* Rabona należą, obok jego powieści *Ulica*, do najważniejszych artystycznych osiągnięć międzywojennej prozy jidyszowej w Polsce^{2**}.

Tłumaczyła z jidysz Natalia Krynicka

² Więcej szczegółów o Jisroelu Rabonie i jego twórczości – w moim wstępie do jego powieści *Ulica*, Jeruzolima, Uniwersytet Hebrajski, Departament Jidysz, Wydawnictwo Magnes, 1986 [przypis autora].

BAŁUTY JISROELA RABONA¹

M. [MOJSZE] GROSMAN

Oglądając film, jesteśmy przyzwyczajeni, że twarz bohatera przybliży się, powiększa, widać dokładnie każdy rys, każdą zmarszczkę, aż widzemy wstrząsa dreszcz: „To tak twarz wygląda z bliska?”

Takiego zbliżenia-portretu nie pokazuje się często, tylko w momentach, kiedy napięcie sięga szczytu.

W twórczości Rabona zbliżenia zajmują istotne miejsce. Bałuty to znane łódzkie przedmieście, mieszka tam półświatek i biedota. U Rabona postaci z półświatka to nie żaden Motke Złodziej² ani Jankl Szapszowicz³, pisarz nie szuka u nich idealizmu czy cech ludzkich. Nie, o pobożnych złodziejach za dużo nie można opowiedzieć, tego zresztą Rabon by nie potrafił! Jest mistrzem w przedstawianiu ludzkiego zła, zezwierzęcenia, i to w całej swojej beznamiętności, organiczności, bez ozdób i upiększeń, a z tak bliskiej odległości, że wyczuwamy je aż węchem.

Pierwszy rozdział *Bałut* przedstawia sobotę na placu o nazwie Grabinka (obszerny plac za miastem, jak Plac Broni w Warszawie), gdzie łódzcy chuligani bawią się ze swoimi dziewczynami. Na placu znajduje się również duży budynek z zakratowanymi oknami, rzeźnia dla wściekłych psów. Na początku autor opowiada o cierpieniu ośmioletniego chłopca Josła, który nie jest w stanie słuchać skarg maltretowanych zwierząt – zatyka sobie uszy, ucieka, płacze – ale tą sceną pisarz chce nas tylko zwabić. Tak naprawdę pragnie opowiedzieć, jak alfons Herszl Buczik leży sobie na polu, rozłożony jak hrabia, a wokół niego

¹ Tekst ten ukazał się w „Literarisze Bleter” 11, 30 listopada 1934, nr 48 (551), s. 804 [przypis tłum.].

² Motke Złodziej (Motke Ganew) – romantyczny bohater powieści (1916) i sztuki teatralnej (1917) Szolema Asza pod tym samym tytułem [przypis tłum.].

³ Jankl Szapszowicz – sutener, bohater dramatu Szolema Asza *Bóg zemsty* (1907) [przypis tłum.].

sześć „narzeczonych”; jak jedna z nich, Zośka, ponętna dziewczyna, tańczy półnago dziki taniec dla swojego „narzeczonego”. Tańczy w kręgu z wbitych w ziemię noży, szybko i zwinnie poruszając się między nimi. W ten sposób zabawia swego pana i władcę Buczika, który jest zadowolony, bo wokół stoi cały tłum i gapi się z zachwytem na dziki, erotyczny taniec. Buczik rzuca się na nią i gryzie ją w kolano. Zośka pokornie, z broczącym krwawią kolanem, dalej wywiązuje się ze swojego „świętego” zadania.

Ale na tym nie koniec. Po awanturze z hyclami, ci ostatni wypuszczają z rzeźni wściekłe psy, które rzucają się na tłum.

Tutaj Rabon najlepiej się sprawdza: nie spiesząc się, przedstawia każdą scenę – jak chuligani wbijają w psy noże, jak jeden z nich wyrwa jakiemuś psu język, jak Herszl Buczik łapie innego psa za gardło, podnosi go wysoko, zwierzę rzuca się przez kilka minut, aż w końcu się dusi. Rabon odmalowuje szczegółowo konwulsje konającego psa.

Po takiej scenie musimy trochę odetchnąć, bo nozdrza mamy pełne zwierzęcej woni. Kiedy już sobie odpoczęliśmy, myślimy: różne są sposoby, by osiągnąć taki efekt. Felix Salten w swojej książce *Bambi* opisuje polowanie na jelenie. Myśliwi strzelają, ranne jelenie uciekają, walczą o życie, ale wszystko rozgrywa się w ciszy, bezgłośnie, słychać tylko szelest liści, które jeleni lekko trąca. Czy wrażenie jest przez to słabsze? Na pewno nie! Ta scena pozostaje na zawsze w pamięci. Przychodzi na myśl takie porównanie: jeden opis jest utkany z aksamitu, drugi – z grubego workowego płótna. Prawda, że z bliska inaczej tego przedstawić nie można. Trzeba chyba stwierdzić, że Rabon jest świetnym reporterem. A być dobrym reporterem to jest coś, bo w tej branży są już tacy jak Erwin Kisch, John Reed, Larissa Reisner – więc nie ma się czego wstydzić.

A dalsze rozdziały?

U Rabona nie ma stadiów przejściowych, nie ma przerw. Kiedy mały Josl (którego można tu uważać za głównego bohatera) wraca w ową sobotę do domu z placu Grabinka, witają go na Bałutach dwa wydarzenia: po pierwsze, palą się już latarnie gazowe, a po drugie: zmarła mu mama. Jest to normalna kolej rzeczy, nic specjalnie „rabonicznego”, on jest w swoim żywiole tylko tam, gdzie w grę wchodzi pierwotne siły natury, gdzie do głosu dochodzą emocje, gdzie pojawia się groteska. Aż nagle mysz włazi trupowi na twarz, liże ją i przypatruje się jej. Potem do pogrzebu znowu nic się nie dzieje, aż do momentu, gdy ślepiec, prowadzony w wózku przez psa, uczestniczy w kondukcje pogrze-

bowym⁴. Mały chłopiec robi psikusa Mariannie wdowie i wypuszcza z komórki dwadzieścia kotów, które ta hoduje. A potem na komisariacie ten sam Jankl rzuca przez okno cegłą i trafia psa na podwórzu.

Są w powieści dobre sceny rodzajowe, jak na przykład bałucki adwokat, u którego na oknie wisi wywieszka:

Przyjmę do napisania listy do narzeczonej, męża, syna, narzeczonego w Ameryce i na całym świecie. Piszę w jidysz, po niemiecku, rosyjsku i po polsku. Wedle życzenia. Moje listy mogą poruszyć nawet głaz. Przyjdźcie i przekonajcie się sami. Cena – dwie kopiejki za list. Kartka – za grosz. Adres – bezpłatnie. Udzielam porad w sporach z właścicielem domu i w innych sprawach. Z poważaniem – Arnold

Są jeszcze inne udane sceny i postacie (Note kataryniarz, Chana szolem-alejchem, reb Eli), ale najlepiej autor czuje się w portrecie-zbliżeniu. Jestem pewien, że obserwując oko, nie zwraca uwagi jedynie na jego kolor i wyraz, ale też na czerwonawą tkankę przylegającą do białka.

J. Rabon to zjawisko, jako poeta i prozaik. Należy czytać *Bałuty* i też na pewno byłyby czytane, tylko kto może być takim męczennikiem? Jestem pewien, że to wydanie to rekord złego druku. Tak strasznej jakości druku nikt z pewnością jeszcze nie widział. J. Rabon (i my wszyscy) powinien poszczuć wściekle psy z łódzkiej rzeźni na drukarza i producenta matryc *Bałut*. To hańba i wielka szkoda – bo książka jest przecież interesująca i mocna.

Tłumaczyła z jidysz Natalia Krynicka

⁴ W tym miejscu odnosi się wrażenie, że z recenzji coś wycięto [przypis tłum.].

BAŁUTY: NOTATKI CZYTELNIKA¹

SIMCHE SZAJEWICZ

1.

Tytuł zobowiązuje. Tytuł dzieła jest szyldem. Spisem treści w miniaturze. Nie można, na przykład, zatytułować utworu „Dzień” i przedstawić w nim jedynie zmierzch (nawet jeśli zmierzch też ma w sobie coś z dnia).

Tytuł *Bałuty* dla książki Rabona jest całkowicie nieuzasadniony. Z całych Bałut autor nie zna więcej niż Herszla Buczika, alfonsa sześciu „narzeczonych”, dziewczynę Zośkę tańczącą *szantę*, „burdelmame” Cywię, trzynastoletniego chłopca Jankele Rzykanta, który sam już ma „narzeczoną” i orientuje się, która dziewczyna ma swojego alfonsa, a która nie. Z bałuckiej biedy, z bałuckiego proletariatu, zna tylko Arele², starego tkacza przesiadującego godzinami przy warsztacie – bo ten zbiera książeczki czekowe i nie posiada nic oprócz dwóch domów...

2.

Rabon przechodzi przez Bałuty z zamkniętymi oczami. Nie próbuje nawet zgłębić tego słynnego przedmieścia, nie widzi jego nędzy i cierpienia, jego życia i walki. Idzie na ślepo, tylko instynktownie wyczuwa, gdzie jest uliczka Fajfra, gdzie upija się siłacz i sadysta alfons Buczik, i gdzie wyprawia swoje dzieki wybryki zdemoralizowany chłopiec Jankele Rzykant.

Kiedy zamykamy liczącą 160 stron książkę, pytamy się: czy to właśnie są Bałuty, czy tylko szumowiny z samymi Bałutami nie mające nic wspólnego? Czy to są Bałuty z ich ciemnymi, wąskimi uliczkami, z krzywymi, niskimi

¹ Tekst ten ukazał się w „Wochnszriftn” 1935, nr 3, s. 14.

² Chodzi tu zapewne o reb Eliego [przypis tłum.].

drewnianymi domkami, dostarczające do fabryk dziesiątki tysięcy robotników, by wzbogacili się na tym fabrykanci, a na cmentarz – rocznie tysiące młodych ludzi odbierających sobie życie, umierających na suchoty, tyfus i inne panoszące się choroby, Bałuty bezrobotnych i głodujących mas, wśród których rozgrywają się straszliwe tragedie i które buntują się przeciw władcom miasta... i są gotowe poświęcić się w imię walczącego proletariatu? Czy autor nie zrobiłby lepiej i uczciwiej, gdyby zatytułował swoje dzieło jakkolwiek, byle nie znaczącą i dźwięczną nazwą Bałuty? Obcy, nieznający Bałut ma prawo wywnioskować z książki Rabona, że to biedne przedmieście składa się wyłącznie ze wspomnianych elementów z półświatka z domieszką lumpenproletariatu, jak sztukmistrze i handlarze bajglami.

Te nieliczne miejsca w książce, które są charakterystyczne dla Bałut, są przedstawione powierzchownie i często – fałszywie.

Z jedyne w całej powieści przedstawiciela tych, co „walczą za wolność ludzkości”, z „Chany szolem-alejchem”, autor drwi. Przemyka za jej plecami i cicho, „obiektywnie”, wyśmiewa się z jej czerwonych oczu, w których błyszczą „ogień wiecznej nienawiści do grubych brzuchów”.

3.

Fabulę można streścić w kilku linijkach: biedny chłopiec Josl, któremu umarli ojciec i matka, handlował bajglami. Z początku „interes” szedł całkiem nieźle. Razem z siostrą Mirele prowadzili prawie idylliczne życie. Wmieszał się jednak policjant. Josla złapano. Bajgle rozsypały się po ziemi w śniegu i błocie. Wsadzono Josla do więzienia na jedną noc. Następnego dnia porządnie go obito. Zabrano mu ostatnie grosze zarobku. Josl przestał być „handlarzem”. To jest treść książki. Reszta jest prawie uboczna, drugorzędna.

Z książki *Bałuty* wieje pustką. Autor widocznie to wyczuł i próbował wypełnić pustą przestrzeń pikantnymi orgiami chuliganów z dziewczynami, przerażającą historią hycła, który szczuje na ludzi psy oraz głupkowatymi, tanimi „humoreskami”, na przykład o kacze Mirele albo kotach Jankła.

Z głównym bohaterem, Joslem, autor zupełnie nie może sobie poradzić. Prowadzi go kilka kroków, po czym puszcza samopas.

Autorowi brakowało idei. Brakowało artystyczno-ideologicznego celu i ten brak strasznie się na nim zemścił. Nie miał innego wyjścia jak tylko zastąpić

idee wstrząsającymi, sadystycznymi dziwactwami, a treść – powierzchownymi przeżyciami i ambicjami.

W ogóle książka robi wrażenie skleconych razem wydarzeń, faktów, anegdot, wszystko to szyte grubymi nićmi. Wydaje się, że główny bohater, Josl, został specjalnie stworzony, by ułatwić autorowi powiązanie kawałków kroniki i płytkich przeżyć...

4.

Rozdział pierwszy to całkowity chaos potworności i okropieństwa. Jeszcze nie otrząsamy się z wrażenia, jakie wywarła sadystyczna scena, gdy Buczik gryzie tańczącą dziewczynę nad kolanem, a już znowu niedobrze się robi od orgii w rzece; zanim udaje nam się ochłonać, pojawia się straszliwy obraz z wydartymi zwierzęcymi językami, ociekający ciepłą krwią... To scena walki chuliganów z dzikimi psami, które napuścił na nich hycel.

Co prawda autor czuje się w pierwszym rozdziale najswobodniej, ale ta swoboda zostawia posmak. Widać, jak się upaja, jak się zachłystuje opisem orgii. Innego rzemienia dla ślepego paralityka autor nie znalazł, jak tylko „rzemień z wysuszonego wołowego członka” (s. 68³).

Drugi rozdział przedstawia, owszem, biedę. Jest za długi i blady. Ma się wrażenie, że Rabon chciał jakoś uzasadnić tytuł *Bałuty*, więc mimochodem opisał fabryki, robotników, pasy transmisyjne (s. 66 i 70)... wychodzą one jednak w tych opisach słabo, jak cienie, a po części też – fałszywie, jak to zwykle, gdy robi się coś bez przekonania...

5.

Czy Rabon ma talent? Bez wątpienia – tak! W książce są autentyczne, mocne obrazy, jak scena z elektrycznością na Bałutach, ślepy paralytyk z psem (co prawda trochę przesadzony), powódź na przedmieściu, reb Eli itp. Ale nie ratują one dzieła jako takiego.

Że sam Rabon nie miał właściwego stosunku do własnego dzieła, można stwierdzić już po wielu niedociągnięciach w książce (nie mówiąc już o okale-

³ Podane numery stron odnoszą się do wydania książkowego z 1934 r. [przypis tłum.].

czonym druku, naprawdę trzeba wielkiego poświęcenia, by przebrnąć przez całą powieść). Na przykład na s. 54 i 67 autor wyraża się, jakby zostały tylko dwie sieroty, podczas gdy zostały trzy. Na stronie 67 mówi o trzech prostytutkach, które szły razem z „burdelmama” Cywią, a kilka linijek potem już o tym zapomniał i wygląda, że są tylko dwie. To samo na s. 73 i 75: najpierw siedmiopiętrowa fabryka, potem sześciopiętrowa. Na s. 119 sąsiadka nazywa się „Rywa olbrzymka”, a kartkę dalej – Chana... Na s. 35 – „stado psów z otwartymi, zażarcie rozwartymi wilczymi pyskami”. Na s. 50: „wiatr podnosi włosy, który wkrada się przez otwarte okno”, itd.

Podsumowanie: *Bałuty* Rabona nie są książką prawdziwej walczącej biedy Bałut, ani nawet ich jeszcze zacofanych mas.

Tłumaczyła z jidysz Natalia Krynicka

JISROEL RABON: SZKIC DO PORTRETU¹

JICCHOK JANASOWICZ²

1.

Najsłynniejszym i najpopularniejszym poetą jidyszowym w Łodzi w okresie międzywojennym był niewątpliwie Mojsze Broderzon. Jego nazwisko znane było nie tylko w kręgach literacko-artystycznych, lecz również w środowiskach mających niewiele wspólnego z literaturą czy sztuką. Natomiast sami pisarze, szczególnie młodzi, uważali, że najważniejszym poetą, jakiego wydała Łódź, jest Jisroel Rabon. Z tą opinią zetknąłem się natychmiast po przybyciu z rodzinnego miasteczka do Łodzi, a nawet wcześniej, mieszkając jeszcze w Jeżowie, kiedy łódzkich pisarzy jidyszowych znałem tylko ze słyszenia lub z lektury.

Dodajmy tu, że ta opinia utrzymała się wśród młodych pisarzy i czytelników poezji zanim wydał on swój pierwszy tomik *Hintern plojt fun der welt (Za płotem świata)* i podpisywał się jeszcze swoim prawdziwym nazwiskiem Jisroel Rubin, a nie pseudonimem Jisroel Rabon.

Zanim przejdziemy dalej, zaznaczę w nawiasie (a może poza nawiasem), że dzisiaj mam na ten temat inne zdanie. Teraz uważam, że najważniejszym – bo najoryginalniejszym i najgłębszym – jidyszowym poetą Łodzi był wówczas Chaim Krul³, choć od dawna już tam nie mieszkał i przyjechał tylko na krótko przed powrotem do Ameryki. O ile się nie mylę, było to na początku lat dwudziestych.

¹ J. Janasowicz, *Lodżer jorn: menczn, swiwes, geszeenisz*, Tel Awiw 1987, s. 150–184.

² Jicchok Janasowicz (1909–1990) – poeta i eseista jidyszowy; mieszkał w Łodzi w latach 1925–1939 oraz krótko po wojnie (którą przeżył w Alma-Acie); od 1952 w Buenos Aires. Wydał kilka tomików poetyckich, a także eseje i wspomnienia o pisarzach jidyszowych w Związku Sowieckim (*Mit jidisze szrajber in Rusland*) oraz o łódzkim środowisku literackim (*Lodżer jorn...*, z których pochodzi niniejszy tekst).

³ Chaim Krul (1892–1946) – poeta jidyszowy urodzony w Łodzi, od 1922 mieszkający w USA. Jego debiutancki tomik, *Lojbn* (Hymny) ukazał się w 1920 r. w wydawnictwie awangardowej grupy Jung Jidysz.

Prawdą jest, że młodzi pisarze kochali Mojsze Broderzona, bo i Broderzon ich lubił i w nich wierzył. Do czego zmierzam? Broderzona lubiło się za różne zalety, ale kiedy chodziło o samą literaturę, poezję, talent – ogólny konsensus, jak to się dzisiaj mówi w naukowym żargonie, skłaniał się w stronę Rabona. „Wiesz co? – mawiał Mojsze-Josl Smolarz⁴ z Chmielnika – Broderzon jest królem, ale talent ma dziobaty Rabon”. A w tamtych czasach, w tamtym środowisku, talent był czymś najważniejszym, najcenniejszym, co śmiertelnik mógł z Bożą pomocą osiągnąć.

Broderzon miał dużo uroku. Przebywanie w jego towarzystwie było przyjemnością. Sypał aforyzmami i kalamburami, a także sprawiał, że jego rozmówca (szczególnie młody pisarz, który na gwałt potrzebował trochę ciepła i uznania) rozluźniał się, czuł się dowartościowany. Rabon taki nie był i nie starał się być. Nie raz wygarniał młodemu autorowi coś, co tamten zrobił, a co mu się nie spodobało. A mimo tego pisarze usilnie starali mu się przypodobać, a każde jego dobre słowo cieszyło ich i podnosiło na duchu.

Jak już mówiłem, Broderzon miał urok. Rabon tej cechy nie posiadał. Urok Broderzona był przyjemny, ale nikogo do niczego nie zobowiązywał. Z Rabonem się liczone. Nie chciano mu się narażać. Sam Broderzon o wiele bardziej cenił Rabona, niż Rabon jego.

Ale jeśli mam być szczerzy, muszę od razu powiedzieć, że Rabona się bano, w każdym razie lubiany nie był.

2.

Choć w samej Łodzi Jisroel Rabon zaczął być znany jako pisarz dość wcześnie, poza łódzkimi kręgami literackimi zdobył sławę dopiero po ukazaniu się jego debiutu książkowego *Za płotem świata*, oraz później, powieścią *Ulica*.

Jisroel Rabon (wtedy jeszcze Rubin) zadebiutował w roku 1916 w dzienniku Lazara Kahana „Łodźer Folksblat” wierszem w rubryce humorystycznej. Został on wydrukowany dopiero po tym, jak szesnastoletni początkujący humorysta zrobił straszny skandal wszechwładnemu wówczas redaktorowi za to, że przetrzymał trochę jego utwór w redakcyjnej szufladzie. Rabon dał się wtedy

⁴ Mojsze-Josl Smolarz (1907–1942) – prozaik jidyszowy; osierocony w dzieciństwie przeniósł się do Łodzi; wydawnictwo Rabona „Os” wydało zbiór jego opowiadań *Hejm un fremd*, Łódź 1937. Zginął w Treblince.

poznać jako chłopak „nie dający napluć sobie w brodę”, któremu trzeba „schodzić z drogi”, jak mówią Łodzianie, o ile nie chce się usłyszeć o sobie publicznie takich słów, których lepiej nie wypowiadać przy otwartych drzwiach do pokoju dzieciennego.

„Bałucki ulicznik” – mawiali o nim ci, których obraził, a on nie próbował zmienić tego wizerunku. Wprost przeciwnie, był okres, kiedy sam się starał stworzyć wrażenie, że należy do tych, z którymi lepiej się nie zadawać.

Mnie nie ukolysało radosne dzieciństwo,
 Nie ssałem piersi niańki jak dzieci bogaczy.
 Ach, rzadko pamiętam mój dom w jasnych barwach,
 A mamę jedynie jak klnie i jak płacze –

Tak pisał w wierszu otwierającym tomik *Za płotem świata*. W tym samym utworze, jak również w wielu innych wierszach z tego tomu, opowiada, że dorastał jako dzikus, łobuz, „nosząc na sercu torbę krzyków”. Rósł, jak pisze, targany niepokojem, tułał się u obcych, zadawał ze złodziejami –

Z chłopskich wozów wykradałem jabłka
 Na jarmarkach w karty grałem z wyrostkami,
 Nocą na polach szukałem ziemniaków
 Na wesole uczyły razem z kolegami.

Nie można powiedzieć, żeby ten „pociągający”, ostro zarysowany autoportret był diametralnie różny od wyglądu i charakteru modela. Ale nie należy też sądzić, że mamy przed sobą fotografię o stuprocentowym podobieństwie. Prawda, że w okresie, kiedy znałem Rabona, nieźle już się „ustatkował” i nie był tak agresywny i rozgoryczony jak przedtem. Ale nie mam wątpliwości, że nawet w poprzednich latach nie był, broń Boże, jakimś bandziorem, i że nie miał nic wspólnego ze światem przestępczym, chociaż było to w czasach, gdy bohaterowie Gorkiego byli bardzo popularni wśród żydowskiej inteligencji, a chuligaństwo Jesienina miało szeroki odzew wśród żydowskich miłośników poezji w Polsce.

Poznałem Rabona na jakiś czas przed ukazaniem się *Za płotem świata*, gdy byłem siedemnastoletnim chłopcem z prowincji. Dość szybko zrozumiałem, że nie jest taki czarny jak sam siebie maluje. Później natknąłem się na ludzi, którzy naśladowali jakąś postać – realną czy literacką – i nosili tę maskę tak długo, aż uznana została za ich własną twarz. Prawdą jest także, że nikt nie

udaje wariata, jeśli nie jest choć trochę szalony. Charakter i zachowanie Rabona nie kwalifikowały go bynajmniej do miana ujmującego młodzieńca. Nie należał do tych, o których Anglicy mówią, że będąc sami w mieszkaniu posługują się łyżeczką, by włożyć do herbaty kostkę cukru. Jednym słowem, był dość trudnym człowiekiem. Ale ci, którzy uważali go li tylko za bałuckiego ulicznika, mimo wszystko się mylili. Rabon był kimś daleko więcej...

Przez długi czas pozostawał pod wpływem Jesienina i starał się go naśladować – nie tylko w poezji, lecz także w życiu. Nie zapominajmy, że dorastał w głębokiej nędzy łódzkich Bałut, gdzie między światem przestępczym a porządną biedotą była cienka granica. Mimo wszystko taka granica istniała i wytrzymywała codziennie próby, na jakie wystawiana była uczciwość. Uprzemysłowienie zmieniło całkowicie warunki bytowe, ale to środowisko Bałut pozostało wierne żydowskiej moralności i żydowskiemu trybowi życia. Chcę przez to powiedzieć, że chociaż Rabon dorastał na dnie nędzy i w sąsiedztwie półświatka, nie wszedł nigdy, broń Boże, w konflikt z prawem, ani nawet – z żydowską drobnomieszczańską moralnością. „Nie znoszę bohemy przy karcianym stole” mawiał. Jeszcze coś: chociaż w swoich wierszach, a także w stosunkach z ludźmi często demonstrował przynależność do cyganerii pogardzającej drobnomieszczańcem, jego filozofią i stylem życia, w rzeczywistości bardzo uważał na to, by nie zaciągać długów. To, że od nikogo nie chciał nic przyjmować, że ukrywał własną nędzę, a czasem i głód, miało związek z jego drobnomieszczańskim pochodzeniem, z utraconym domem w Gaworczowie (miasteczku, w którym się urodził i skąd jego rodzice wywędrowali do Łodzi) i przede wszystkim – z kompleksem pauperyzacji, który prześladował go przez całe życie.

3.

Osobiście poznałem Rabona niedługo po tym, jak przybyłem do Łodzi. Było to tak: siedziałem z moim przyjacielem i mentorem, Gustawem (Grojnem) Miedzińskim⁵, w kawiarni przy Południowej 8, piłem gorące mleko i słuchałem radia. Ta kawiarnia o nazwie Pod Szklanką była już wielokrotnie wspomинana przeze mnie i przez innych piszących o dawnej literackiej Łodzi, czyli o okresie międzywojennym.

⁵ Gustaw (Grojnem) Miedziński (1909–1942) – literat jidyszowy urodzony w Jeżowie, od 1927 mieszkający w Łodzi. Autor m.in. dramatu *Trocki* (Łódź 1937–1938).

Pod Szklanką jako pierwsza kawiarnia w dzielnicy żydowskiej, w centrum miasta, wprowadziła radio. Dla łodzian była to jeszcze wtedy wielka nowość. Młodzieży przypominała książkę Bellamyego *Za sto lat*⁶, gdzie przewidziano, że nadejdzie czas, kiedy wystarczy nacisnąć guzik w ścianie, by usłyszeć najpiękniejszą muzykę, albo najmądrzejsze idee. Ta przepowiednia właśnie się sprawdzała. W owym czasie zakładało się jeszcze na uszy słuchawki, wiszące na ścianie i połączone kablami z aparatem radiowym stojącym na osobnym stoliku. Dla chłopaka z prowincji, dopiero co przybyłego do Łodzi, była to niemal atrakcja, choć piętnaście groszy za szklankę gorącego mleka stanowiło istotną pozycję w moim budżecie.

Słuchawki, przez które słuchało się muzyki (nawet Beethovena, mawiali entuzjaści), szybko jednak przestały być sensacją. Pojawiły się aparaty radiowe z głośnikami i nie trzeba już było zakładać na uszy słuchawek. Mimo wszystko w kawiarni utrzymała się specyficzna stała klientela.

Z czasem Pod Szklanką stała się sławna. Jakiegoś wieczoru widziałem tam znanego pisarza Hersza-Dowida Nomberga⁷. Było to niedługo przed jego śmiercią, a przyszedł tam nie w sprawach literackich, lecz by spotkać się z krewnym z Mszczonowa, który w kawiarni regularnie grał w szachy. Przez jakiś czas można tam się też było natknąć na hebrajsko-jidyszowego poetę Jankewa Fichmana⁸, przebywającego wtedy w Polsce i odwiedzającego Łódź.

Do stałych bywalców Pod Szklanką należeli Chaim Wodnik, nazywany „łódzkim Sokratesem”, nauczyciel hebrajskiego i jidyszowy pisarz Awrom-Hersz Flakser⁹ (kuzyn pisarza Menachema Flaksera¹⁰), którego I.-M. Wajsenberg¹¹

⁶ Edward Bellamy (1850–1898) – powieściopisarz i publicysta amerykański, autor m.in. popularnej książki futurystycznej *Looking Backward* (1888), przetłumaczonej na język polski jako *W roku 2000*, a na jidysz jako *In hundred jor arum (Za sto lat)*, Warszawa 1906.

⁷ Hersz-Dowid Nomberg (1876–1927) – popularny prozaik i publicysta jidyszowy z kręgu Perreca, urodzony w Mszczonowie, od 1897 mieszkał w Warszawie. Poseł na Sejm z ramienia folkistów.

⁸ Jankew Fichman (1881–1958) – poeta jidyszowo-hebrajski, klasyk poezji izraelskiej, tłumacz; urodzony w Bielicach w Mołdawii, przez pewien czas mieszkał w Warszawie, od 1925 r. w Palestynie.

⁹ Awrom-Hersz Flakser (1896–1942) – prozaik jidyszowy z kręgu I. M. Wajsenberga; w Łodzi mieszkał od roku 1921. Zmarł w getcie łódzkim.

¹⁰ Menachem Flakser (1898–1978) – poeta, prozaik i eseista jidyszowy urodzony w Ostrołęce, w okresie międzywojennym mieszkał w Warszawie, od 1947 w Nowym Jorku. Tłumacz z francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego na jidysz.

¹¹ Icze-Mejer Wajsenberg (1881–1938) – popularny prozaik jidyszowy pochodzący z Żelecho-

uhonorował tytułem łódzkiego Rabindranatha Tagore; członek towarzystwa Miłośników Języka Hebrajskiego¹² Berl Fabrikant oraz jego oponent w kwestiach gramatyki hebrajskiej, Mojsze Lojfer, i inni. Tam spotykali się również młodzi pisarze jidyszowi, tak zwani debiutanci, z których każdy mógł na pewno w ciichości ducha uważać się za geniusza, ale nie miał jeszcze dostatecznej pewności siebie i odwagi, by przekroczyć próg kawiarni Astoria, gdzie schodzili się na herbatę klasycy łódzkiego Olimpu.

W pewien jesienny wieczór siedziałem z moim przyjacielem Miedzińskim Pod Szklanką i słuchałem muzyki radiowej. Wszedł mężczyzna, który usiadł przy sąsiednim stoliku. Nie przywitał się z nami, tylko od razu zaczął rozmowę z moim towarzyszem. Na mnie, pamiętam, nie wywarł specjalnego wrażenia, a nawet, prawdę mówiąc, wydał mi się antypatyczny. Po jakimś czasie, słysząc, że dopiero co przybyłem z prowincji, zaczął zadawać mi różne pytania, na które odpowiadałem niechętnie i zdawkowo. Nagle wstał i zapłaciwszy za szklankę herbaty wyszedł z kawiarni. Spytałem wtedy kolegę:

– Kim był ten nudziarz?

– Co? – wlepił on we mnie zdumione spojrzenie – nie wiesz, kto to był? Ty dziki prowincjusz, przecież to Jisroel Rubin, pisarz Jisroel Rubin!

Prawie spałem z krzesła. To ma być Jisroel Rubin? Ten Jisroel Rubin, o którym tyle się nasłuchałem jeszcze w miasteczku? Jej, jej, rzeczywiście dziki prowincjusz ze mnie... To cud, jeśli się nie obrazi za sposób, w jaki mu odpowiadałem. A niech to!

Ale moja troska, jak się później okazało, była daremna. Jakiś czas później wszedłem do tej samej kawiarni i natknąłem się na Rabona siedzącego przy stoliku. Wskazał mi krzesło obok siebie i znowu zaczął stawiać mi najprzeróżniejsze pytania. Tym razem już się starałem odpowiadać najlepiej, jak potrafiłem.

Niezręcznie mi to mówić, bo może to wyglądać na przechwałki, ale prawdą jest, że już przy pierwszym spotkaniu okazał mi pewną sympatię, co zauważyli nawet, nie bez zazdrości, moi koledzy, młodzi pisarze. Tę sympatię okazywał mi przez wszystkie lata, aż do naszego rozstania w Białymstoku.

wa; należał do kręgu Pereca. Zdobył sławę naturalistyczną nowelą *A sztetl* (Miasteczko, 1906), ukazującą konflikty i przemiany w społeczności żydowskiej podczas rewolucji 1905 r.

¹² Chowewe sfas ejwer – założone na początku XX w. w Rosji towarzystwo propagujące język hebrajski.

Kilka miesięcy później zdarzyło się coś, co znowu wyraźnie podkreśliło jego wyjątkowo dobry stosunek do mnie, choć Bóg jeden wie, czym sobie na niego zasłużyłem.

Zaczęliśmy wtedy wydawać pismo „Ojfn Literariszn Horizont” (Na horyzoncie literackim). Gustaw Miedziński był redaktorem, ja – sekretarzem redakcji. Drukowaliśmy je w drukarni należącej do pewnego Żyda o nazwisku Winik, a zecerem był niejaki Gliksman. Ów Gliksman był ode mnie o wiele starszy i to on nauczył mnie robienia korekty. Bo i skąd miałem to umieć? W Jeżowie nie było drukarni i nie wydawaliśmy tam żadnych pism.

Pewnego razu Gliksman mówi mi, że też pisze wiersze, i że jeśli się zgodzimy, da nam kilka do pisma. Mówię mu, żeby mi je dał, a przedstawię je redakcji (oprócz Miedzińskiego i mnie byli tam również Jehude Pruszinowski i Pinches Zelman) i jeśli koledzy się zgodzą, to je wydrukujemy. Tak też się stało: dał mi kilka wierszy, zaproponowałem je i stanęło na tym, że je wydrukujemy. I tu zaczyna się afera.

Pewnego dnia Rabon wbiega do kawiarni Pod Szklanką z awanturą. O co chodzi? Gliksman wziął jego wiersze i wydrukował w naszym piśmie, podając się za autora. Z początku nie wiedziałem, co się stało. Później zrozumiałem, że u Winika składa się też tomik Rabona *Za płotem świata*, a zecerem jest Gliksman. Ze składu robi się matryce i wysyła do Warszawy, gdzie drukuje się książkę. Reszta jest jasna. Ponieważ to ja przyniosłem wiersze do redakcji, znaczy, że jestem głównym winowajcą. Rabon się piekli. Straszy, że jeśli nie spalimy całego nakładu, zrówna nas z ziemią. Ale nagle ucicha, przestaje się wściekać, a na wargi wypływa mu uśmiech. Widać wyraźnie, że cała historia zaczyna go bawić. Stanęło na tym, że na ostatniej stronie pisma, która jeszcze nie została wydrukowana, w „skrzynce na listy” (redaktor G. M. uważa, że żadne szanujące się pismo nie może obejść się bez takiej „skrzynki”), wydrukowaliśmy niby to odpowiedź literackiemu złodziejowi Gliksmanowi i ostrzegliśmy go, że na przyszłość będziemy już ostrożniejsi z plagiatorami... Co do Rabona, nie zażądał od nas nawet, żebyśmy go przeprosili.

Ciekawe, że Gliksman nie przejął się zbytnio całą sprawą. Powiedział tylko: „Wszyscy tak robią”. Co wszyscy robią? Tego nie wyjaśnia. Nie próbuje się tłumaczyć. Przed kim miałby się tłumaczyć? Przed dziobatym „bachorem ulicy”?

Ledwo ta historia poszła w zapomnienie, a już wynikła następna. W piśmie, które wydawaliśmy, napisałem moją pierwszą recenzję z *Za płotem*

świata Rabona. Panowała wtedy moda, żeby nie zostawiać suchej nitki na krytykowanym i wynajdywać u niego (czy raczej w jego książce) przeróżne błędy, a szczególnie – wpływy i jeszcze raz wpływy... Niedoświadczony i za młody, dostosowałem się do ducha czasu i znalazłem w tomiku Rabona różne rzeczy, do których się przyczepiłem. Szczególnie podkreśliłem wpływ Mojsze-Lejb Halperna. Dzisiaj widzę, że miałem rację, i że byłem dość łagodny, ale wtedy Rabon był na mnie strasznie zły. Ale również ten jego gniew szybko i nieoczekiwanie się wypalił. Kiedy Chaim Wodnik, który przez jakiś czas odgrywał Mefista i cieszył się, gdy mógł intrygować między pisarzami, próbował się wtrącić, niby to ujmując się za Rabonem, ten całkiem ostro mu powiedział, żeby się nie wtrącał w nie swoje sprawy. Dodał morał ze znanej bajki, że tam, gdzie kowal kuje żelazo, żaba nie powinna wkładać nogi.

Naprawdę, nie wiem do dzisiaj, jakie zasługi uratowały mnie od gniewu Rabona, do którego większość pisarzy w Łodzi miała pretensje, a byli nawet i tacy, którzy go unikali.

4.

Mówiliśmy już o tym, że według wizerunku Rabona w jego własnych wierszach daleko mu było do ujmującego młodzieńca, z którym, jak mawiała moja błogosławionej pamięci babcia, można by się wybrać z wizytą do żony rabina lub do aptekarza na herbatę z konfiturami. Sam jego wygląd jakby odstraszał i sprawiał, że wierzyło się we wszystkie historie o nim i o jego „aspołecznych” zachowaniach. Był trochę wyższy od przeciętnej, miał zielonkawoblada twarz upstrzoną wielkimi dziobami, pozostałością po przebytej w dzieciństwie ospie. Przyczyniało się to do wrażenia, że tego człowieka lepiej unikać dla własnego dobra. Owo wrażenie potęgowało się jeszcze, kiedy wpadał w gniew. Twarz robiła mu się wtedy czerwona, a dzioby jarzyły zielonkawo, co odpychało i napawało przerażeniem.

Ze straszną twarzą kontrastowały oczy, brązowe i łagodne, jak u zaspanej kury. Miał też bardzo ładne ręce, z palcami skrzypka. W wieku 27 lat, gdy go poznałem, miał już dużą łysinę i zaczesywał sobie pasmo włosów z tyłu głowy do przodu. Nie zakrywało łysinę, lecz tworzyło na nagiej czaszce czubek, który jeszcze dodawał osobliwości całej postaci (mówiąc nawiasem, Rabon nie był

zadowolony z własnego wyglądu i zawsze nosił przy sobie lusterko, w którym się przeglądał. Grzebykiem ciągle też zaczesywał to pasmo z tyłu głowy na jedną lub drugą stronę i ciągle był przy tym rozczochrany. Czy widzieliście już rozczochraną łysinę?).

Bano się go i go unikano. Ale doceniano jego talent. „Diabelnie zdolny” – mówiono o nim w kręgach literackich. Przewyższał otoczenie nie tylko z powodu swojej poezji, ale i prozy, esejów, a nawet publicystyki. Sam albo ze współpracownikami wydawał pisma literackie oraz był stałym współpracownikiem dziennika „Lódźer Tageblatt” pod redakcją Jisroela Kahana (brata Lazara Kahana), gdzie publikował felietony, a przede wszystkim powieść sensacyjną. Kilkakrotnie próbował też, wspólnie z kolegami, wydawać gazety popołudniowe, które nie miały jednak długiego żywota. Był bardzo przedsiębiorczy i nie ukrywał, że chodzi mu o zarobek. W pewnym sensie był łasy na pieniądze i skąpy. Nigdy nikomu nie zafundował kawy, ale z drugiej strony – nie pozwalał, by go zapraszano. Już nie mówiąc o tym, że z nikim się nigdy nie wdawał w spory finansowe, co się zdarzało innym łódzkim dziennikarzom i literatom, którzy zostali nawet wyłączeni ze związku zawodowego za oszustwa.

Zwykle unikano Rabona z powodu jego ostrego języka. Kiedy się z kimś pokłócił, mógł mu w oczy powiedzieć okropne rzeczy. Co na przykład? Nie, lepiej nie powtarzać, co w takich momentach mówił przeciwnikowi. Czy tamten miał siostrę, czy nie... Wystrzegano się go więc i nie zaczepiano. Miał jednak tę zaletę, że sam też nikogo nie zaczepiał.

Jedynym człowiekiem, na którego się uwziął, był Mojsze Broderzon. Ciągle z nim wojował. Trudno mu jednak było, bo z Broderzona był marny „bojownik” i nie odpowiadał na jego prowokacje. Co zrobił Rabon? Obrzął żonę Broderzona, aktorkę Szejne-Miriam, w grze której, według niego, nie było widać talentu, tylko „symetryczny tyłek”...

I biada temu, kto się za Broderzonem ujmował. Kiedyś nawet wydał ulotkę przeciw „doboszowi ulicznemu” Broderzonowi i jego poplecznikom. Obrzucił w niej dziennikarza Chaima-Jankla Brzustowskiego¹³ wszystkimi możliwymi obelgami w porządku alfabetycznym, a – aferzysta, b – bandyta, c – cham, i tak dalej. Nienawiść do Broderzona brała się po prostu z zazdrości. Ciągle mu się wydawało, że Broderzon odebrał mu pierwszeństwo. Popularność Broderzona i kobieca „symetria” Szejne-Miriam były jego słabym punktem.

¹³ Chaim-Jankl Brzustowski (1893–1941) – prozaik i dziennikarz urodzony w Łodzi.

Aż litość brała, kiedy Rabon się na kogoś złościł. Nawet kiedy się nie złościł, miał skłonność, by mówić do ludzi i o ludziach tak, że nie pomagało to w utrzymywaniu przyjacielskich stosunków. Opowiadał o nich zmyślane historie i choćby go siekano na kawałki, trwał przy swoich wymysłach.

Kiedy Rabon się przy czymś uparł, nie można mu było tego za nic wybić z głowy. W okresie niecałych trzech lat mojego „lewicowania”, z którego stopniowo otrzeźwiałem po procesach w Moskwie, wydałem poemat o młodzieży w małych miasteczkach, która wie, kim był Marks i idzie do walki o nowy świat. W tym samym czasie wydrukowałem też wiersz o młodym chłopie opuszczającym głodującą wioskę, by zostać bandytą czy kimś w tym rodzaju. Rabon poplątał te dwie rzeczy i wyrzucał mi, że napisałem, iż chłop ze wsi wie, kim był Marks. Nie pomogły moje tłumaczenia, nie pomogło nawet, że przyniosłem mu oba teksty i pokazałem czarno na białym, że się myli. Przez jakiś czas się nie odzywał, jakby przyznał mi rację (zgodnie z powiedzeniem: „kto milczy, potwierdza”). Ale później, kiedy już się pożegnaliśmy i przeszedł na drugą stronę ulicy, nagle się obrócił i krzyknął za mną:

– Ale jednak nie powinien był pan pisać, że młodzi chłopci na wsi czytają Marksa.

Ponieważ, jak już mówiłem, odnosił się do mnie wyjątkowo przyjaźnie i dobrotliwie, byłem zmuszony uznać, że to jakiś specyficzny raboniczny humor.

5.

Jego humor – jeśli można tak go nazwać – był złośliwy, miał na celu dotknąć. Nie śmiał się, tylko wyśmiewał.

Prawie nigdy nie opowiadał nic śmiesznego o samym sobie. Ale raz się to zdarzyło. Ktoś go zapytał, dlaczego wybrał sobie taki a nie inny pseudonim. Zamiast odpowiedzieć wprost na pytanie, odrzekł:

– Mój pseudonim kosztował mnie sto dolarów.

– Sto dolarów? – zapytaliśmy zdumieni – Jak to możliwe?

– To jest tak – powiedział i leciutki uśmieszek zaigrał mu w kącikach ust – „Di Cukunft”¹⁴ wydrukowała kilka moich wierszy, poprosiłem więc Radoszyckiego¹⁵,

¹⁴ „Di Cukunft”, opiniotwórcze pismo społeczno-kulturalne w jidysz, wychodzące w Nowm Jorku od 1892 r.

¹⁵ Jicchok-Hersz Radoszycki (1883–1957) – poeta jidyszowy urodzony w Radoszycach, w latach 1906–1920 mieszkał w Łodzi, następnie w USA. Wydał kilka tomików poetyckich.

by odebrał za mnie honorarium i przesłał mi je przez okazję, bo na przelewach przez Danziger Bank¹⁶ adresat dużo traci. Radoszycki zrobił, o co go prosiłem i przesłał te pieniądze – sto dolarów – przez człowieka, który jechał do Łodzi na groby rodziców. Dał mu mój adres przy ulicy Pieprzowej¹⁷ 15 i kazał mu oddać pieniądze Jisroelowi Rabonowi. Pewnego dnia słyszę, jak na podwórzu mówią, że przyjechał gość z Ameryki i szukał jakiegoś „Rabejnu Srueł”¹⁸, dla którego przywiózł sto dolarów. Od razu zrozumiałem, kogo szukał, ale było już za późno. Pewnie wrócił już do Stanów i zabrał ze sobą moje sto dolarów.

Również w swoim pisarstwie Rabon nie zdradzał poczucia humoru. Miał skłonność do groteski i satyry, co wyrażało się w jego przesadzonych opowieściach. Ale raz słyszałem, jak opisuje scenę ze swojego podwórza i był w niej nie tylko klimat Bałut, lecz także prawdziwy humor.

– U nas na podwórzu (zdaje się, że chodziło o ulicę Pieprzową 21, gdzie mieszkał przez jakiś czas, zanim przeprowadził się pod numer 15) „osiedliło się” kilka dziwek, które bez żenady, w biały dzień przyprowadzały do siebie „gości”. Awantury robione właścicielowi, żeby uwolnił z tego podwórza, nic nie pomagały. Nie przepędzał ich, więc prowadziły interes jawnie, na oczach wszystkich. Ponieważ wszystkie inne środki zostały wyczerpane, gospodynie z podwórza same się dobrały do bezwstydnic. W jaki sposób? Ustawiały się w oknach i kiedy jedna z tamtych powadziła do siebie „gościa”, tak go „witały”, że tracił ochotę do grzechu, zostawiał panienkę i uciekał. To było dobre w tygodniu, ale w piątek porządne gospodynie musiały przygotowywać szabat. A akurat w piątek wieczorem był u dziwek największy ruch. Co robić? Kobiety wysyłały na podwórza swoje dzieci. Kiedy te widziały, że panienka prowadzi klienta, krzyczały do matek:

– Mamo! Gość idzie!

Był wśród nich sześciolatek chłopiec, który nie wymawiał „k” ani „g”, ale też dzielnie stał na straży, nie gorzej od większych chłopców. Kiedy tylko panienka z kimś się pokazywała, krzyczał cieniutkim głosikiem:

– Mamusiu, dość idzie!

¹⁶ Danziger Bank für Handel und Gewerbe (Gdański Bank Handlu i Przemysłu, 1921–1933) – bank o kapitale niemieckim, działający w Gdańsku.

¹⁷ Pieprzowa (w jidysz Fefergas) – obecnie ulica Hersza Berlińskiego.

¹⁸ Srueł – zdrobnienie od imienia Jisroel; Rabejnu (dosł. „nasz nauczyciel”) – tytuł przysługujący rabinowi lub cadykowi, tutaj komiczne nieporozumienie wynikające z brzmienia zbliżonego do pseudonimu pisarza.

Mamusia opuszczała wtedy kuchnię z rybami na szabat i stawiała w oknie, by „powitać” grzesznika.

Ktoś z nas zapytał:

– No i co, to pomogło?

Na to Rabon nie odpowiedział. Słuchając tej historii podejrzewałem, że ją wymyślił, może do swojej kolejnej książki o Bałutach.

W tym przypadku Rabon nie wykazał wielkiego zrozumienia dla „ofiar męskiej żądz”, choć w wierszach i powieściach ma do nich wyraźną sympatię. Można nawet powiedzieć, że trochę je idealizuje, podobnie jak Gorki swoich bosiaków i ludzi na dnie. W ogóle w literaturze był to okres, kiedy pisarze interesowali się półświatkiem, szukając tam „prawdziwych” ludzi, bohaterów z charakterem, których słowa i czyny są jednoznaczne. Były to czasy „naiwnego socjalizmu”, zainspirowanego rosyjskim „narodnicestwem”. Również w poezji i prozie Rabona widać ten wpływ, chociaż w rzeczywistości był dość daleko od takich postaci i opisywał je w stylu naturalistycznym, bardzo przesadnie.

Nie mam pojęcia, dlaczego żydowskie partie robotnicze (Bund i częściowo też Lewicowy Poale-Syjon) uważali Rabona za przedstawiciela reakcji, przeciwnika proletariatu. To prawda, że bronił Szolema Asza, na którego bundowcy zorganizowali w swoim czasie nagonkę, bo popierał język hebrajski. O komunistach już nie wspomnę. Oni bez ogródek zaszufładowali Rabona jako sługę burżuazji i faszystę. I chociaż pisał wiersze o biednych służących, o ulicznikach, których nędza skłania do kradzieży i innych ofiarach kapitalizmu, chociaż chciał właśnie udowodnić, że jest pisarzem proletariackim, nic to nie pomogło. Określenie socjal-faszysty przyłgnęło do niego, co być może w jakimś sensie zdecydowało o jego losie. W jaki sposób? Jesienią 1939 roku, uciekając przed Niemcami, Rabon dotarł do Białegostoku, który wtedy był już sowiecki. Między uchodźcami znalazł się również pewien łotr, z którym Rabon przed wojną miał poważny konflikt (było w tym coś z tego, co Francuzi nazywają *cherchez la femme*, ale nie mam ochoty o tym pisać). Ów łotr, jak mówiono, od razu udał się do miejskiego komitetu partii komunistycznej i doniósł, że przybył autor powieści sensacyjnych, sługa Piłsudskiego i faszysta najgorszego rodzaju. Znaleźli się ludzie (jeden z nich był komunistą), którzy ostrzegli Rabona. Poradzili mu, żeby uciekał, bo dopytują się o niego w kręgach, z którymi lepiej nie mieć nic do czynienia. Nie mając innego wyjścia, usłuchał rady, sprzedał wszystko co tylko posiadał (między innymi puchową koldrę) i przeszedł do Wilna przez zieloną granicę, która jeszcze wtedy nie była zbyt strzeżona. Jego los po wejściu

Niemców jest znany. Rabon zginął w Ponarach. Gdyby został w Białymstoku, wszystko potoczyłoby się może inaczej. Może by się uratował, jak niektórzy przebywający tam pisarze, którzy uciekli dalej pierwszego dnia wojny między Hitlerem a Stalinem...

6.

Przed II wojną światową Jisroel Rabon był znany w jidyszowym świecie literackim głównie jako poeta, mniej jako prozaik, a jeszcze mniej jako eseista i publicysta. Jeśli jednak wziąć pod uwagę jego twórczość, uderza mała ilość wierszy. Opublikował trzy tomiki: *Hintern plojt fun der welt (Za płotem świata)*, *Groer friling (Szara wiosna)* oraz *Lider (Wiersze)*. Trudno uwierzyć, że cała jego spuścizna poetycka to nie więcej niż pięćdziesiąt-sześćdziesiąt wierszy. W dodatku trzeba wziąć pod uwagę, że w jego *Wierszach* z 1938 roku przedrukowanych jest kilka utworów z *Szarej wiosny*. Poezję pisał bardzo powoli, dosłownie linijka po linijce. Oprócz tego wiele czasu poświęcał na prozę (powieści i eseje).

Pamiętam, że pewnej zimy byłem w Warszawie i dopiero na wiosnę wróciłem do Łodzi. Kiedy spotkałem Rabona, opowiedział mi z radością, że w ostatnich miesiącach dużo napisał: pięć wierszy, z których trzy już są gotowe do druku, a dwa musi jeszcze doszlifować. Z tych dwóch jeden potem wyrzucił. To znaczy, że w ciągu całej twórczej zimy napisał wszystkiego cztery wiersze, które włączył do tomiku *Szara wiosna*.

Mojsze Broderzon – o czym wszyscy wiedzieli – pisał dużo i z łatwością. Mówiono, że pisuje nocą po ciemku. Leżąc w łóżku był w stanie napisać połowę programu dla teatryku Ararat¹⁹. Raz – jak sam opowiadał – pisał coś po ciemku i szło mu bardzo dobrze. Ale rano chwycił się za głowę! Okazało się, że w jego czerwonym piórze wiecznym zabrakło atramentu i całe pisanie było na nic.

Ponieważ ci dwaj pisarze byli swoimi przeciwieństwami, można było się spodziewać, że jeśli Broderzonowi pisanie przychodzi z łatwością, Rabon będzie pisać mało i z trudem. I tak właśnie było. Rabon często wspominał wielkich poetów, którzy napisali mało, a należą do kanonu literatury światowej. Ile na-

¹⁹ Rewiowo-kameralny teatr Ararat (1927–1936), założony i prowadzony przez Mojsze Broderzona w Łodzi. Występowali w nim m.in. Szymon Dżigan i Jisroel Szumacher.

piisał Rimbaud? – pytał. A był to czas, gdy Rimbaud był dla Rabona poetyckim światłem, które przyświecało mu na drodze twórczej.

Wiele razy odwiedzałem Rabona na uliczce Pieprzowej 15 na Bałutach. Było to jednopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze. Na niedużym stole zauważyłem okazałych rozmiarów blaszane pudełko z pokrywką. Do czego Rabonowi takie pudełko? W jakiś czas potem mi to wyjaśnił: „Kiedy napiszę wiersz, odkładam go do pudełka na miesiąc-dwa. Jeśli mi się podoba, kładę go na stole i patrzę, co trzeba by w nim przerobić. Następnie znowu wkładam go do pudełka i zostawiam na miesiąc-dwa, a jeśli potem przestaje mi się podobać, drę go albo palę. Z tego, co już podarłem albo spaliłem – powiedział na koniec – tamten ‘rymotwór’ już by zebrał kilka książek, daleko lepszych niż jego własne”. Kogo Rabon miał na myśli, doskonale wiedziałem.

– Ale do czego panu potrzebne to hermetycznie zamknięte pudełko? – zapytałem. – Z szuflady wiersze by uciekły?

– Niech pan się tak nie wymądrza – odpowiedział trochę urażony – bałuckie myszy są od pana mądrzejsze...

Jako pisarz jidyszowy w międzywojennej Polsce Jisroel Rabon był bardzo oryginalny, a przede wszystkim – była to wyjątkowa postać. Mojsze-Lejb Halpern powiedział kiedyś podobno Zisze Wajnperowi²⁰, że nasza literatura nie potrzebuje nowych wierszy, tylko nowych twarzy... Rabon był nową twarzą. Chociaż tak naprawdę była to tylko maska. Ale mimo wszystko – coś nowego i wyjątkowego. Człowiek – jak na ówczesne stosunki – z nietuzinkową biografią. Jidyszowy Gorki, który wyszedł z bałuckiej nędzy i został pisarzem. Warto pamiętać, że Rabon był mało, bardzo mało żydowski, zarówno w poezji, jak w prozie. Nie posiadał zupełnie tego bagażu tradycji, jakim środowisko i wychowanie obdarzyło innych jidyszowych pisarzy.

Rabon był pod dużym wpływem Jesienina i Rimbauda. W jego wierszach można również odnaleźć wpływy innych poetów. Literaturę światową, szczególnie poezję, znał jak mało kto. Był nieprzeciętnie uzdolniony, czytał w kilku językach, zwłaszcza po niemiecku i trochę po francusku.

Nie ma sensu wskazywać, który wiersz jest pod wpływem Jesienina (jak *Psia historia*, *Ballada o koniu*, *Pieśń samotnego*, *Pieśń o złodzieju* w tomiku *Za płótem świata*), a który Rimbauda (*Martwy statek*, *Dwoje*, *Róża w wazonie*

²⁰ Mojsze-Lejb Halpern (1886–1932) i Zisze Wajnper (1893–1957) – znani poeci jidyszowi związani z modernistyczną nowojorską grupą Di Junge (Młodzi).

w tym samym tomie); czy też w których wierszach słycać głos Mojsze-Lejba Halperna lub Edgara Alana Poe. Ważniejsze jest to (tak mi się przynajmniej wydaje), że twórczość odzwierciedlała jego biografię, poetycko przedstawioną we wprowadzającym wierszu (a także w innych) w *Za płotem świata*.

Rabon wprowadził do naszej literatury postać chuligana, wagabundy, łobuza, który „nosi na sercu torbę krzyków” i którego ojciec wyrzuca matce, że urodziła mu syna który –

Nie pomagają razy ni słowa nagany,
Ni Boga nie poważa, ni ludzi nie słucha.
Umrze własnym niepokojem wypalony
Gdzieś w turmie przy brzęku łańcucha.

Opowiada dalej w swojej fikcyjnej autobiografii –

Słyszałem ojca, jak znowu mnie karci
I jeszcze mocniej zaciskałem zęby;
Zdawało mi się wtedy, że w karty
Gra wiatr, co po czystym niebie pędzi,
Przebrane gwiazdy – złote ruble – rzuca
W bagno, bandzie wyklętych potworów,
Co jak góry odpadków leżą tam na brzuchach
I rechoczą, aż drży zboże w polu.
I jeszcze przez szybę okienną widziałem
Jak księżyc rośnie, puchnie w gniewie i w rozterce
Więc zaraz, by się noc na powrót zakryła woalem
Wiatr księżyc ugodzi nożem prosto w serce.

Ten wiersz kończy się, jak przystało na fikcyjną biografię, inwokacją poety-
-chuligana do zmarłego ojca:

O, przeklinałem wespół z łobuzami,
A w szabat jadłem wieprzowe kotlety,
Hodowałem gołębie, jednak mimo wszystko
Wraz z Jehudą Halewim mam miano poety.
Halewi, co wyrastał w złocie i jedwabiach
Umrzeć w Ziemi Świętej pojechał z ochotą;
Ja, by na grobie Lekerta²¹ czcić czerwoną flagę
Do samego Wilna udam się piechotą!

²¹ Hirsch Lekert (1880–1902) – szwec i rewolucjonista żydowski, członek Bundu, skazany w 1902 r. na śmierć za próbę zamachu na gubernatora Wilna, Victora von Wahl.

Kto by wtedy pomyślał, że rzeczywiście pojedzie do Wilna i tam zakończy życie w Ponarach... Fantazja stała się rzeczywistością, ale jakże jej było daleko do poetyckich wizji, jakie snuł w swoim czasie w Łodzi.

7.

Kiedy poznałem Rabona, miał 27 lat. W wieku 15 lat zaczął pisać humorystyczne wiersze. Potem pisał już poezję poważną i publikował w pismach, które wydawał sam lub z przyjaciółmi. Co się stało z tymi tekstami? Czy weszły do jego debiutu książkowego *Za płotem świata*? Trudno powiedzieć. Jeśli w Polsce zachowała się instytucja, w której zebrano wszystkie łódzkie publikacje z okresu międzywojennego, trzeba by w niej spędzić tygodnie, a nawet miesiące, przeszukując archiwa.

Kiedy poznałem Rabona, w kręgach literackich panowała opinia, że już „wyszedł na ludzi” – że nie jest taki zgorzkniały, jak we wcześniejszych latach. Również w jego poezji w tomiku *Szara wiosna* widać już tę nową, łagodniejszą twarz Rabona. Albo raczej: z jego twarzy zaczęła powoli znikać maska chuligana i przeświecało przez nią prawdziwe oblicze poety, którego nie złamała trudna młodość. W jego wierszach pojawiły się nowe tony, nowe wizje. Właściwie nic w tym dziwnego. Coś z lirycznego, delikatnie elegijnego nastroju było już w poprzednich wierszach, ale nie zwrócono na nie uwagi, może dlatego, że nie pasowało to do wizerunku przedstawiciela bohemy.

Takie wiersze, w których slychać i krzyk protestu cygana-buntownika, i liryczny śpiew uczuciowego poety, można znaleźć jeszcze w *Za płotem świata*. Zacytujemy tylko jeden z nich, który najlepiej wyraża ewolucję stylu pisarza:

Modlitwa o spokój

Boże,

Widziałeś zachód słońca we mnie,
Widziałeś jak krew zasypia we mnie.

Widziałeś, jak serce płacze we mnie,
Widziałeś, jak świat się żali we mnie.

Widziałeś, jak radość znika we mnie,
Widziałeś, że sam umierasz we mnie.

Widziałeś, jak ktoś się śmieje we mnie,
Pustym śmiechem ktoś się śmieje we mnie.

Widziałeś, że wiatr hula we mnie,
Jak na jesiennym polu wyje we mnie.

Widziałeś, jak każdy członek we mnie
Snu pragnie, wiecznego odpoczynku we mnie.

Boże,

Nie zgotowałem nic dla Ciebie we mnie,
Jak ofiarny gołąb leży serce we mnie.

Weź sobie moje serce, zostaw spokój we mnie
By ukołysał na śmierć duszę we mnie.

Bezbożnik Jesienin spotkał się tu z religijnym Rainerem Marią Rilke, a francuska poezja symbolistyczna splotła się z elegijną niemiecką poezją imażynistyczną. To właśnie spotkanie jest wyczuwalne w późniejszych wierszach Rabona.

W jakiś czas potem Rabon odniósł wielki sukces swoimi groteskowymi wierszami *Pogrzeb*, *Żydożerca*, *Huśtawka*, *Mistrz Raabe*, *Wesele*, *Handlarz kotami*, gdzie groteska obnaża bezgraniczny smutek. Ale wydaje mi się, że jeśli chcemy poznać poetycką esencję Rabona, trzeba jej szukać nie w tych groteskowych wierszach, ale w takich jak *Zmierzch*, *Nad spokojną wodą widzę*, *Modlitwa o spokój* (który zresztą był wydrukowany w pierwszym tomiku Rabona). Nie mogę ich tu wszystkich przytoczyć, więc ograniczę się do dwóch.

Zmierzch

Jak policzki umarłej dziewczyny
Blady jest nieboskłon.
Płomień woskowej świecy
Smutno igra na ciemnych butelkach wina
Pij, duszo moja, samotność!

Śpiące ptaki kładą głowy na gałęziach
Zamykają oczy.
Zachryple zegary biją pierwszą, drugą,
W ciszy ciemnej nocy.

Dwie łzy zabląkane w powietrzu
Spływają na ziemię.
Teraz cichy szept
Przechodzi w milczenie.

A oto wiersz napisany w tej samej muzyczno-obrazowej tonacji:

Nad spokojną wodą widzę
Kobiety w czerni, stoją nieuchome.
Statku mej samotności
Czy nie tęsknisz za domem?

Zima przyszła. Śnieg pada.
Na bezdomnych i chromych:
Trzech ma zsiniałe twarze,
Na łachmanach żdźbła słomy.

W ciemnych oknach dzieci widzę.
Zmarłe noski rozplaszczone.
Czego szukasz, biedny człowieku?
Wiesz chociaż, co utracone?

Długie białe drogi widzę
Smutne wilki idą w borze.
Dzisiaj znów wybije północ –
Dlaczego się lękam, Boże?

Nie ma wątpliwości, że w krótkim czasie Rabon bardzo się rozwinął poetycko. Świadczą o tym oryginalne wiersze, które właśnie zacytowaliśmy. Ale trzeba powiedzieć, że nie zrobiły na czytelniku takiego wrażenia, jak wczesne utwory (w *Za płotem świata*). Dlaczego? Odpowiedź nasuwa się sama: w tych pierwszych widać nową twarz (nawet jeśli to tylko maska), a pamiętamy przecież życzenie Mojsze-Lejb Halperna – nowe twarze, nie nowe wiersze.

8.

Rabon, jak wiemy, wydał dwie powieści: *Ulicę* i *Bałuty*. W dzienniku „Hajnt” drukował też trzecią powieść, która nie ukazała się w postaci książkowej.

Pisząc o Rabonie, trzeba przyjrzeć się jego powieściom równie dokładnie, co utworom poetyckim. Przeszkodą jest jednak to, że nie ma do nich dostępu, a raczej, że ja go nie mam.

Pamiętam, że *Ulica* wywarła wielkie wrażenie na czytelnikach i krytykach żydowskich. Była napisana pod wpływem *Głodu* Knuta Hamsuna, pełnego wypadków i postaci o specyficznej oryginalności. W powieści Rabona są wspaniałe karty – szczególnie opis matki bohatera w długim czarnym płaszczu, wyciągającej rękę po jałmużnę na głównej ulicy wielkiego miasta. Nie ma pieniędzy na powrót do miasteczka, skąd przyjechała z synkiem do lekarza. Ta scena, wzięta z życia autora, wryła mu się w pamięć na całe życie. W powieści są jednak również obrazy, wydarzenia i typy, które pisarz wymyślił, by zrobić wrażenie na czytelniku. Jak scena, gdzie narrator nocą na polu bitwy wchodzi do brzucha zabitego konia, by uchronić się przed dotkliwym mrozem. Kiedy rano stamtąd wychodzi, końska krew na nim zamarza, nie może zgiąć ramion i zastygają rozłożone na kształt krzyża. To straszny obraz, ale to tylko fantazja. Nie jest przeżyty, tylko wymyślony. Takich scen jest w powieści wiele: na przykład poeta-grafoman, odczytujący swoje wiersze na arenie w pustym cyrku, dokąd zakrada się po przedstawieniu. I tym podobne rzeczy, o których Tolstoj mawiał, że straszą, ale się ich nie boi.

Na wyższym poziomie artystycznym stoi powieść *Bałuty* (choć istnieją na ten temat różne zdania). W niej też są dziwaczne naturalistyczne obrazy, wymyślone, by przestraszyć. Na przykład orgia półświatka w podmiejskiej rzeczce i walka nagich bandytów ze złymi psami, które właściciel na nich szczuje. Ale w *Bałutach* znajdziemy autentyczne ludzkie postacie, jest tam charakterystyczna atmosfera biednego łódzkiego przedmieścia i prawdziwie poruszające sceny. Na przykład ta, jak dwie małe sieroty wracają z pogrzebu ojca (o ile się nie mylę), a za nimi idzie pies z podwórza. To mi się naprawdę wryło w pamięć. Są tu momenty liryczne, jak również szereg opisów dowodzących, że jako prozaik Rabon posiadał duże możliwości.

Z jego esejów i artykułów o literaturze pamiętam szczególnie: znakomity esej o Markizie de Sade; polemiczny tekst o jidysz, hebrajskim i Szolemie Aszu; rozprawę o tomiku wierszy J. M. Najmana. Były jeszcze inne artykuły w wydawanym przez Rabona piśmie „Os”. Pismo to, znakomicie redagowane, spotkało się z dużym uznaniem. Z drugiej strony przysporzyło mu niemało przeciwników, jak to się, niestety, zwykle zdarza w naszych jidyszowych kręgach literackich.

9.

Mojsze Broderzon mawiał, że Rabon jest czymś w rodzaju Kaspara Hausera. Skąd to porównanie?

– Co wiecie o rodzicach Rabona? – pytał Broderzon, by je uzasadnić – wiecie coś o jego domu, o jego rodzeństwie? Gdzie się urodził? Czego się uczył? Pokażcie mi jednego pisarza – kończył Broderzon – o którym tak mało wiadomo jak o Rabonie. Jest Kasparem Hauserem, przez to wzbudza lęk.

To oczywiście nieprawda, że Jisroel Rabon wzbudzał lęk otoczenia. Ale rzeczywiście bardzo mało o nim wiadano. Chodziły słuchy, że jeden z jego starszych braci musiał uciekać do Niemiec, bo był zamieszany w jakąś kryminalną aferę. Szemrano też, że jego starsza siostra zesłała na złą drogę... Czy to prawda? Czy wrogowie nie mścili się na nim za zmyślane historie, które o nich opowiadał?

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek mówił o swojej matce. Tylko raz mi powiedział, że w mieszkaniu przy Pieprzowej 15 mieszkały przedtem jego matka i młodsza siostra. Kiedy ta wyszła za mąż, przeprowadziła się z mężem i z matką na ulicę Zawiszy, sto metrów od mieszkania, w którym został Rabon. Kiedy przeniósł się do Warszawy, licząc na to, że w stolicy, w największym ośrodku żydowskim w Polsce, będzie mu łatwiej utrzymać pismo „Os” – z powrotem oddał to mieszkanie matce. Zresztą również wcześniej od czasu do czasu przemieszkiwał w wynajętych pokojach, ale zawsze wracał na Pieprzową 15. Był taki pisarz o nazwisku Blejchman, autor książki pod tytułem *Krew nad Cisą*²², który znał Rabona od dziecka. Chociaż bawili się na tej samej ulicy, czy nawet na tym samym podwórku, nic o sobie nie opowiadali – nie dlatego, że nie chcieli wyjawiać jakichś tajemnic, tylko po prostu uważali, że nie ma o czym mówić.

Jednego interesującego szczegółu z życia Rabona jednak się od Blejchmana dowiedziałem. W wieku siedemnastu lat dawali lekcje czytania i pisania chłopcom i dziewczynkom mieszkających przy ulicy Pieprzowej. Blejchman powiedział raz Rabonowi, że trzeba pomyśleć o przyszłości i nauczyć się jakiegoś fachu. Rabon milczał niezadowolony. Potem zapytał:

- A jakiego fachu chciałbyś się nauczyć?
- Krawiectwa – odpowiedział Blejchman.

²² J. Blejchman, *Blut baj der Tise, a chronik fun a jungn arbeter*, Lodz 1932.

– A w czym, powiedz – odparł Rabon – pisarstwo jest gorszym fachem od krawiectwa?²³

Również Chaim Wodnik opowiedział mi interesujący szczegół z życia Rabona: przy ulicy Zawiszy na Bałutach (niedaleko Pieprzowej) znajdowało się kino Flora, gdzie pokazywano amerykańskie westerny, bardzo lubiane przez publiczność. Był jednak taki problem, że widzowie nie mogli czytać polskich napisów, a angielskiego też nie znali. Każdego piątkowego i sobotniego wieczoru zatrudniano więc człowieka, który tłumaczył, co się dzieje na ekranie. Pierwszym „tłumaczem” był Chaim Wodnik, który wyrażał się ordynarnie i żartował sobie z widzów. Kiedy interes mu się znudził, przekazał go siedemnastoletniemu wówczas Rabonowi, który w białym wykładanym kołnierzyku wyglądał jak licealista. On też komentował wydarzenia z przymrużeniem oka, ale utrzymując publiczność w napięciu. Wychodziła z tego historia nie mająca wielkiego związku z tym, co pokazywano na ekranie. Ale widzowie połykali rabonowską wersję filmu z zachwytem. Możliwe, że od tych wyjaśnień w bałuckim kinie wzięły się później jego sensacyjne powieści, które też odnosiły wielki sukces u czytelników.

Raz rozmawiałem z Rabonem o poezji i pracy nad tekstem. Opowiedział mi, że w *Szarej wiosnie* wydrukował wiersz, w którym cztery razy zmieniał ostatni wers i skończyło się na tym, że postanowił przerobić całość. Był to wiersz o wcześniej wspomnianym kinie i o publiczności. Bardzo dobry, choć trochę zbyt naturalistyczny. W pierwszej wersji ostatnia linijka brzmiała: „I nikt nie zważa, że jakiś facet sika w kącie”. Jednak wydawało mu się to zbyt wulgarne, nieładne, więc poprawił na: „I nikt nie widzi, że jakiś chłopak sika w kącie”. Po pewnym czasie ponownie przeczytał wiersz i znowu koniec mu się nie spodobał, więc zamienił go na: „I nikt nie widzi, jak dziecko siusia w kącie”. To się już zupełnie nie nadawało, bo kto w kinie wie, że jakieś dziecko poszło do kąta za potrzebą? Ostatnia przeróbka brzmiała: „I nikt nie widzi, jak dziecko płacze w kącie”. To miał być neutralny wers, ale odebrał wierszowi pointę. Rabon mnie zapewnił, że będzie go przerabiał, dopóki go całkowicie nie zadowolili.

Rabon bardzo rzadko mówił o sobie, o swoich osiągnięciach literackich i zasługach. Wyjątkiem były jego sukcesy u kobiet, o których, owszem, lubił opowiadać, i to bez zahamowań (w końcu wychował się na Bałutach). Kiedyś odwiedziłem go w zimowy dzień, około pierwszej w południe. Kiedy tylko wsze-

²³ W jidysz gra słów między „szrajberaj” – pisarstwo i „sznajderaj” – krawiectwo.

dłem do niego do mieszkania, podniósł ze stołu francuską powieść i powiedział:

– Widzi pan, dopiero co wyszła stąd wykształcona dama. Proszę popatrzyć, czyta francuskie powieści.

Wykształcona czy nie, ale dama. Nie jest tajemnicą, że ten dziobaty łysawy mężczyzna miał powodzenie u kobiet, w każdym razie u pewnych kobiet. Tej zimy kiedy byłem w Warszawie, miał gorący romans z żydowską nauczycielką z Wilna, która przyjechała na semestr do Łodzi. Potem romansował z córką łódzkiego producenta mebli. O nauczycielce nigdy nie mówił. O córce producenta mebli owszem mówił, niekoniecznie bardzo elegancko.

Opowiadają, że z powodu kobiety (nie-Żydówki) pozostał w Wilnie i zaniebął wyjazdu stamtąd, zanim zaczęła się niemiecko-sowiecka wojna. Potem było już za późno.

Był ode mnie starszy o niecałe dziesięć lat, ale w swoim stosunku do mnie był więcej niż dżentelmenem, był – przyjacielem. Kiedy dostałem pracę w gazecie „Folksblat” i oprócz pracy redakcyjnej drukowałem tam też reportaże, wielu moich kolegów szemrało, że kończę się jako poeta. Rabon, jak mi przekazano, bardzo mnie bronił. Myślę, że bronił też przy tym samego siebie, bo i na niego napadano, dlaczego pisuje w gazetach „emocjonujące powieści”. Oni uważają – powiedział do mnie – że jak tylko napisze się wiersz, nie mówiąc o wydaniu całego tomiku, należy żyć na koszt ludu. Czyli się objać i czekać, aż jakiś „frajer” zafunduje ci kieliszek wódki z ogórkiem na przegryzkę.

Po „wspaniałym” przyjęciu, jakiego zaznał w Białymstoku od owego łódzkiego typa, z którym przedtem wszedł w konflikt, Rabon zrozumiał (i dano mu do zrozumienia), że nie ma dla niego miejsca w strefie sowieckiej. Wilno należało wtedy do Litwy i nadchodziły stamtąd dobre wieści o wolnym życiu. Oprócz tego w Wilnie znajdowali się jego bliscy koledzy J. J. Trunk i J. M. Najman. Było więc jasne, że powinien tam się przenieść, by znaleźć się między swymi.

Umówiliśmy się u doktora Nachmana Priluckiego i udaliśmy się na pociąg, którym Rabon miał pojechać do Lidy, a stamtąd przejść przez zieloną granicę. Nie było to jeszcze wtedy specjalnie niebezpieczne, ale jeśli wpadło się w ręce sowieckich wartowników, szło się na Sybir.

Szliśmy w milczeniu. Przed dworcem pożegnaliśmy się. Że ja miałem łzy w oczach, to pewne, ale mógłbym z czystym sumieniem przysiąc, że on również. Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozstaliśmy się. Zaraz jednak objął się od-

wróciliśmy i zaczęliśmy iść sobie na przeciw. Przyszły mi wtedy na myśl różne chwile z naszej przyjaźni. Przypomniałem sobie wszystko, co dla mnie zrobił i bolało mnie, że nie mogłem mu w niczym pomóc. O czym on myślał w tym momencie – nie wiem, ale w jednej chwili zbliżyliśmy się do siebie i się uściskaliśmy.

Zacząło się robić ciemno. Długi, smutny gwizdek pociągu zapowiedział, że już czas. Nadszedł ostateczny moment rozstania.

Tłumaczyła z jidysz Natalia Krynicka

BAŁUTY. SZKIC HISTORYCZNY

JACEK WALICKI

1. CZAS AKCJI POWIEŚCI

Powieść Jisroela Rabona *Balut (Bałuty)* powstawała na początku lat 30. XX w., jednak – jak z jej treści wynika – akcja toczy się wcześniej, w ostatnich latach przed I wojną światową. Najwcześniejszy okres to lato 1911. Świadczy o tym wzmiankowanie w niej sprawy Menachema Bejlisa, oskarżonego o mord rytualny dokonany na uczniu szkolnym w Kijowie w czerwcu 1911 r. Już po paru tygodniach sprawa stała się powszechnie znana i omawiana w prasie – od czarnoseciennej po socjalistyczną wśród chrześcijan, od asymilatorskiej po bundowską wśród Żydów. Sam proces odbył się jesienią 1913 r.¹ Datą końcową jest lato 1914 r. – i to raczej nie mord sarajewski z 28 czerwca, lecz rosyjska mobilizacja z końca lipca, gdyż dla takiej specyficznej społeczności, jaką opisuje Rabon, miesiąc dyplomatycznych działań prowadzących do wybuchu wojny nie był raczej przedmiotem zainteresowania. Najbardziej prawdopodobne jest to, że Rabon planował umieszczenie akcji w bogatym w wydarzenia okresie 1912–1914 – kolejnego kryzysu gospodarczego, związanego z tym wzrostu aktywności politycznej społeczeństwa, wywołanego także wyborami do IV Dumy i będącego wynikiem zaognienia się stosunków polsko-żydowskich, które wyraziło się przede wszystkim w akcji bojkotowej. Zawarta w książce informacja, że w roku, w którym odbywa się jej akcja, święto Szawuot było w tym samym dniu, co Zielone Świątki, wskazuje nawet na konkretny rok: 1914. Dlatego też wykorzystane w niniejszym wprowadzeniu informacje prasowe pochodzą głównie z kilku ostatnich lat przed I wojną światową.

Książka, napisana w stylu naturalistycznym, wręcz werystycznym, nie powstała w całości. To, co zostało opublikowane, praktycznie stanowi tzw. ekspozycję, przedstawienie jej bohaterów i miejsca, w których dzieć się będą dalsze ich

¹ Por. R. Weinberg, *Blood Libel in Late Imperial Russia. The Ritual Murder Trial of Mendel Beilis*, Bloomington 2013.

przygody. Z końcowej części istniejącego fragmentu powieści możemy domyślać się, że spotkanie najważniejszych wcześniej opisanych postaci w areszcie policyjnym jest początkiem zawiązania zasadniczej akcji, która – sądząc z okoliczności publikacji tekstu – zapewne przybrałaby postać tzw. powieści apaszowskiej, czyli utworu opisującego życie półświatka wielkiej metropolii (co prawda nie Paryża, skąd gatunek ten się wywodzi, ale jednego z największych miast Polski).

2. BAŁUTY – POWSTANIE OSADY MIEJSKIEJ

Bałuty powstały w wyniku inicjatywy trzech osób: właściciela dóbr Łagiewniki Augusta Zawiszy i dwóch kupców żydowskich – Icka Bławata i Icka Birencwajga. Pierwotnym celem było utworzenie wieczystoczynszowej „osady fabrycznej”, przeznaczonej między innymi, ale nie tylko, dla Żydów, których prawa zamieszkania na obszarze Łodzi ograniczone były wówczas, w 1858 r., do tzw. rewiru żydowskiego². Między współnikami doszło rychło do sporów, co doprowadziło do dzikiej parcelacji. Problemy z tym związane, skutkujące nieuregulowanym lub wątpliwym stanem prawnym poszczególnych nieruchomości, ciągnęły się dziesiątkami lat³. Właśnie w 1912 r. doszło do sporu o Rynek Bałucki, który nabyło od współwłaścicieli resztówki folwarku Bałuty Towarzystwo Akcyjne Łódzkich Wąskotorowych Elektrycznych Kolejek Dojazdowych, eksploatujące linię do Zgierza, celem umieszczenia tu zajezdni i budynków administracji. Tymczasem władze gminne stwierdziły, że Rynek Bałucki stanowi wspólną własność osadników⁴. Sprawa ciągnęła się dosyć długo; ostatecznie Rynek został uznany za własność osady Bałuty⁵.

3. „ZŁE PRZEDMIEŚCIE”

Bałuty były „złym przedmieściem”, podobnie jak Chojny. W *Ilustrowanym przewodniku po Łodzi i okolicach z planem miasta i mapką okolic*, wydanym w Łodzi przez Stanisława Miszewskiego w 1912 r. o tych przedmieściach nie ma wzmianki, choć możemy poczytać o Zgierzcu, Pabianicach, Aleksandrowie czy nawet Kochanówce – wzorowym szpitalu dla psychicznie chorych.

² F. Friedman, *Dzieje Żydów w Łodzi od początków osadnictwa do roku 1863*, Łódź 1935, s. 88–90; W. Puś, *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793–1914*, Łódź 1998, s. 10–19.

³ Bardzo szczegółowe przedstawienie por. M. Sygulski, *Historia Bałut*, t. 1: *Kolonizacja*, Łódź 2003, *passim*.

⁴ *Kronika*, „Rozwój”, nr 275, 29 XI 1912, s. 4.

⁵ Por. Protokół z posiedzenia Komisji ds. Przedmieść Rady Miejskiej w Łodzi, z 17 VII 1918 r., APŁ, Akta m. Łodzi, sygn. 13547, k. 15–15 v.

W gazetach łódzkich przedmieście gościło często w *Kronice* kryminalnej. Typowe były wzmianki jak:

Nożowiectwo. Wczoraj wieczorem naprzeciwko domu nr. 13 przy ul. Zawadzkiej na Bałutach niewiadomi złoczyńcy napadli na przechodzącego Chaima Holcmana lat 19 zamieszkałego przy ulicy Fajfra nr. 3 i zadali mu 2 ciężkie rany nożem. Holcmana odwieziono do szpitala im. małż. Poznańskich⁶.

Krwawe wesele. Wczoraj po południu na Bałutach w domu p. Bednarka przy ul. Łagiewnickiej róg Dolnej odbywało się wesele. Pomiędzy družbami znalazł się jakiś awanturnik, który wszczął kłótnię, a następnie bójkę zażartą. Podczas bójki trzech družbów odniosło ciężkie rany od uderzeń dragami żelaznymi. Jednemu z nich siekierą odcięto rękę. Wezwana policja zaopiekowała się awanturnikiem i odwiozła go do aresztu policyjnego. Rannych opatrzyło Pogotowie ratunkowe⁷.

Zdarzały się też ciekawsze przestępstwa. Na początku marca 1912 r. pisano w prasie, że „policja aresztowała szajkę oszustów, którzy za pomocą przygotowanej mieszaniny i proszku, powlekali miedziane monety kopiejkowe, nadając im wygląd starych monet wykopanych z ziemi i następnie przez pośredników sprzedawali jako znalezione «skarby»”⁸.

Jedną z przyczyn takiej sytuacji było małe zainteresowanie policji tym rejonem miasta – zamożniejsi mieszkańcy, właściciele nieruchomości w osadzie chcieli nawet dopłacać policji za zwiększenie liczby stójkowych⁹!

4. BAŁUTY PRZED I WOJNĄ ŚWIATOWĄ

4.1. „NAJWIĘKSZA WIEŚ EUROPY”

Bałuty w ostatnich latach przed I wojną światową były największą wsią Europy i wchodziły w skład gminy Radogoszcz. W gminie tej obowiązywały przepisy dotyczące zarządu terenów wiejskich, wprowadzone w okresie przebudowy z polskiego na rosyjski systemu administracji Królestwa Polskiego, co nastąpiło w latach po powstaniu styczniowym. Przepisy te formalnie oddawały samorząd gminny

⁶ *Kronika*, „Rozwój”, nr 5, 8 I 1912, s. 3.

⁷ *Kronika*, „Rozwój”, nr 183, 12 VIII 1912, s. 3.

⁸ *Kronika*, „Rozwój”, nr 27, 3 II 1912, s. 4.

⁹ *Kronika*, „Rozwój”, nr 272, 26 XI 1912, s. 4.

i wiejski w ręce gospodarzy, dysponujących określoną ilością ziemi tzw. „ukazowej”, tj. pochodzącej z uwłaszczenia w 1864 r. W sprawach mniejszej wagi sądził sąd gminny¹⁰, który musiał borykać się ze sprawami charakterystycznymi raczej dla wielkiego miasta, niż wsi¹¹. Sąd – mimo że posiadał dwu sędziów o wysokich jak na takie stanowisko kwalifikacjach, jednoosobowo wydających wyroki – był przeciążony pracą¹². W roku 1912 sędzia rozpatrzył 13 tys. spraw, prawie dziesięć razy tyle, ile w typowym sądzie gminnym Królestwa. Rzecz jasna, że występowały znaczne opóźnienia i „sprawy nierozstrzygnięte piętrzyły się w kancelarii sądowej w zastraszający sposób i leżały latami całymi”¹³. Jak pisano w „Gazecie Łódzkiej”:

Samych spraw mieszkaniowych w sezonie przeprowadzek rozstrzyga się na każdym posiedzeniu do 300 naraz, z drugiej strony terytorium okręgu sądowego jest najgorzej notowane w kronice policyjno-kryminalnej, codzienne kradzieże, nożowe rozprawy i rozboje. Sprawy o przekraczaniu przepisów akcyzy i t. d. dają codziennie kilkanaście spraw karnych i kryminalnych, jakie muszą być niezwłocznie sądzone, gdyż w większości spraw przestępcy w kryminalne oczekują wyroku sądowego, poza tym co sobota odbywają się posiedzenia sądowe rad rodzinnych, na których sędzia rozstrzyga sprawy spadkowe, działy majątkowe pomiędzy sukcesorami, mianuje opiekunów niepełnoletnich i t. d. W rezultacie sędzia jest prawie jedynie zajęty sprawami z natury swej niecierpiącymi zwłoki¹⁴.

Stan ten spowodował, że w połowie 1913 r. władze gminy Radogoszcz wystąpiły z projektem znacznej rozbudowy Sądu Gminnego¹⁵.

Sprawę zarządu Bałut dodatkowo komplikował fakt, że tereny pochodzące z parcelacji ziemi folwarcznej traktowane były według odrębnych zasad, praktycznie pozbawiających ich mieszkańców – nawet właścicieli nieruchomości – większości uprawnień samorządowych¹⁶. Z kolei tereny, niegdyś należące do

¹⁰ Zakres kompetencji i przepisy, którymi sądy te się kierowały; por. *Podręcznik dla sądów gminnych Królestwa Polskiego*, t. 1–3, wyd. S. Budziński, W. Miklaszewski, S. Okolski, Warszawa 1876–1877.

¹¹ Na przykład niewłaściwa jazda na ulicach; por. *Kronika*, „Rozwój”, nr 104, 6 V 1912, s. 3.

¹² *Kronika*, „Rozwój”, nr 120, 4 VI 1912, s. 3. W związku z tym planowano po przyłączeniu Bałut do Łodzi utworzenie na ich terenie 2–3 sądów pokoju; *Kronika*, „Rozwój”, nr 286, 11 XII 1912, s. 4.

¹³ *13 000 spraw rocznie w bałuckim gminnym sądzie*, „Gazeta Łódzka”, nr 13, 17 I 1913, s. 4; *O sąd na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 155, 9 VII 1913, s. 4.

¹⁴ *13 000 spraw rocznie...*, s. 4.

¹⁵ *O sąd na Bałutach*, s. 4.

¹⁶ „Bałuty Nowe (obywatele na ziemi folwarcznej), niewłączone do wspomnianego ukazu, nie korzystają z prawa o samorządzie gminnym i gromadzkim, i mieszkańcy nie mają prawa

chłopów, którzy otrzymali je na podstawie reformy uwłaszczeniowej z 1864 r., choć praktycznie nieodróżnialne od pochodzących z parcelacji folwarku¹⁷, podlegały specjalnym ograniczeniom. Przez długi czas nie były one respektowane, aż na przełomie listopada i grudnia 1913 r.:

[...] otrzymali nakaz od władz wykonawczych, oparty na żądaniu komisarza do spraw włościańskich, aby bezzwłocznie usunęli z domów swych wszystkich lokatorów Żydów. Ponieważ Żydzi zajmują wszystkie większe i droższe lokale oraz sklepy, przeto z chwilą wprowadzenia w życie tegoż nakazu, właściciele nieruchomości poniosą znaczne straty. Wobec tego grupa tychże obywateli udała się w dniu wczorajszym do gubernatora piotrkowskiego, przedstawiając mu opracowany memoriał w tej sprawie. O ile Żydzi zostaną wyrugowani z tej miejscowości, delegacja prosi o zredukowanie normy podatkowej do poziomu opłacanej przez wsie okoliczne. Wysiedlenie grozi przeszło 100 rodzinom żydowskim¹⁸.

Gospodarka komunalna we wszystkich trzech administracyjnych częściach Bałut budziła poważne zastrzeżenia:

Od pewnego czasu obywatele na Bałutach utyskują, że sołtysi pobierają znacznie większe składki na budowę i naprawę mostów i na oświetlenie ulic, niż tego wymaga potrzeba, że niepotrzebnie opłacają drogo dozorcę nad tymi czynnościami, że lokale na szkoły są wynajęte nieodpowiednie i zbyt drogo płatne, że znaczne sumy z funduszków szkolnych idą na inne cele, że aż kilka tysięcy rubli zbiera się od obywateli na opłacenie sołtysów i dozorczy, że nie są zwoływane zebrania kwartalne gromadzkie...¹⁹

obiuru ani wójta, ani sołtysów, ani poborcy, ani pełnomocników, chociaż prowadzą oddzielną gospodarkę gromadzką, nie mają administracji, która mogłaby prawnie opiekować się sprawami gromadzkimi” – S. Olawski, *W sprawie przyłączenia Bałut do Łodzi (artykuł nadesłany)*, „Rozwój”, nr 264, 16 XI 1912, s. 4.

¹⁷ „W skład obecnego przedmieścia łódzkiego, Bałut, wchodzi wieś Stare Bałuty, jednakże granica między gruntami włościańskimi a dworskimi istnieje tylko na mapkach pomiarowych. Grunta włościańskie zachodzą na pryncypalne ulice Bałut: Zawadzką, Brzezińską i inne, obywatele zaś tej miejscowości uważają się poniekąd za mieszkańców miasta, płacą zwiększone podatki, posiadają policję miejską i t. d.” – *Żydzi na Starych Bałutach*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 96, 16 XII 1913, s. 4.

¹⁸ *Ibidem*.

¹⁹ *Gospodarka na Bałutach*, „Rozwój”, nr 274, 28 XI 1912, s. 2. Kontrola ze strony władz gubernialnych nie wykazała nadużyć, por. *Kronika*, „Rozwój”, nr 298, 24 XII 1912, s. 6. Walka o wybór nowych sołtysów była zacięta, połączona z odwoływaniem się do władz nadzorczych i unieważnianiem głosowań – *Wybory sołtysów na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 28, 4 II 1913, s. 3; *Sprawy bałuckie*, „Gazeta Łódzka”, nr 55, 7 III 1913, s. 3; *Wybór sołtysów na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 65, 19 III 1913, s. 3. Ostatecznie zwyciężyła „opozycja”

4.2. LUDNOŚĆ: NARODOWOŚCI I RELIGIE

Liczba ludności Bałut wynosiła w 1910 r. 97 tys., z tego 52 tys. katolików, 21 tys. ewangelików i 20 tys. Żydów²⁰. Rozmieszczenie narodowości zamieszkujących dzielnicę było charakterystyczne, istniały odrębne obszary, charakteryzujące się przewagą ludności polskiej czy żydowskiej.

Katolicy zamieszkujący Bałuty mieli swą parafię w Łodzi na Starym Mieście, a kościół filialny pw. Dobrego Pasterza w samej osadzie. Luteranie przynależeli do łódzkiej parafii św. Trójcy²¹. Podobnie było z Żydami – wchodzili w skład łódzkiej Gminy Wyznaniowej²² i brali aktywny udział w jej życiu. Między innymi na Bałutach toczyła się ostra walka o następstwo po zmarłym w 1912 r. rabinie Majzlu. Istniało tu także szereg chederów i domów modlitwy, często należących do zwolenników różnych rodzajów chasydyzmu. Tylko nieliczne z nich były zalegalizowane przez władze administracyjne i Gminę Wyznaniową²³. Zachowana lista wymienia ich czasem po kilka przy jednej ulicy²⁴.

Ponadto na Bałutach mieszkali luteranie (w zasadzie – Niemcy) oraz przedstawiciele różnych drobniejszych wyznań, jak mariawici czy baptyści, którzy mieli dom modlitwy przy ul. Rejtera 7, a planowali kosztem 20 tys. rubli budowę okazalszego obiektu²⁵.

4.3. CHAOS ZABUDOWY

„Osada fabryczna” Bałuty Nowe liczyła 134 dziesięciny powierzchni, czyli 146,4 ha i 55 ulic, przy których stało ok. 2800 budynków (z tego 800 drewnianych i półdrewnianych), krytych głównie papą²⁶. Cechą charakteryzującą Bału-

i doszło do zmian personalnych na stanowiskach – *Z sąsiedztwa. Zatwierdzenie sołtysów w gminie Radogoszcz*, „Gazeta Łódzka”, nr 123, 2 VI 1913, s. 2.

²⁰ Ankieta statystyczna osady fabrycznej Bałuty Nowe z sierpnia 1910 r., APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 709, k. 134.

²¹ *Kronika*, „Gazeta Łódzka”, nr 169, 25 VII 1913, s. 3.

²² Sprawozdanie o stanie gminy Radogoszcz w 1910 r., APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 745, k. 169.

²³ Wykaz „legalnych” domów modlitwy por. J. Walicki, *Synagogi i domy modlitwy w Łodzi (do 1939 r.)*, Łódź 2000, s. I–XII.

²⁴ Spis żydowskich chederów i domów modlitwy, utrzymywanych bez zezwolenia w gm. Radogoszcz, 18 XI 1912, APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 770, k. 23–24.

²⁵ *Gmina baptystów na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 157, 16 VIII 1913, s. 4.

²⁶ Ankieta statystyczna osady fabrycznej Bałuty Nowe z sierpnia 1910 r., APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 709, k. 133–133v.

ty, mającą swe źródło w historii ich powstania, był coraz bardziej pogłębiający się chaos przestrzenny. Ulice, wytyczone przez właścicieli pierwotnych działek, parcelowanych na coraz mniejsze, powstawały tak, aby dać największą korzyść parcelantowi, a nie – aby pełnić określoną rolę komunikacyjną w osadzie. W przewodniku po Łodzi autorstwa Jana Dylaka czytamy:

Zaraz za granicą dawnego Starego Miasta widzimy wąską i krętą ulicę Krótką, której charakter jest typowy dla ulic bałuckich, tak pod względem planu, jak i zabudowy [...]. W dzielnicy tej bowiem uderza niejasność i przypadkowość planu, wyrażające się w zawiłym przebiegu wąskich przeważnie uliczek, które niejednokrotnie całkiem nieoczekiwanie kończą się ślepo. [...] Pozostaje to w związku z dziką, dowolną parcelacją dokonywaną przez prywatnych przedsiębiorców na obszarze niezależnym od ówczesnych władz miejskich Łodzi²⁷.

4.4. WARUNKI ŻYCIA

Do chaosu urbanistycznego dochodziła niska jakość powstających budowli, przede wszystkim drewnianych. Zwracał na to uwagę Zarząd Ubezpieczeń Wzajemnych w Królestwie Polskim, stwierdzając, że niebezpieczeństwo pożaru na Bałutach jest wielokrotnie większe, niż w samej Łodzi²⁸. Sposób konstrukcji budynków, wynajmowanie pomieszczeń mieszkalnych na drugich piętrach łatwopalnych drewnianych budowli, niezgodne były nawet z ówczesnym liberalnym prawem budowlanym²⁹. Nie było straży pożarnej³⁰. Natomiast ciekawostką jest, że w 1909 r. myślano już poważnie o elektryfikacji tej dzielnicy³¹, choć do realizacji projektu przystąpiono dopiero w 1913 r.

Urządzenia komunalne Bałut były jeszcze mniej rozwinięte, niż w przypadku Łodzi. Tragicznie przedstawiała się sprawa wodociągów i kanalizacji, których na Bałutach w ogóle nie było – wodę pobierano ze studni i przywożono

²⁷ J. Dylak, *Łódź i okolice. Przewodnik geograficzny*, Łódź 1939, s. 129–130.

²⁸ *Kronika*, „Rozwój”, nr 33, 10 II 1912, s. 3.

²⁹ S. Opocki, *Ze spraw miejskich*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 79, 25 XI 1913, s. 2.

³⁰ Ankieta statystyczna osady fabrycznej Bałuty Nowe z sierpnia 1910 r., APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 709, k. 134.

³¹ Protokół zebrania pełnomocników mieszkańców Bałut i in. wsi w sprawie elektryfikacji Bałut, Radogoszcza i Żubardzia, Radogoszcz 1 IX 1909, APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 700, k. nlb.

beczkowozami³². Ścieki wylewano do odkrytych rowów, nie przejmując się ich stanem technicznym, ani dalszym spływem wód³³.

Co prawda, porównywalne warunki panowały w Łodzi:

Wody deszczowe i w znacznych ilościach wypuszczane z fabryk, spływają ulicznymi rynsztokami. [...] Ponieważ na niektórych ważniejszych ulicach spadek istnieje zbyt słaby i rynsztoki nie mogą pomieścić znacznych ilości wody, spływającej z sąsiednich ulic, wskutek czego po każdym ulewnym deszczu i przy wiosennych roztopach ulice owe bywają zalane wodą na całej szerokości, niekiedy razem z trotuarami. [...] Rozumie się, że ulice niezabrukowane i niezniwelowane, z powodu braku należytych ścieków, przy przemakalności i nierówności gruntu, znajdują się pod względem sanitarnym w bardzo niezadawalniającym stanie, a jednak obywatele miejscowi nie starają się o uregulowanie tych ulic stosownie do przepisów³⁴.

Lecz w tym przypadku spodziewano się w Łodzi stanowczej poprawy sytuacji z chwilą rozpoczęcia realizacji planów kanalizacyjnych Williama Lindleya³⁵. Bałut nie było stać na taką inwestycję.

Śmieci z całych Bałut nie były nawet wywożone poza obręb osady, lecz składowane na ul. Dworskiej, co powodowało słuszne skargi mieszkańców, że „wspomniana ulica jest siedliskiem zarazy i jest rozsądnikiem bakterii wszelkich epidemii”³⁶.

Typową ulicą Bałut była ul. Pieprzowa³⁷, którą tak opisywał w 1913 r. korespondent „Nowej Gazety Łódzkiej”:

Ulica Pieprzowa tuż niedaleko od kościoła N. Marii Panny, jest środowiskiem bakterycylusów wszelkich chorób zakaźnych. Ażeby walkę z epidemiami skierować na właściwe tory, należy rozpocząć ją od uporządkowania i oczyszczenia ulic, rynsztoków i podwórz w domach, jak również zmusić właścicieli domów do pilnowania, by należycie uprzążano korytarze i doły ustępowe. Dopóki stan domów i ulic nie będzie doprowadzony do ładu, porządku i czystości, dopóty epidemie grozić będą [...] poważnie, a wszelkie zabiegi ojców miasta wzbudzać będą wrażenie fikcji, wystarczającej jedynie dla reklamy³⁸.

³² Ankieta statystyczna osady fabrycznej Bałuty Nowe z sierpnia 1910 r., APL, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 709, k. 133v.

³³ *Kronika*, „Rozwój”, nr 247, 26 X 1912, s. 5.

³⁴ *Materiały do monografii sanitarnej miasta Łodzi*, z. 1, wyd. S Sterling i in., Łódź 1912, s. 15–16.

³⁵ *Ibidem*, s. 16.

³⁶ *Z sąsiedztwa*, „Gazeta Łódzka”, nr 3, 4 I 1913, s. 3.

³⁷ Obecnie Hersza Berlińskiego. Zachowały się niektóre budynki z przełomu XIX i XX w.

³⁸ *Zdrowie a porządek*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 34, 2 X 1913, s. 3.

Rzecz jasna, że w takich warunkach występowanie chorób zakaźnych było na porządku dziennym. W czasie epidemii szkarlatyny pod koniec 1913 r. „w jednym domu – dość brudnym wprawdzie [...] chorowało na szkarlatynę kilkanaścioro dzieci, z których siedmioro umarło – jednym rodzicom zmarło troje”³⁹.

4.5. RZEŹNIA BAŁUCKA

Wyjątek na tle ogólnego braku miejskiej infrastruktury stanowiła rzeźnia bałucka, zbudowana w celu nie tyle zaspokajania potrzeb mieszkańców osady, ile konkurencji o rynek łódzki, o czym świadczy fakt, że dostarczano do niej w dużej ilości (do 300 sztuk tygodniowo) bydło stepowe z Ukrainy i Południowej Rosji⁴⁰. Ówczesny dziennikarz pisał:

Mieszkańcy Bałut, korzystając ze swego samorządu gminnego, pobudowali własną rzeźnię i rozpoczęli w niej rzeź bydła i trzody. Nadzór weterynaryjny powierzyli osobie zatwierdzonej na ten urząd przez rząd gubernialny piotrkowski. Zdawało się więc, że od własnych potrzeb zbywające mięso będą mogli sprzedawać w Łodzi, bez opłaty na korzyść rzeźni miejskiej [w Łodzi], lecz doznali zawodu. Rzeźnia miejska mięsa bitego na Bałutach nie wpuszczała do Łodzi bez opłat i podobnej rewizji⁴¹.

Sprawa oparła się o władze centralne w Petersburgu i w ostatnich latach przed I wojną światową budziła powszechne zainteresowanie mieszkańców Łodzi i Bałut, a zwycięstwo przechylało się raz na jedną, raz na drugą stronę – już w grudniu 1912 r. rzeźnia bałucka uzyskała korzystną dla siebie decyzję Senatu, co doprowadziło do praktycznego pozbawienia pracy rzeźni łódzkiej⁴². Jednak wynoszące ponad 300 tys. rubli długi spółki prowadzącej rzeźnię spowodowały w maju 1913 r. sekwestr sądowy⁴³, który ujawnił:

Ogromny nieład, panujący w biurowości rzeźni. [...] w obrębie rzeźni, ani w kasie, ani w kantorze, nie można było dotąd znaleźć ani księgi wekslowej, ani rejestru wekslowego, ani notatnika terminowego, ani żadnego innego śladu istnienia

³⁹ Haes [pseud.], *Nieco o szkarlatynie*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 93, 12 XII 1913, s. 2.

⁴⁰ *Kronika*, „Rozwój”, nr 209, 12 IX 1912, s. 4.

⁴¹ *W sprawie rzeźni miejskiej*, „Rozwój”, nr 61, 14 III 1912, s. 2.

⁴² *Z pism polskich*, „Gazeta Łódzka”, nr 32, 8 II 1913, s. 2; *Kronika*, „Gazeta Łódzka”, nr 78, 5 IV 1913, s. 2.

⁴³ *Sekwestr Rzeźni Bałuckiej*, „Gazeta Łódzka”, nr 105, 9 V 1913, s. 4.

zobowiązań wekslowych ze strony dzierżawców wobec wierzycieli, na których wiadomość ta wywarła nader przykre wrażenie⁴⁴.

W lipcu 1913 r. wprowadzono też powtórnie oględziny w Łodzi mięsa przywiezionego z Bałut⁴⁵.

W związku z istnieniem odrębnej rzeźni i zatrudnieniem w niej rzeźników rytualnych, Bałuty cieszyły się pewną autonomią finansową w łódzkiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej, z której jednak – pod wpływem kryzysu gospodarczego 1912/1913 r. – musiały zrezygnować⁴⁶.

4.6. PLANY PRZYŁĄCZENIA DO ŁODZI

Co świątlijsi mieszkańcy Bałut byli za przyłączeniem osady do Łodzi; liczyli oni, że

[...] dzisiejszy bezładny rozrost tego wielkiego przedmieścia i jego upośledzenie pod względem zdrowotnym, z chwilą przyłączenia go do Łodzi, staną się przedmiotem troski zarządu miasta, który nie omieszka chyba dołożyć starań, aby osada ta stała się godną miana dzielnicy wielkiej Łodzi⁴⁷.

Spodziewano się poprawy warunków sanitarnych: „Kanalizacja [...] jest niezbędna, tymczasem nie należąc do miasta Bałuty [...] nie otrzymają kanalizacji podczas zaprowadzenia jej w Łodzi”⁴⁸ – pisano w „Rozwoju”.

Pomysł ten popierały władze guberni piotrkowskiej. Podkreślano, że „należąc *de jure* do gminy Radogoszcz, Bałuty i Żubardź stanowią *de facto* przedmieścia Łodzi gęsto zaludnione, wymagające administracji energicznej”⁴⁹.

Projekt ten jesienią 1912 r. procedowany był już przez władze centralne w Petersburgu⁵⁰. Tymczasem pojawiła się grupa przeciwników takiego przyłączenia. Wywodzili oni, że:

⁴⁴ *Rzeźnia bałucka pod sekwestrem*, „Gazeta Łódzka”, nr 106, 10 V 1913, s. 3.

⁴⁵ *Monopol rzeźni w Łodzi*, „Gazeta Łódzka”, nr 155, 9 VII 1913, s. 3–4.

⁴⁶ Por. *Wyodrębnienie Żydów bałuckich*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 17, 12 IX 1913, s. 3.

⁴⁷ *Kronika*, „Rozwój”, nr 44, 23 II 1912, s. 3.

⁴⁸ *Ibidem*.

⁴⁹ *Kronika*, „Rozwój”, nr 217, 21 IX 1912, s. 5.

⁵⁰ „Generał-gubernator warszawski wydał przychylną opinię w sprawie projektu przyłączenia Bałut [...] do Łodzi. Wobec tego projekt ów przesłany został do ministerium spraw wewnętrznych. Po zaaprobowaniu przez rzeczzone ministerium, projekt złożony będzie Radzie Ministrów, która po rozważeniu wniesie go do Dumy Państwowej” – *Kronika*, „Rozwój”, nr 219, 24 IX 1912, s. 3. Sprawa się jednak przeciągała, por. *Kronika*, „Rozwój”, nr 247, 26 X 1912, s. 6.

[...] przyłączenie to byłoby dla nich ruiną, ponieważ zmuszeni by byli płacić podatki jako miasto II klasy podczas, gdy będąc miastem oddzielnym zaliczeni by byli co najwyżej do kategorii miast IV klasy, poza tym wiele ciężarów odnoszących się do potrzeb jedynie m. Łodzi ponosić by musiały także i Bałuty. Wobec tego gro- no poważniejszych obywateli bałuckich, po porozumieniu się z innymi występuje do władzy wyższej z projektem przekształcenia Bałut na miasto samodzielne. Granice tego miasta z Łodzią stanowiłyby ulice Aleksandrowska, Ciemna i część Brzezińskiej⁵¹.

4.7. GOSPODARKA

Gospodarczo Bałuty stanowiły element większego organizmu, Łodzi, z jej najbliższym okręgiem⁵². Spełniały one następujące funkcje:

- dostarczyciela miejsc noclegowych dla robotników łódzkich, „najbiedniejszej klasy mieszkańców Łodzi”⁵³;
- miejsca lokalizacji usług na najniższym poziomie dla tej ludności;
- kooperanta i podwykonawcy – często w formie pracy chałupniczej – dla firm łódzkich.

Wiązało się z tym istnienie znacznej liczby warsztatów rzemieślniczych, często zatrudniających siłę najemną, ale wykorzystujących jedynie pracę rąk ludzkich, nie używających żadnych maszynowych źródeł energii, nawet tak popularnych w tym czasie w małych firmach silników naftowych. Najwięcej było farbiarni i tkalni, w sąsiedniej wsi Radogoszcz znajdowało się kilka cegielni⁵⁴.

Mieszkańcy Bałut zarabiali często mniej, niż robotnicy wykwalifikowani z wielkich fabryk – uważano powszechnie, że jest to – obok sąsiednich Żubardzia i Radogoszcza – najbiedniejsze przedmieście Łodzi⁵⁵. Dziennikarz „Rozwoju” zwracał uwagę, że są to

⁵¹ *Kronika*, „Rozwój”, nr 275, 29 XI 1912, s. 4.

⁵² „Bałuty są zaliczone do powiatu łódzkiego całkiem sztucznie, gdy są one organicznie związane z Łodzią” – S. Skalski, *Smutne cyfry*, „Gazeta Łódzka”, nr 67, 21 III 1913, s. 2. Podobnie uważały władze skarbowe, wprowadzając stawki podatku od nieruchomości takie same, jak w Łodzi; *Orzeczenie Senatu w sprawie Bałut*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 12, 5 IX 1913, s. 3.

⁵³ *Kronika*, „Rozwój”, nr 109, 13 V 1912, s. 4.

⁵⁴ Sprawozdanie o stanie gminy Radogoszcz w 1910 r., APL, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 745, k. 167.

⁵⁵ *Kronika*, „Rozwój”, nr 230, 7 X 1912, s. 3.

[...] siedliska największej nędzy, [które] zwrócić powinny uwagę każdego, w kim nie całkiem zastygło serce i współczucie dla niedoli ludzkiej. Tu biedaków więcej niż w całej Łodzi [...] Jeszcze jakby dla rozszerzenia moralnej gangreny, Bałuty są miejscem przeznaczonym dla pobytców⁵⁶, których tu około 200 przebywa, roznosząc zgniliznę na całe miasto⁵⁷.

Podczas kryzysu, jaki dotknął przemysł Rosji w 1912 r., sytuacja biedy bałuckiej była nie do pozazdroszczenia, nie stać jej było nawet na normalną żywność. Łódzki reporter pisał latem 1912 r.:

Przed kilku dniami na Bałutach otwarto 6 jatek z mięsem końskim, które zrazu znalazły licznych kupujących. Drożyzna mięsa zarówno wołowego jako też wieprzowego i zastój w przemyśle, który nader dotkliwie odczuwają rodziny robotnicze zmusił w ostatnich czasach całe rzesze robotników do wyrzeczenia się potraw mięsnych, na które nie pozwalały im fundusze. Okoliczność ta poddała myśl przedsiębiorcom do otwarcia jatek z mięsem końskim, które pomysłowi rzeźnicy sprzedają po cenie 6 i 7 kop. za funt, stosownie do gatunku. Robotnicy, którzy dawniej z obrzydzeniem wspominali o mięsie końskim, dzisiaj kupują je codziennie i spożywają z apetytem⁵⁸.

Z większych firm istniało tu tylko kilka zakładów⁵⁹, w tym cegielnia Izaaka Baumgolda (34 robotników), zakład stolarsko-mechaniczny Wolfa Kurca, dysponujący maszyną parową o mocy 20 KM i zatrudniający 10 robotników, farbiarnia I. Korteca (8 robotników), blicharnia i pralnia przędzy, towarów bawełnianych, firanek i wyrobów dzianych Antoniego Troszyńskiego, o kapitale 30 tys. rb i nieznaney liczbie robotników.

Na terenie Bałut prowadzono też eksploatację materiałów budowlanych, głównie piasku. Działo się to w sposób żywiołowy, a piaskownie prowadzone były przez osoby niefachowe. Rezultat stanowiły wypadki śmiertelne wśród robotników⁶⁰. Działały też drobne instytucje parabankowe: Bałuckie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, powstałe w 1909 r. i jednoczące przedstawicieli trzech

⁵⁶ Pobytcy – przestępcy, którym po odciernieniu kary wyznaczono określone, przymusowe miejsce pobytu.

⁵⁷ „Miłosierdzie”, „Rozwój”, nr 260, 12 XI 1912, s. 2.

⁵⁸ „Kronika”, „Rozwój”, nr 199, 29 VIII 1912, s. 4.

⁵⁹ Dane za rok 1911, według rocznika „Przemysł i Handel Królestwa Polskiego” 1911, nr 3322, 8533, 10 840, 10 860, 14 081.

⁶⁰ *Żywcem pogrzebani. Straszna katastrofa na Bałutach. Trzy trupy*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 28, 25 IX 1913, s. 4.

narodowości: Żydów, Polaków i Niemców. W 1912 r. miało ono 9,9 mln rubli obrotu⁶¹. Funkcjonowały także inne – szeroko pojęte – instytucje parabankowe: Bałucka Kasa Pogrzebowa⁶², polsko-niemiecka Bałucka Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa (obrot w 1912 r. – 250 tys. rb.)⁶³ i Bałuckie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, które, m.in. wskutek machinacji związanych z Rzeźnią Bałucką, znalazło się w bardzo złej sytuacji finansowej⁶⁴. Również Bałucka Żydowska Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa nie była instytucją pewną, a wskutek nadużyć w 1913 r. musiano w niej usunąć poprzedni zarząd⁶⁵.

4.8. OŚWIATA

W biednych przedmieściach Łodzi faktycznie szkół nie było. Dziennikarz pisał o „niezliczonych gromadach dzieci”, które „pędzą czas na ulicach pełnych brudu, wchłaniając w siebie wszystko złe...”⁶⁶ Tylko nieliczne mogły uczęszczać do szkół elementarnych, liczba których powoli wzrastała od dwu na początku wieku do ośmiu jesienią 1913 r. Szkoły te, o dwu nauczycielach i maksimum dwu – wynajmowanych – izbach lekcyjnych, miały bardzo ograniczony program nauki. Wydatki na nie ponoszone wynosiły w 1912 r. tylko nieco ponad 24 tys. rubli⁶⁷.

Objęcie nauką szkolną niewielkiego odsetka dzieci budziło niezadowolenie wielu mieszkańców Bałut, zdających sobie sprawę z wpływu wykształcenia, nawet elementarnego, na dalsze losy ich potomstwa⁶⁸. W grudniu 1912 r. specjalna delegacja udała się w sprawie utworzenia następnych dziesięciu szkół elementarnych do kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego⁶⁹; w styczniu

⁶¹ *Z Bałuckiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu*, „Gazeta Łódzka”, nr 82, 10 IV 1913, s. 4.

⁶² *Z sali obrad. Bałucka Kasa Pogrzebowa*, „Gazeta Łódzka”, nr 30, 6 II 1913, s. 4.

⁶³ *Kronika*, „Gazeta Łódzka”, nr 73, 28 III 1913, s. 3; *Roczne zebranie bałuckiej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej*, „Gazeta Łódzka”, nr 51, 3 III 1913, s. 3.

⁶⁴ *Skandal w Bałuckim Towarzystwie Wzajemnego Kredytu*, „Gazeta Łódzka” nr 184, 12 VIII 1913, s. 3.

⁶⁵ *Kronika*, „Nowa Gazeta Łódzka” nr 17, 12 IX 1913, s. 3.

⁶⁶ „*Miłosierdzie*”, „*Rozwój*”, nr 260, 12 XI 1912, s. 2.

⁶⁷ Rozchód na utrzymanie bałuckich szkół w 1912 r., APŁ, Akta gm. Radogoszcz, sygn. 856, k. 248.

⁶⁸ Większa liczba chętnych do nauki, niż możliwości stwarzane przez szkoły, występowała także w Łodzi; por. E. Podgórska, *Szkolnictwo elementarne w Łodzi w latach 1808–1914*, Łódź 1966, s. 151.

⁶⁹ *Kronika*, „*Rozwój*”, nr 294, 20 XII 1912, s. 3.

1913 r. rada gminna postanowiła na razie utworzyć w istniejących szkołach trzy nowe oddziały, które następnie miały być usamodzielnione⁷⁰. Wzrost liczby uczniów i planowane zwiększenie liczby szkół w całej gminie Radogoszcz wywołało niezadowolenie płatników podatku szkolnego. W „Gazecie Łódzkiej” pisano:

Tak skromne powiększenie szkół, rokujące na przyszłość sanację stosunków społecznych nie podoba się widocznie miejscowym fabrykantom, którzy na postulat powiększenia liczby szkół odpowiedzieli podaniem na imię Naczelnika powiatu, skarżąc się, iż podwyższenie szkolnego podatku zbyt obciąża ich kieszeń. W rzeczywistości skargi fabrykantów dążą do zamknięcia świeżo założonych szkół.

Do czasu powiększenia liczby szkół, zasobniejsi obywatele oraz fabrykanci płacili nader nieznaczne kwoty, w roku bieżącym zaś przy potrojeniu wydatków na szkoły, podatek ten rzeczywiście daje się odczuć zamożniejszym, jednakże nie usprawiedliwia to faktu skargi, świadczącej o zapomnieniu obowiązków obywatelskich. Jeden z fabrykantów wyraził się, iż „kto ma dzieci, sam powinien starać się wychowywać je ze swych środków”. Zdanie to nie wymaga nawet komentarzy⁷¹.

Jednak zwolenników rozszerzenia nauczania było wielu i w lipcu 1913 r. udało im się rozpocząć – równoległe z Łodzią – prace przygotowawcze do wprowadzenia powszechnego nauczania. Z zebranych wówczas danych wynikało, że liczba dzieci w wieku szkolnym w samej osadzie Bałuty Nowe wynosi ok. 6,2 tys.⁷² Wprowadzanie powszechnego nauczania miało odbywać się stopniowo, w ciągu paru lat. Wobec braku dotacji ze strony władz państwowych i oporu w stosunku do projektów podwyższenia składki szkolnej, przyjęto, że rodzice będą płacić rocznie po 5 rb od uczącego się dziecka jako „osobisty podatek szkolny”⁷³. Biorąc pod uwagę poziom materialny mieszkańców Bałut, taki pomysł praktycznie oznaczał zablokowanie możliwości powszechnego nauczania.

W oficjalnej działalności społecznej na rzecz oświaty na Bałutach domino wali Polacy. Opieka przedszkolna opierała się w całości na filantropii i była nie-

⁷⁰ *Sprawy szkolne w Bałutach i w gminie Radogoszcz*, „Gazeta Łódzka”, nr 11, 15 I 1913, s. 3.

⁷¹ *Sprawy szkolne w Radogoszczu*, „Gazeta Łódzka”, nr 126, 5 VI 1913, s. 4.

⁷² *Wprowadzenie powszechnego nauczania na przedmieściach*, „Gazeta Łódzka”, nr 157, 11 VII 1913, s. 2.

⁷³ *Powszechne nauczanie na przedmieściach Łodzi*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 19, 15 IX 1913, s. 3.

dostateczna. Istniały polskie „ochronki” (przedszkola) przy ul. Ciemnej 6 i Nowaka 7, prowadzone przez Stowarzyszenie Opieki nad Sierotami „Gniazdo”, utrzymywane ze zbiorów publicznych, zabaw i darów⁷⁴. W październiku 1913 r. uzyskano pozwolenie na powołanie kolejnej ochronki, przy ul. Chłodnej 6⁷⁵. Oświatę pozaszkolną reprezentowała m.in. mieszcząca się przy Rynku Bałuckim 5 druga Biblioteka Towarzystwa „Wiedza”, mająca kilkuset czytelników, „ludzi niemal wyłącznie ciężkiej pracy fizycznej”, a oferująca polską literaturę piękną i czasopisma; pod koniec 1912 r. dysponowała 1262 tomami książek, wypożyczeń było 9520⁷⁶, w roku następnym mniej – 8214⁷⁷.

Natomiast domeną Żydów była oświata religijna; niestety, z uwagi na to, że nie była oficjalnie rejestrowana, trudno ją obecnie w zadowalający sposób uchwycić w dostępnych źródłach. Wiadomo tylko o istnieniu znacznej liczby nierejestrowanych chederów, przeciwko właścicielom których na początku 1913 r. wytoczono kilkadziesiąt spraw w sądzie gminnym⁷⁸.

Na Bałutach, jak w całej Łodzi, okres przed I wojną światową był czasem powstawania kolejnych „kinematografów”. Co kilka miesięcy w prasie pojawiała się informacja o nowym kinie⁷⁹. Była to prawdopodobnie ważna rozrywka, dostępna dla znacznej części ludności Bałut.

4.9. OPIEKA ZDROWOTNA

Bałuty – mimo ogromnej liczby mieszkańców – nie miały szpitala. Niewiele też było lekarzy wolnopraktykujących. Zainteresowanie władz nadzorczych budziły tylko sprawy związane z tzw. policją lekarską: kontrola na prostytutkami i zapobieganie epidemiom (szczególnie cholery). W pierwszym przypadku, wobec niedostatecznej kontroli, w 1913 r. planowano rozbudowę łódzkiej organów policji obyczajowej, połączone z rozszerzeniem jej kompetencji na przedmieścia, w tym Bałuty⁸⁰ i stworzenie specjalnego szpitala dla prostytut-

⁷⁴ *Kronika*, „Rozwój”, nr 192, 23 VIII 1912, s. 4; *Z sali obrad*. „Gniazdo”, „Gazeta Łódzka”, nr 58, 11 III 1913, s. 3.

⁷⁵ *Kronika*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 37, 6 X 1913, s. 3.

⁷⁶ *Kronika*, „Rozwój”, nr 203, 5 IX 1912, s. 4; *Zebranie roczne Towarzystwa „Wiedza”*, „Rozwój”, nr 259, 11 XI 1912, s. 2.

⁷⁷ „Wiedza”, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 32, 30 IX 1913, s. 3.

⁷⁸ *Zamknięcie chederów*, „Gazeta Łódzka”, nr 59, 12 III 1913, s. 4.

⁷⁹ Por. np. *Nowy kinematograf na przedmieściu*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 73, 18 X 1913, s. 2.

⁸⁰ *W sprawie prostytucji*, „Gazeta Łódzka”, nr 124, 3 VI 1913, s. 4.

tek. W drugim odnotować należy przygotowania na wypadek epidemii cholery w 1910 r., gdy planowano budowę baraków „cholerycznych” i powołano specjalny komitet, złożony z miejscowych mieszkańców. Rzeczywistym zagrożeniem były dury: brzuszny i osutkowy. Pojawienie się duru brzuszego latem 1913 r. stało się bodźcem do stworzenia na Bałutach, przy ul. Łagiewnickiej 28, specjalnego ambulatorium dla ubogiej ludności. Nie ograniczało się ono do walki z „tyfusem”, lecz także szczepiono w nim przeciwko ospie. Koszty jego utrzymania były minimalne: 285 rb. miesięcznie, zapewne więc nie mogło ono udzielać szerszej pomocy potrzebującym⁸¹. Utrzymanie ambulatorium częściowo zostało przejęte przez osadę Bałuty w 1913 r., która pokrywała koszty wynajmu trzypokojowego lokalu przy ul. Łagiewnickiej⁸².

Na początku 1913 r. powstała lecznica (przychodnia specjalistyczna) przy ul. Młynarskiej 15 – jako inicjatywa prywatna paru lekarzy. Podkreślano niską opłatę za wizytę (30 kop.), co miało świadczyć o „rozumieniu przez tych lekarzy-specjalistów zadania podobnej lecznicy na Bałutach”⁸³. Również w 1913 r. powstał „przytułek dla położnic” przy ul. Franciszkańskiej 58, z którego „biedne kobiety w okresie porodowym w ciągu 9 dni korzystać mogły bezpłatnie, za możliwe zaś za opłatą 6 rubli”⁸⁴.

4.10. ŻYCIE SPOŁECZNE

Jedną z trwałych zmian, spowodowanych wydarzeniami rewolucji 1905 r., było znaczne ułatwienie zakładania stowarzyszeń. W wypadku Żydów, mających długowieczną tradycję tworzenia własnych organizacji działających w zakresie opieki społecznej, filantropii itp. – zaowocowało to pojawieniem się szeregu żydowskich organizacji społecznych. Dotyczyło to Łodzi⁸⁵, a także Bałut. Ich działalność – jak na ówczesne warunki – można uznać za bardzo ożywioną. Przykładem jest Bałuckie Towarzystwo „Miszmores Hacholim” (Pielęgnowanie chorych). Według sprawozdania za 1911 r.

⁸¹ *Walka z tyfusem*, „Gazeta Łódzka”, nr 146, 28 VI 1913, s. 3; *Kronika. Sprawy sanitarne*, „Gazeta Łódzka”, nr 152, 5 VII 1913, s. 3.

⁸² *Z bałuckiego ambulatorium*, „Nowa Gazeta Łódzka”, nr 34, 2 X 1913, s. 3.

⁸³ *Otwarcie lecznicy na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 42, 20 II 1913, s. 3.

⁸⁴ *Przytułek dla położnic na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 49, 28 II 1913, s. 3; *Przytułek położniczy na Bałutach*, „Gazeta Łódzka”, nr 66, 20 III 1913, s. 3.

⁸⁵ Por. K. Badziak, J. Walicki, *Żydowskie organizacje społeczne*, Łódź 2002.

[...] w lokalu Towarzystwa przy ulicy Aleksandrowskiej nr. 6 udzielono pomocy lekarskiej w 10 537 wypadkach, porad w domu chorym 4855 i pomocy w nagłych wypadkach 2386 razy. Wydano 23 422 lekarstwa. Oddział pielęgowania chorych wydał: kefiru 3574 butelki, mleka 2466 kwart, herbaty –1288 łutów i cukru 1273 funty. Do chorych wysłano 706 niepłatnych pielęgniarki i płatnych – 657. Wsparć pieniężnych udzielono ogółem na 120 rb. Nocne pogotowie ratunkowe wyjeżdżało do chorych w 1175 wypadkach, w tej liczbie do 175 chrześcijan, oprócz tego udzielono pomocy 67 położnicom. Sprawozdanie kasowe wykazało przychodu w roku ubiegłym – 6786 rb. 18 kop.; rozchodu – 7283 rb. 18 kop., zatem deficytu 497 rb. Budżet na rok 1912-y obliczono na 13 350 rb.⁸⁶

Jak widać, Towarzystwo – prowadzące dość szeroką działalność – nawiązywało do dawniejszych wzorców religijnych i filantropijnych. Na terenie Bałut działały też organizacje łódzkie – przykładem może być Stowarzyszenie Pomocy Ubogim Dzieciom Żydowskim w Łodzi i na Bałutach, powstałe w 1912 r.⁸⁷ oraz organizacje katolickie, np. Katolicki Związek Kobiet Polskich, istniejący w Łodzi od 1910 r., który swoją działalność koncentrował właśnie w siedliskach łódzkiej biedy – Bałutach i Starym Mieście⁸⁸. Jednak należy wątpić, by obejmowała ona potrzebujących pomocy Żydów – bariery międzywyznaniowe również i w tych dzielnicach były trudne do przezwyciężenia⁸⁹. Istniały też organizacje zawodowe, łączące zamieszkujące dzielnicę narodowości, jak Stowarzyszenie Majstrów Tkackich Zarobkowych⁹⁰ lub Kasa Posagowa, która zresztą padła ofiarą nieuczciwych zarządców⁹¹.

4.11. ŻYCIE POLITYCZNE

O poglądach politycznych mieszkańców Bałut niewiele można powiedzieć. Wiadomo, że w czasie rewolucji 1905–1907 znacznie rozwinęła się tu organizacja PPS-Frakcji Rewolucyjnej, rozbita falą aresztowań w 1907 r. Natomiast wybory do IV Dumy w 1912 r., przeprowadzane według bardzo skomplikowa-

⁸⁶ *Kronika*, „Rozwój”, nr 11, 15 I 1912, s. 3. Kryzys roku 1912 zmusił stowarzyszenie do ograniczenia działalności – *Kronika*, „Gazeta Łódzka”, nr 45, 24 II 1913, s. 3.

⁸⁷ *Kronika*, „Rozwój”, nr 212, 16 IX 1912, s. 3.

⁸⁸ Interesujące jest, że obie te dzielnice podzielone zostały na rejony, za które odpowiedzialne były poszczególne działaczki. Por. *Kronika*, „Rozwój”, nr 179, 7 VIII 1912, s. 4.

⁸⁹ Por. opis „gojskich” Bałut w powieści.

⁹⁰ *Kronika*, „Rozwój”, nr 36, 14 II 1912, s. 5. Określenie majstrowie „zarobkowi” oznaczało pracujących we własnych warsztatach na powierzonym materiale, czyli chałupników.

⁹¹ *Kronika*, „Rozwój”, nr 252, 2 XI 1912, s. 6.

nej, kurialnej ordynacji, pozbawiającej zresztą prawa do głosowania ogromną część mieszkańców przedmieścia⁹², przebiegały pod znakiem konfliktu polsko-żydowskiego, którego skutkiem stała się akcja bojkotu sklepów żydowskich ze strony prawicowej części polskiego społeczeństwa.

* * *

Bałuty w latach 20. i 30. XX w., w okresie, w którym Rabon pisał swoją powieść, zmieniły się niewiele. W wydanym w 1939 r. przewodniku Jana Dylaka czytamy:

W całej tej dzielnicy, poza centralnymi odcinkami ulic wylotowych (Zgierska, Brzezińska, Limanowskiego), panują domy drewniane [...]. Między nimi spotykamy domy parterowe z facjatami, które w większych zespołach występują przy ul. Krótkiej, Rynku Bałuckim, Zgierskiej, Brzezińskiej, Młynarskiej. Najcharakterystyczniejszą jednak formą budowlaną są tutaj drewniaki piętrowe, przypominające murowane kamienice czynszowe. Są one też ich tańszą namiastką i powstały na skutek tych samych potrzeb – tutaj znalazła pomieszczenie uboga ludność fabryczna korzystająca chętnie z domów koszarowych, zbudowanych na tanich, bo pozamiejskich wówczas gruntach. Gęstość zaludnienia jest tutaj olbrzymia i na pojedyncze izby przypada maksymalna w Łodzi liczba mieszkańców. Jest to więc dzielnica czysto robotnicza, tylko na wylotowych ulicach, w podliżu Rynku Bałuckiego, rozwinął się handel detaliczny, którym zajmuje się głównie ludność żydowska⁹³.

Takie też Bałuty stanowiły podstawę terytorialną utworzonego niebawem łódzkiego getta...

⁹² *Wybory z Bałut, „Rozwój”*, nr 236, 14 X 1912, s. 4.

⁹³ J. Dylak, *Łódź i okolice...*, s. 122.

Il. 4. Podwórze, róg ul. Zgierskiej
i Stodolnianej

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi,
zbiór W. Pfeiffera



Il. 5. Ul. Lutomierska

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi,
zbiór W. Pfeiffera





II. 6. Ul. Stodolniana

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



II. 7. Ul. Nad Łódką

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



II. 8. Ul. Wolborska

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi,
zbiór W. Pfeiffera



II. 9. ul. Lutomska

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 10. Uł. Podrzeczna

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 11. Stary Rynek

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 12. Podwórze, ul. Zgierska

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 13. Gmach byłej żandarmerii

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi,
zbiór W. Pfeiffera



Il. 14. Ul. Lutomierska

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 15. Dwaj Żydzi w bramie

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi,
zbiór W. Pfeiffera



Il. 16. Bałucki Rynek

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 17. Uł. Wąska na Bałutach

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 18. Dom przy ul. Zgierskiej

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 19. Bałucki Rynek

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 20. Łódka przy ul. Północnej

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 21. Rynek Starego Miasta

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



II. 22. Bałucki Rynek

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



II. 23. Ul. Zgierska i Bałucki Rynek

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 24. Bałucki Rynek

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 25. Widok na ul. Lutomierską

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, zbiór W. Pfeiffera



Il. 26. Ulica Podrzeczna w latach 30. XX w.

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Łodzi 20298, s. nlb.



Il. 27. Dom przy ul. Podrzecznej 12, lata 30. XX w

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Łodzi 20298, s. nlb.



Il. 28. Sklepiki, ulica Nad Łódką 16, lata 30. XX w
Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Łodzi 20251, s. nlb.



Il. 29. Ruch uliczny, ulica Nad Łódką, lata 30. XX w.
Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Łodzi 20251, s. nlb.

SPIS TREŚCI

Słowo od Redakcji	5
Baluty: powieść o przedmieściu	9
Rozdział pierwszy: Bal	9
Rozdział drugi: Trup	29
Rozdział trzeci: Kłopoty reb Eliego	49
Rozdział czwarty: Dziecko	73
Rozdział piąty: Złe czasy	81
Jisroel Rabon: życie i twórczość (Izabela Olejnik)	99
Baluty Jisroela Rabona (Chone Shmeruk)	109
Baluty Jisroela Rabona (Mojsze Grosman)	113
Baluty: Notatki czytelnika (Simche Szajewicz)	117
Jisroel Rabon: szkic do portretu (Jicchok Janasowicz)	121
Baluty. Szkic historyczny (Jacek Walicki)	145

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 665 58 63